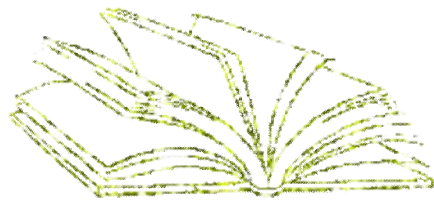




*Jill Kargman*



*Rozwód od  
Armaniego*

*Książkę tę, z ucałowaniem,  
dedykuję swojej kochanej Rodzinie i wszystkim Cheres — moim Kiki  
— najlepszym przyjaciółkom na świecie.*

TTLR

## **Podziękowania**

Przede wszystkim pragnę wyrazić swoje uwielbienie dla niezwyklej Treny Keating, która jest zarazem olśniewająco piękną mamą trojga dzieci i redaktor naczelną: ukłony dla Ciebie i Lily Kosner – dziękuję Wam za niewiarygodnie trafne uwagi i mądrość. Dziękuję również ekipie z ICM: Jennifer Joel i Amandzie Urban, a także Josie Freedman i Elliotowi Webbowi z „lewego wybrzeża”. Specjalne podziękowania należą się Stevenowi Beerowi i Mary Miles z Greenberg Traurig. Wyrazy uznania dla Lee–Seana Huanga za pomoc w sporządzeniu tabelki i ogromne dzięki dla moich anonimowych hedgingowych „Głębokich Gardel” za intensywny kurs o Wall Street i mnóstwo pikantnych kąsków. Dziękuję wszystkim wspaniałym ludziom, którzy mnie wspierali, takim jak mama Amelii, Laura Tanny, Jacky Davy, Lisa Jacobs, Aviva Drescher, Tiffany Dubin, Carrie Karasyov, Janisse Tio, Tara Lipton, Alexis i Philip Mintzowie, Heinzowie, państwo Bevilacqua, Dan Allen, Jenn Linardos, Michael Kovner i Jean Doyen de Montaignou, Suzanne Cleary, Allison Aston, Beth Klein, a zwłaszcza Carol Bell i Barbara Martin.

Dziękuję moim Kiki: Vanessie Eastman, Jeannie Stern, Danie Jones, Trip Cullman i Lauren Duff. Zainspirowałyście mnie do napisania tej ody – nie tylko na cześć miłości, ale też prawdziwej przyjaźni. Bardzo Was kocham. Przede wszystkim dziękuję Lisie Turvey za wszystkie poprawki, uwagi i rady.

Na koniec dziękuję mojej rodzinie: Williemu, Mamie, Tacie i wszystkim Kopelmanom oraz Kargmanom, zwłaszcza mojemu LC, najlepszemu, najbardziej wspierającemu mężowi, oraz Sadie, Ivy i Fletchowi. Kocham Was, moje małe misie.

## Słowniczek ulubionych pojęć *hedgingowej* żony,

### od A do Z

A – Armani, aston martin, Aman i American Express (czarna)

B – Bonpoint, Bergdorf, botoks, Bulgari, biżuteria

C – Cartier, Chanel, Citibabes

D – Dolce & Gabbana, Dior, droga impreza

F – fundacja, Fendi, Frette, futra, Frederic Fekkai

G – Gucci, golf, Goyard, gosposia

H – helikopter, Hamptons ,

I – iPhone, The Ivy

J – Jacadi, Jimmy Choo, jacht

K – kierowca, torba Kelly (w dowolnym kolorze)

L – Lanvin, Louboutin, La Perla, Lobel's, długie/płynne lunche, letni dom

M – Missoni, mercedes, manikiur

N – Nina Ricci, NetJets, niania

O – Oscar de la Renta, opera P – portier, pilates, Porthault, Paryż

R – Rive Gauche, Rachel Roy S – szofer, Swifty's, Saks, Skybox

T – Tiffany, Teterboro

U – Ungaro

V – Vogue, Valentino, Van Cleef, Vivier"; lista VIP-ów

W – Włochy, wychudzona

X – xanax

Z – zawiść, Zone, Zegna, Zenith, zimowy dom

Ż – żółty diament \_\_\_\_\_

*\* Hedging (ang) – strategia finansowa zabezpieczająca przed skutkami nadmiernych wahań cen papierów wartościowych, polegająca na doborze do portfela aktywów o przeciwnie skorelowanych trendach*

TTLR

# *Rozdział 1*

Nowy Jork, 2006

*Słyszeliście już o nowej „Rozwiedzionej Barbi? Dołączyli do niej wszystkie rzeczy Kena!*

Jest rok 1789. Szarymi ulicami Paryża snuje się mgła, a ufryzowane głowy spadają do koszy pod Bastylią. Wynędzniała, brudna i pijana ciżba wiwatuje. Kończy się epoka, gdy wymuskani skretyniali członkowie królewskiego rodu, pogryzający maślane bułeczki i pudrujący peruki, mogą paradować po pałacowych dziedzińcach w zdobnych strojach, przepaść dzieląca tych, którzy jedzą kruszonkę, od tych, którym dostają się okruchy, zmniejsza się, przy rykach rozradowanego tłumu, z każdym cięciem ozdobionej jeszcze niedawno biżuterią szyi. Jako fanatyczna miłośniczka Broadwayu widziałam *Nędzników* pewnie ze dwadzieścia razy. Jednak gdy ostatnio wznowiono spektakl zaledwie na kilka wieczorów, muzyka wydała mi się jeszcze piękniejsza. W sali wypełnionej po brzegi turystami i wielbicielami teatru, takimi jak ja, rozkoszowałam się doskonałym tekstem i śpiewem na żywo, nieporównywalnym z moją wysłużoną płytą CD. Ponowne obejrzenie przedstawienia było jak zjedzenie ulubionego owocu sezonowego, który pojawia się na krótko – ta muzyka była dla moich uszu tym, czym dla podniebienia są soczyste truskawki.

Nawet przez ostatnią dekadę — tyle bowiem minęło od ostatniego wystawienia *Nędzników* na Wielkiej Białej Drodze, wiele się zmieniło w naszym przybrudzonym mieście. W Nowym Jorku rozszalało się nowe błyszczące imperium, pełne zbytku i strzeżonego przed motłochem luksusu, jak ten, którym rozkoszowali się ubrani w gorsety członkowie francuskiej

rodziny królewskiej. Pomyślałam sobie: jakież ja mam szczęście. Nie tylko dlatego, że żyję w czasach, gdy nie grozi nam już gangrena, trąd i niewydajny system kanalizacyjny, ale również dlatego, że gdyby istniała u nas piramida klasowa, jak w dawnej Europie, znalazłabym się na samym jej szczycie, bezpieczna, poza zasięgiem rozszalałych tłumów, wymachujących sztandarami i skandujących pełne złości hasła. Nie, nie jestem bynajmniej arystokratką ani królową. Jestem zwyczajną, stojącą twardo na ziemi kobietą. Muszę się jednak do czegoś przyznać: jestem hedgingową żoną...

Hej, zaczekajcie!

Nie puszczajcie jeszcze sznura gilotyny!

Nie jestem taka jak oni, przyrzekam. Nie jestem anorektyczną ofiarą mody ani mierzącą sto siedemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu tabletką xanaksu z twarzą kobiety. Wyglądam na swoje trzydzieści cztery lata i nie uległam jeszcze ani strzykawce z botoksem, ani chirurgowi od operacji plastycznych biustu, pomimo iż grawitacja (**9,81** metra na sekundę do kwadratu) zrobiła podczas ostatniej dekady swoje.

No dobrze, niektórzy moi znajomi są jakby nie z tej ziemi, ale inni dokładnie wiedzą, co się wokół nich dzieje, i z upodobaniem posiadanie pieniędzy kojarzą z możliwością ich rozdawania. Muszę przyznać, że dziewczyna potrafi docenić zalety życia wolnego od zmartwień finansowych, jednak świat, w którym się obracam, ma również parę wad. Najgorszą jest wieczna pogoń ku doskonałości, za wszelką cenę. We wszystkim – czy będą to idealne dzieci, idealny dom, idealne ciało, idealne życie. Wiele moich przyjaciółek stało się niewolnicami swojego wyglądu. Każdy pieprzyk, każda zmarszczka, każda fałdka musi zniknąć\* Sześćset dolarów za krem z owczego łożyska. Prywatni trenerzy, odsysanie tłuszczu,

cała ta chirurgia plastyczna. Zrobią wszystko dla boskiego wyglądu. Ja natomiast jestem daleka od doskonałości. Raczej dzinsy od J. Crew niż falbaniaste szyfony J. Mendel. Czasem oglądam kolekcje projektantów i żałuję, że nie wiem, czy chciałabym wyglądać jak modelka z wybiegu ani co zrobić w tym kierunku. I choć prawdopodobnie moje konto zniosłoby jakoś te absurdalne ceny, to nigdy nie byłabym w stanie świadomie wydać tak dużo na ubrania. Po prostu zostałam inaczej wychowana. Dorastałam w Bostonie, w zamożnej, ale jednak normalnej rodzinie, – nikt nie szastał i nie chwalił się pieniędzmi. Mój ojciec jest dobrym człowiekiem, pediatrą, dziś już na emeryturze. Moja świętej pamięci matka była kwintesencją wyszukanej elegancji, a nie krzykliwej obfitości, miała klasę, a nie tylko kasę. Owszem, kilkoro moich kolegów i koleżanek z klasy było dziećmi multimilionerów (wtedy to jeszcze było coś), ale nawet oni zmuszali szoferów do zatrzymywania samochodów przecznicę przed szkołą, żeby nie wysiadać przy znajomych z limuzyny. Dziś w Nowym Jorku pod szkołą mojego synka Milesa codziennie widzę podjeżdżającego rolls-roycea z dziecięcym fotelikiem z tyłu. W Bostonie przedsiębiorca musiał naprawdę stworzyć produkt i nigdy nie afiszowałby się z pieniędzmi w wersalskim stylu. Ojciec jednej mojej znajomej wynalazł obcinacz do paznokci, inny kosiarkę, taką jaką znamy dzisiaj – te patenty wciąż przynoszą niesamowite pieniądze, ale żadna z tych rodzin nie zmieniła zasadniczo stylu życia. Choć wielu rodziców moich rówieśników miało duże pieniądze, nie okazywali tej ostentacyjnej arogancji, którą widzę dziś wokół siebie.

Manhattan to zupełnie inny świat. Tu zbili fortuny ludzie, którzy kupują i sprzedają usługi finansowe, a nie konkretny produkt. Tu pieniądze robią pieniądze. Bardzo niewiele mieszczących się tu firm sprzedaje coś, co



można by wziąć do ręki. Wszystko polega na wymianie, inwestowaniu i przewidywaniu tego, jak zareaguje dany rynek. Nic nie irytuje mojego męża Tima bardziej niż to, gdy na pytanie, czym się zajmuje taki to a taki człowiek, odpowiadam beztrąsko: „No wiesz, Wall Street”. Wtedy on próbuje mi wyjaśnić, że na Wall Street może pracować zarówno rekin finansowy od funduszy *private equity*, jak i zwykły szeregowy pracownik działu obsługi klienta, można tam spotkać każdego – zarówno pod względem umiejętności, jak i majątku. Ale pomimo moich świetnych ocen z matematyki w liceum dziś wszystkie cyferki kojarzą mi się raczej z hieroglifami niż stanem posiadania. Prawda jest prosta: wcale mnie to nie interesuje.

Nieraz Tim urządzał dla mnie minikurs – doskonały środek nasenny – dotyczący różnic między ludźmi obracającymi akcjami a tymi, którzy obracają towarami (takimi jak boczek i słynny mrożony koncentrat soku pomarańczowego w *Nieoczekiwanej zamianie miejsc*), oraz tymi zajmującymi się inwestowaniem *venture capital* w małe firmy z dużym potencjałem rozwoju. No i na końcu zawsze dochodzimy do rekinów rynku finansowego, królów mamony, czyli gości od funduszy hedgingowych. To, czym zajmuje się mój mąż i jego brat Hal, jest dla mnie równie tajemnicze, co nudne. Fundusze hedgingowe nie są tak ściśle regulowane jak inne fundusze inwestycyjne, bazują na bardzo wysokim procencie *two and twenty* (czasami *three and thirty*, jeżeli idzie im bardzo dobrze) pobieranym zarówno od inwestowanych pieniędzy, jak i od zysku. W ten oto sposób pojawiło się wielu chłopców z dużymi pieniędzmi. Ludzie wiedzą tylko, że ci chłopcy potrafią robić pieniądze, oraz że kultura masowa, choć na ogół nie ma pojęcia, co oni robią, i tak ich wielbi.

Projektanci mody w wywiadach dla kanału E! mówią, że inspiracją dla nich jest „styl hedgingowy”. Artyści, którzy przyjeżdżają do Miami na targi sztuki Art Basel, nie robią tego, aby poznać innych twórców i marszandów, lecz by znaleźć nowych mecenasów, gotowych wydać miliony za prosiaka w formalinie lub ochlapaną farbą płytę. Gdy ludzie pytają, czym zajmuje się Tim, a ja odpowiem: „funduszami hedgingowymi”, na sto procent usłyszę „Ooooooch!” i znów poczuję zażenowanie. W potocznym rozumieniu fundusze hedgingowe utożsamiane są z całymi górami sztabek złota. Wydano nawet specjalną książkę: *Hedge Funds for Dummies* („Fundusze hedgingowe dla idiotów”). Faceci zajmujący się funduszami hedgingowymi kochają swoje pieniądze. Chciwość jest dobra, tak przynajmniej mówiono, ale w naszych czasach przechwalanie się jest jeszcze ważniejsze. Wygląda na to, że każdy facet, z którym współpracuje mój mąż, musi mieć najnowszy telefon, najnowszy samochód, największy dom i wszystko, czym tylko można zaszpanować. Jedyne, czego nie uświadczysz w tym gronie, to choćby odrobina skromności. Blichtr, arogancja i tupet to styl, który im odpowiada. Tak samo jest z kobietami, które się za nimi uganiają. I choć większość pań włożyłaby adidas do sukni ślubnej od Very Wang, by szybciej dobiec do ołtarza, przy którym czeka jeden z panów od funduszy hedgingowych, uwierzcie mi: takie małżeństwo ma swoje słabe strony.

Po pierwsze, trzeba sobie poradzić z syndromem „zaginionej w akcji”. Tim nieustannie podróżuje, więc bardzo często zostaję sama z Milesem pochrapującym smacznie w swoim pokoju i pilotem do telewizora, dzięki któremu zdecydowanie za dużo wiem z telewizji E! na temat Hugh Hefnera oraz jego trzech dziewczyn i nieraz ogarniały mnie mdłości na widok brzucha obandażowanego po operacji plastycznej (ileż to razy

tłumiłam myśl, żeby może też się na to zdecydować, bo co tu ukrywać, mam już krągły brzusek). Z kolei kiedy Tim jest w domu, nieustannie musimy „bywać”. Imprezy hedgingowe, bale charytatywne, ślub siostry współpracownika Tima itp. Im więcej masz pieniędzy, tym więcej znajomych, żartuje Tim, ale on uwielbia towarzystwo. A ja? Ja jestem nudna. Podczas gdy Tim lubi imprezować, popijać dwunastoletnią szkocką whisky i drogie wina, ja wolę... mrożony koncentrat soku pomarańczowego.

Dobra strona tych wszystkich kontaktów polega na nieograniczonych możliwościach spełniania tego, co lubię najbardziej, czyli działalności charytatywnej. Ten światek ma niewyobrażalnie dużo pieniędzy, a pieniądze połączone z aspiracjami społecznymi aż się proszą, żeby je zbierać na jakieś szlachetne cele. Poświęciłam się więc pracy na rzecz szpitala, zapraszałam ludzi na nasze imprezy dobroczynne i zbierałam całe fury pieniędzy. Udało mi się zdobyć ich tak dużo, że Susan z działu rozwoju zdradziła mi plan rady nadzorczej, by zaproponować mi członkostwo. Oczywiście w pracy charytatywnej, tak samo jak wszędzie, cały wic polega na wzajemnym poklepywaniu się po plecach. Każdy, kto ofiarowuje pieniądze lub kupuje bilet na moją imprezę, oczekuje, że ja odplacę mu tym samym, i w efekcie niemal cały wolny czas wypełniają mi bale dobroczynne.

Tego typu imprezy z pewnością nieraz okazują się nawet dość zabawne, ale ostatnio sprawy zaszły nieco za daleko. Doszło do tego, że powinnam bywać pięć razy w tygodniu. Czasem martwi mnie wręcz, jak łatwo kłamię, gdy chodzi o wymigiwanie się z udziału w bankietach. Przychodzi mi równie naturalnie, jak oddychanie. „Dzień dobry, mówi Holland. Naprawdę mi przykro, ale Tim i ja niestety nie będziemy mogli pojawić się w operze na państwa »Wieczorne z Wagnerem«, ponieważ

właśnie zawitali w mieście nasi starzy znajomi!" lub: „O mój Boże, nie przyjdę na twój luncheon, gdyż mam umówioną wizytę u lekarza. Jaka szkoda!". Naprawdę to tylko drobne kłamstewka, mające oszczędzić ludziom przykrości; ja po prostu wolę kameralne spotkania w gronie najbliższych znajomych od sztywnych oficjalnych fet z frakami i diamentami.

Weźmy takie luncheony. Mam nienaruszalną zasadę: nie uczestniczę w nich. Na Manhattanie nie jest łatwo jej sprostać i co najmniej raz w tygodniu muszę kłamać jakiejś hedgingowej żonie, zapraszającej mnie na ciągnące się w nieskończoność popołudnie w La Goulue lub Sette Mezzo. Nie okłamujmy się: słowo „luncheon” to nic innego jak połączenie słów „lunch” i „eon” (wiek, stulecie), i słusznie, ponieważ właśnie tyle trwa. Ostatni, na którym się pojawiłam, związany był z Muzeum Historii Naturalnej i trwał tak długo, jakby jakiś wielki tyranozaur wygryzł swoimi wielkimi zębami kawał mojego dnia. Niezależnie od tego, jakie miałam plany – oprowadzanie rodziców przyszłych uczniów po szkole Milesa, pisanie listów mających pomóc zebrać pieniądze na szpital czy po prostu zajmowanie się domem — taki luncheon rujnował mi cały dzień. Tak więc nie czułam się ani odrobinę winna, słodko i przepaszająco deklamując do słuchawki kolejną zmyśloną wymówkę, która ma mnie uratować przed spotkaniem pod względem frajdy porównywalnym jedynie do kanałowego leczenia zęba.

Okłamywanie Tima to zupełnie inna sprawa.

Mój mąż po siedmiu latach małżeństwa zna mnie tak dobrze, że wciskając mu jakąś wymówkę muszę odwrócić wzrok i zająć się jakąś niedoskonałością na twarzy lub poprawieniem makijażu, by nie patrzeć mu

prosto w oczy. A musiałam go okłamywać, odkąd miesiąc wcześniej poważnie się pokłóciliśmy.

— Ty chyba nie rozumiesz, co do ciebie mówię, Holly! –krzyczał, a jego brązowe oczy ciskały błyskawice. – Nie wolno ci już nigdy rozmawiać z Kiki! Nigdy! Ona już nie należy do naszej rodziny. Zostawiła mojego brata i jest paskudną małą ździrą. Rodzina Talbottów trzyma się razem i jeżeli Hal wyrzucił tę szmatę ze swojego życia, to my zrobimy to samo. Masz ją wykasować ze swojego Outlooka. Ta wywłoka nie jest już częścią naszego życia!

Powiedział to i poszedł do łazienki, po czym zatrzasnął za sobą drzwi. Usłyszałam, że odkręcił prysznic. Zamknęłam oczy. Wiedziałam, że pomimo brzmiącego jak wojskowy rozkaz polecenia w żadnym wypadku nie zamierzam mojej najlepszej przyjaciółki – obecnie byłej szwagierki – wyciąć ze swojego życia.

Wyszłyśmy za mąż za braci – potomków Comet Capital, wspaniale prosperującego nowojorskiego funduszu hedgingowego. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Kiki Silverstein, nie byłam pewna, co o niej myśleć. Pyskata, w płaszczu od Dolce—& Gabbany z wielkimi złotymi guzikami, a do tego w lamparcie cętki, czubek jej głowy przystrajały ogromne okulary przeciwsłoneczne w stylu Rachel Zoe, przypominające oczy owada, a całość dopełniały piętnastocentymetrowe czarne skórzane szpilki. Właśnie dyktowała swojej asystentce przez zestaw słuchawkowy supernowoczesnego telefonu listę zadań do wykonania. Odgarnęła wypielegnowaną dłońią z długimi ciemnoczerwonymi paznokciami lśniące ciemnobrązowe, sięgające do ramion włosy i pokazała odrobinę za mocny makijaż nad krystalicznie

niebieskimi oczami. Podczas gdy Posey, Mary i Trish, krąg moich nowojorskich znajomych, głównie mam dzieciaków ze szkoły Milea, składał się z kobiet subtelnych, delikatnych i konserwatywnych – wszystkie przypominały damy – Kiki była bezczelna, arogancka, energiczna i ostra jak brzytwa. Swoim ryszotkowym językiem i boskim ciałem sprowadzała na manowce myśli nawet najporządniejszego faceta. Jednak krok po kroku, poznając ją, przekonałam się, że pod maską nakręconej lalki, rzucającej na lewo i prawo celne uszczypliwe uwagi lub zjadliwy dowcip, kryła się delikatna, troskliwa i dobra dusza. W ciągu tych sześciu lat małżeństwa z Halem Kiki naprawdę stała się dla mnie rodziną. Pomimo wszelkich różnic była dla mnie jak siostra, której nigdy nie miałam. I teraz nie mogłam, ot tak, po prostu wyrzucić jej z życia tylko dlatego, że Hal to uczynił.

Kiki opowiadała, że kiedy poznali się z Halem, zaiskrzyło między nimi jak wybuch bomby atomowej. Zamykali się w mieszkaniu na całe dni. Tylko pojemniki po chińszczyźnie przed drzwiami świadczyły, że jeszcze żyją. Ale oni nigdy nie czuli się bardziej żywi niż wtedy. Pełni pasji i obłędnie zakochani, rzucali się na siebie w najróżniejszych miejscach: w szatni, na imprezach, nawet w toalecie dla niepełnosprawnych podczas spotkania klasowego z okazji dziesiątej rocznicy ukończenia liceum. Kiedy się poznałyśmy, lata świetlne dzieliły mnie od namiętności, która ich łączyła. Przez pierwsze miesiące ciąży z Milesem częściej rzygałam, niż jadłam, i wydawałam się równie atrakcyjna jak wieloryb. Podczas gdy Hal całował i lizał jej ucho, a najprawdopodobniej również obmacywał ją pod stołem, my z Timem przypominaliśmy stare, dobre małżeństwo, z naszym już trzyletnim stażem, odprężeni, cierpliwie oczekujący bociana. Z

pewnością kochaliśmy się, ale już nie szaleliśmy w łóżku jak dwa króliczki. Skoro o tym mowa, to Tim chyba nigdy nie obmacywał mnie pod stołem.

Jednak czas robił swoje. Iskry słabły, słabły, aż w końcu zgasły. Hal zaczął coraz bardziej odpychać Kiki od siebie. Stał się zimny i obcy, a podczas kolacji interesowały go jedynie wyniki Tigera Woodsa podczas ostatnich zawodów. Nie pragnął jej już tak jak kiedyś. Dość szybko okazało się, że obie z Kiki w soboty i niedziele jesteśmy golfowymi wdowami, bo nasi panowie, jeśli nie grali właśnie w golfa, to lecieli tam, gdzie odbywał się jakiś turniej PGA.

Mniej więcej dwa lata wcześniej, podczas zimowego wypadu na weekend do Palm Beach, dotarło do mnie po raz pierwszy, że tak naprawdę Kiki jest bardzo nieszczęśliwa, chociaż wszyscy mężczyźni odwracali się, żeby popatrzeć na nią, ubraną jedynie w bikini od Burberry.

– Jak ja, kurwa, nienawidzę tego miejsca. Tu są tylko nowożeńcy i uciekinierzy z geriatryka – powiedziała, schowana za tymi swoimi wielgachnymi okularami przeciwsłonecznymi. – Tu jest tak cholernie wilgotno! Wsiadam z samolotu, jestem na Florydzie, ale moje włosy są na Kubie. Zawsze wyglądam tu jak kupa gówna: skóra, włosy! Ten cholerny stan nawet wygląda jak jeden wielki fiut. I kiedy tylko tu wyląduję, to on pieprzy cały mój wygląd.

Skinęłam w stronę Milesa z niemą prośbą, aby kontrolowała swój język.

– Oj, przepraszam, Miles, ciocia powiedziała bardzo brzydko. – Kiki westchnęła, spoglądając na zegarek. Miles uśmiechnął się przebiegle, po czym pobiegł na wydmy pobawić się z dziećmi. – Czy ty, kurwa, jesteś w stanie zrozumieć tę pieprzoną obsesję Hala i Tima na punkcie golfa? Nie ma

sportu, którego oglądanie byłoby większą torturą. Równie dobrze można by oglądać, jak rośnie trawa. Jedyne, co widać, to facetów chodzących po bezkresnych polach i jeszcze w tych paskudnych portkach, które noszą – lamentowała. – Wolałabym już przeżuć własną wątrobę, niż oglądać te pieprzone mecze. Przepraszam. Wiem, że nie lubisz, jak klnę.

– Wcale mi to aż tak nie przeszkadza, tylko nie chcę, żeby Miles tego słuchał.

– Oj, proszę cię, nawet kiedy go nie ma, mówisz „kurczę” zamiast „kurwa”. Taką już jesteś grzeczną dziewczynką – nabijała się, głaszcząc mnie po głowie. – A ja mam na ciebie zły wpływ.

– Znam to. Uważasz, że jestem zablokowana i powinnam przestać dobierać słowa. No dobra. Cały ten golf jest do dupy. Jest absolutnie, kurczę, do dupy – przekomarzałam się z nią. – Ale oni tak ciężko pracują i jeżeli chcą się po pracy trochę odprężyć, to... – broniłam Tima.

– Proszę cię. Jeżeli Hal chce się odprężyć, to niech mnie puknie i od razu będzie odprężony. – Kiki popatrzyła w stronę wydm na bawiące się dzieci. – Holly, jeżeli ci coś powiem, to przyrzekniesz, że nie powiesz Timowi?

– Oczywiście! – obiecałam. – Nigdy nie opowiadam Timowi, o czym rozmawiamy.

Kiki zdjęła okulary. Jej błękitne oczy były pełne łez.

– Hal nie chce ze mną sypiać. Już od kilku miesięcy. Czuję się jak cholerna Maria Antonina. Pomijając oczywiście uciętą głowę. W moim życiu nie ma seksu. On nawet nie pozwala mi...



Zrobiło mi się jej żal, więcej, byłam w szoku. Ona i Hal zwykle przypominali koty w marcu, i to przez cały rok. Taki celibat w ich przypadku był czymś niewyobrażalnym.

– To przejściowe – zapewniłam, kładąc rękę na jej ramieniu. Starłam się pocieszyć przyjaciółkę, podczas gdy ona ocierała łzę, która spłynęła z mocno umalowanych oczu. – Tim i ja też przez to przechodziliśmy, to normalne.

– Wcale nie jestem tego pewna – odparła Kiki, ocierając łzy z długich, lśniących rzęs. – Poszliśmy ostatnio do mojej rodziny na seder. Przez cały czas Hal zachowywał się oschle, nieprzyjemnie. Rodzice i brat byli po prostu zszokowani. On mnie traktował gorzej niż faraon Żydów.

Minęły kolejne dwa lata. Oboje z Timem wiedzieliśmy, że w małżeństwie jego brata zapanowała era lodowcowa. Podczas jednego z cotygodniowych obiadów naszej czwórki Kiki próbowała objąć Hala ramieniem, a ten na naszych oczach gwałtownie ją odtrącił. Nawet Tim zauważył i skomentował, że Hal zareagował chyba trochę za ostro, ale zrzucił to na przepracowanie i stres związany z funduszem. Fundusz był dla obu niczym kochanka. Serio, czasem jestem zwyczajnie zazdrosna o laptopa i mam ochotę wyrzucić cholerne urządzenie przez okno. Nieraz Tim wstawał o **3:37**; myślałam, że idzie do toalety, ale już po chwili słyszałam stukot klawiatury. Potem było słycać „ping!” – sygnał nadejścia nowej wiadomości uderzający w bębenek mojego ucha. Albo na lotnisku, na kilka minut przed odlotem na upragnione wakacje... Musiał pobiec na sekundę do Admirals Club, oczywiście, żeby poklikać. Odbierał telefon podczas proszonego obiadu i choć siedział przy stole, to jakby go nie było. I tak bez końca. Chyba już rozumiecie, o co chodzi. Przez cały czas Kiki była tą,

która razem ze mną znosiła zdziwione spojrzenia, zgorszone kręcenie głowami, sykanie i wywracanie oczami zde gustowanych obserwatorów. Obie powtarzałyśmy naszym mężom cierpliwie: „Kochanie, nie piszemy SMS-ów, oglądając przedstawienie na Broadwayu”.

Muszę więc przyznać, że było dla mnie niespodzianką, a nawet szokiem, gdy Kiki pewnego ciepłego czerwcowego dnia posadziła mnie przy stoliku w Sant Ambroeus na Madison Avenue.

–Występuję o rozwód! – oznajmiła dramatycznym tonem. Przełknęła ślinę i spojrzała na mnie. – Mam już dosyć bycia hedgingową żoną.

## *Rozdział 2*

*Moja była żona jest niczym kardiolog. Wycięła mi serce z piersi.*

Po raz pierwszy... po raz drugi... Pozycja numer dwadzieścia dwa sprzedana za siedemset pięćdziesiąt tysięcy! — Ciche oklaski widowni ubranej w smokingi i wieczorowe suknie ledwo dotarły do sceny. Czy jestem na aukcji sztuki, gdzie tłum właśnie walczył o dzieło Damiana Hirsta? A może o etruską wazę? Może o pierścionek z pszczołą Schlumbergera? Otóż nie, rzecz dzieje się na dorocznej aukcji dobroczynnej fundacji Lancelot, dofinansowującej szpitale dziecięce, dwa dni przed tym, jak Kiki poinformowała mnie, że się rozwodzi. Dziś miejsca przy stolikach wykupił Comet Capital, jak również cała reszta liczących się w tym mieście funduszy hedgingowych. Licytacja odbywa się w Puck Building w SoHo. Od czterech lat wraz z Posey i Mary zasiadamy w Komitecie organizacyjnym. Odniosłyśmy sukces, bo udaje nam się zebrać więcej

pieniędzy niż jakiegokolwiek innej akcji w całym Nowym Jorku. Aż miło popatrzeć na tarcia i przepychanki w grupie, dysponującej wielkimi portfelami i równie gigantycznym ego. Taki Hugo Lovejoy wystawił dodatkowy czek dla fundacji Lancelot tylko po to, aby w tym roku nie przypadł mu stolik „na tej pieprzonej Syberii!”. Gwoli ścisłości: rok temu ich stolik bynajmniej nie znajdował się przy drzwiach do kuchni ani przy wejściu, po prostu jego żona Pippa chciała tym razem znaleźć się w pierwszym rzędzie. Można ująć to krótko, jak zrobił Hugo: „Stąd będzie widziała pot na twarzy licytatora”.

Zasady przydzielania stolików są proste. Im większa dotacja, tym bliżej sceny, gdzie licytator wywołuje kolejne astronomiczne kwoty, tam również pojawiają się sławni ludzie, zaproszeni, żeby wygłosić mowę,— także tu mieli grać Rolling Stonesi (pozycja numer piętnaście: „Zaśpiewanie *Jumpin' Jack Flash* z Mickiem, Keithem i chłopakami”, wylicytowana na milion dwieście tysięcy dolarów). Wśród innych propozycji „Piętnaście minut z Warrenem Buffetem (siedemset tysięcy dolarów)” oraz „Miska zupy z knedlami ugotowana przez Rachael Ray (sześćset siedemdziesiąt pięć tysięcy)”. Lunch z Charlize przyniósł trzy czwarte miliona.

Kiki twierdziła, że na takiej imprezie można tylko ziewać, natomiast ja uważam ją za interesującą, a już na pewno ciekawszą od większości akcji tego typu. Całość wygląda dość zabawnie: jak na kortach Wimbledonu dla hedgingowego towarzystwa. Głowy zebranych zwracają się raz w jedną stronę, raz w drugą, gdy zawodnicy podbijają ceny wyżej i wyżej. A wszystko po to, aby zaimponować kolegom i rywalom.

– Pozycja dwudziesta trzecia: „Vive La France: przelot prywatnym odrzutowcem do Paryża, pokój w hotelu Ritz oraz zaproszenia na pokazy

domów mody Chanel, Valentino, Lacroix, Nina Ricci, Gaultier oraz Lanvin".

Tabliczki do licytowania pofrunęły w górę, – żony aż zacierały ręce na myśl o tak wspaniałej okazji do zakupowego maratonu. Siedząca pomiędzy Mary i Trish Posey pomachała do mnie ręką z przeciwległego końca sali, podczas gdy jej mąż jako pierwszy przystąpił do licytacji.

– Sto tysięcy... czy ktoś da sto pięćdziesiąt? Kolejne tabliczki w górę.

– Jest sto pięćdziesiąt, czy ktoś da sto siedemdziesiąt pięć?

Kincaid i Peach Saunders przystąpili do wojny. Należący do Lightning Capital Kincaid zakasał rękawy:

– Dwieście tysięcy!

– Proszę was, ta kobieta nie rozpoznałaby stylu, nawet gdyby ugryzł ją w jej płaską anglosaską dupę – jęknęła mi do ucha Kiki. – Wygląda jakby Chico eksplodował w pomieszczeniu, w którym się ubierała. Co za pieprzone marnotrawstwo.

– Zamknij się Kiki! – warknął z wściekłością Hal. Trzymałam właśnie Tima za rękę i odruchowo mocno ją

ścisnęłam. On jednak dalej patrzył prosto przed siebie, nawet na sekundę nie odwracając wzroku. Auć! Zerknęłam na Kiki, która siedziała z założonymi rękami wyraźnie zraniona tą publiczną reprimendą.

Wtedy właśnie Mac MacMonigle z RockyPeaks Capital uniósł swoją tabliczkę, podczas gdy żona Jessica (i jej nowe piersi, które zawdzięcza doktorowi Hidalgo) dumnie błyszczała u jego boku. W górę poszybowały również tabliczki przy stolikach zajętych przez megafundusze, takie jak Gerberus, Centaurus i Firebird.

Szef Lava Capital dołączył do licytacji przy trzystu tysiącach, a następnie Gianni Fasciatelli z WinStar Capital przeniósł licytację na kolejny poziom.

Do mojego krótkiego opisu, czym są fundusze hedgingowe, powinnam chyba dołączyć informację, że bardzo ważnym elementem każdego z nich jest nazwa. Ponieważ wszystkich tych ludzi radośnie wymachujących tabliczkami widziałam milion razy podczas najróżniejszych imprez, a znałam niemal wszystkich – również nazwy ich firm nie były mi obce. Na takiej właśnie aukcji, kilka lat temu, podczas przerwy na drinka usiadłyśmy z Kiki przy stoliku i notując wszystko na serwetkach, stworzyłyśmy tabelę, która może posłużyć do znalezienia odpowiedniej nazwy dla funduszu hedgingowego.

Sprawa jest prosta: aby wywrzeć wrażenie wielkości, należy wybrać podniosłą lokalizację, najlepiej coś związanego z niebem lub geografią (Kolumna A). Można również skorzystać z odpowiedniego odniesienia do greckiej mitologii (Kolumna B) lub odwołać do jakiejś elitarniej miejscowości lub kurortu (Kolumna C). Taki wyraz z kolumny A, B lub C może funkcjonować samodzielnie lub zostać połączony z innym, najlepiej z nomenklatury geologicznej lub topograficznej (Kolumna D). Na koniec do nazwy należy dodać wyraz określający to, czym dana grupa kapitałowa tak naprawdę jest (Kolumna E).

W efekcie otrzymamy takie nazwy jak: StarPoint Capital, Cos Cob Ventures lub ApolloCrest Management. Mam nadzieję, że wszystko jest jasne. Niezależnie od tego, którą opcję się wybierze, wynik zawsze jest ten sam: A, B lub C + D + E = = ego + powiększenie penisa. O ile ktoś nie stchórzy i nie zdecyduje się na wykorzystanie w nazwie swojego nazwiska

lub inicjałów, to właśnie w ten opisany przeze mnie sposób większość funduszy otrzymało swoje nazwy.

–Pozycja dwudziesta czwarta: sprzedana za sześćset tysięcy dolarów panu w pierwszym rządzie.

Ha. To nudny mąż Petri McNaughton, Roy, z EverestPeak Management. Wszyscy przy stoliku poklepują go po plecach, tak jakby naprawdę udało mu się coś osiągnąć. A on jedynie wywalił kasę – i to, uwaga!, bardzo publicznie – na jakąś durną wycieczkę. Petri promieniała. Posey i Trish tylko wywracały oczami. Choć moim znajomym zdarzały się dość dziwaczne i znaczne wydatki, to przynajmniej w nowojorskich standardach były to bardzo rozsądne kobiety. Niektórzy ludzie, z którymi spotykaliśmy się towarzysko, czasem robili coś – delikatnie ujmując – przesadnego. Jednak nawet najgorsi z nich nie zbliżali się do absurdu promowanego przez McNaughtonów. Plotka głosiła, że Roy wysłał kiedyś swój prywatny samolot do Maine po pięć żywych homarów, które jego córeczka miała zabrać do przedszkola. Oczywiście wszystko na pokaz.

Po trzech kolejnych turach (w tym wygranej dla Mary, której mąż wylicytował „Dzień na zakupach z Cate Blanchett oraz wizytę u jej kosmetyczki”) Kiki złapała mnie za rękę i zaciągnęła do łazienki. Uznała, że konieczna jest przerwa.

– Możesz uwierzyć, że ten kretyn wywalił milion dolców na jogę z pieprzoną Rebeccą Romijn?! – Kiki nałożyła kolejną warstwę jaskrawoczerwonej szminki i poprawiła opalony biust w staniku. – Dla tych koleśków to jakby wydać dwie dychy.

– Proszę cię, wiesz, że Tim chce licytować wyjazd na tydzień ścigania się McLarenami – poskarżyłam się. – Postawiłam sprawę jasno: służbowe

wyjazdy to jedno, ale chyba nie oczekuje, bym tłumaczyła Milesowi, że tatusia nie ma, bo pojechał ścigać się bolidami?

– Hal też robi do tego przymiarkę, ale to nawet dobrze. Kiedy wyjadą, będziemy się mogli zabawić. Pieprzyć ich. Trafia się okazja, żeby zaliczyć te wszystkie smętne przedstawienia z Broadwayu, na które masz taką chrapkę.

Siedziałyśmy w łazience, plotkując, aż weszła Emilia d'Angelo, doskonała hedgingowa żona. Idealny wieszak na ubrania z blond trwałą. Jej syn Prescott chodzi razem z Milesem do tej samej grupy w przedszkolu w St. Sebastian's. Trish, Posey i Mary bardzo się z nią przyjaźniły, co automatycznie oznaczało, że ja również. Zawsze była dla nas miła, ale jeżeli chodzi o moje wymagania, za bardzo lubiła wydawać pieniądze i chwalić się nimi. Zaraz po wejściu właściwie jednym tchem udało jej się wymienić dom zimowy w Gstaad, posiadłość w Gin Lane Southampton, G5 oraz My Honey's Money, czyli jacht, który trzymają na Kajmanach. Posey zażartowała kiedyś, że wobec jachtu d'Angelo ich (pięćdziesięciometrowy) wygląda jak szalupa ratunkowa. Z Posey znałyśmy się dość dobrze, ponieważ nasze dzieci chodziły do tego samego żłobka, więc gdy zaprosiła do swego kręgu Emilię, ja, to oczywiście, zrobiłam to samo. Ich mężowie razem pracują i grają w golfa w Southport. Ponieważ synowie Emilii, Mary i Trish również znali się z przedszkola, w dość naturalny sposób stworzyłyśmy paczkę. Nasze więzi dodatkowo umacniało częste uczestnictwo w imprezach takich jak dzisiejsza. Do tego doszły wspólne babskie obiadki, gdy nasi mężowie brali udział w jakiejś wyjazdowej konferencji związanej z funduszami, domowe pokazy biżuterii, torebek i

ciuszków dla dzieci. Czasem nawet zdarzał nam się jakiś rodzinny (czytaj: z mężami) wypad na weekend do Mayflower w Connecticut.

Kiki nie potrafiła zrozumieć, co ja w nich widzę, dla niej były nudziarami i pozerkami. Fakt, że Kiki jest bardziej luzacka i odrobinę młodsza, ale prawdopodobnie szło o to, że nie miała dzieci. Nie potrafiła zrozumieć, ile mnie łączyło z tymi kobietami. Czy chodziło o nauczycieli, szkolne plotki, zbieranie pieniędzy lub imprezy sportowe, zawsze sprawy dotyczyły nas wszystkich. Do tego jeszcze ja i Posey z upodobaniem urywałyśmy się z mamusiowej grupy na wino. Stworzyłyśmy nawet miniklub imprezowy, który nazwałyśmy: „Berbecie z tonikiem”. Nasze bractwo działało głównie zimą, – nasi dwu- i trzyletni synowie z nudów wpadali na najdziwsze pomysły, a ja zyskiwałam pewność, że zmierzam prosto do oddziału psychiatrycznego na terapię Payne Whitney, specjalnie dla kobiet.

– Cześć, dziewczyny. Marco właśnie mi kupił tecz z aligatora od Hermesa! – Emilia tryskała radością. – Uszyty ręcznie, ze skóry jednego aligatora! Możecie w to uwierzyć?

Zdaniem Kiki d'Angelo ważyła nie więcej niż czterdzieści pięć kilo, a właściwie dużo mniej po zdjęciu pierścionka z ogromnym brylantem, który teraz oślepił mnie wprost, gdy Emilia odgarniała kosmyk włosów za ucho.

– Gratuluję — wtrąciłam, nie przerywając jej opowieści o nowych nabytkach. Szczęśliwie reszta naszej paczki miewała ciekawsze tematy do rozmowy, nie mówiąc już o większej dyskrecji.

– Do zobaczenia jutro w szkole – rzuciła Emilia po wyczerpaniu pełnej listy zasobów, uśmiechnęła się i wyszła.



– Najchętniej wrzuciłabym ją na sam środek bagna w Everglade i patrzyła, jak aligatory dobierają się jej do tyłka – powiedziała Kiki, szukając papierosa.

– Za bardzo by się nie najadły – dodałam, nakładając błyszczyk.

– Racja – zaśmiała się Kiki. – Jakby dać im krakersa, jest jak żywa reklama słonych paluszków.

– No dobra... Czuję się troszkę winna, nie jest aż taka zła – powiedziałam. – Po prostu za bardzo lubi wszystkim imponować.

– Ohyda. Całe to twoje mamuškowe towarzystwo przypomina klony. One wyglądają na pięćdziesiąt lat, a mają po trzydzieści. Jedwabne chusty i te kaszmirowe pelerynki z falbankami albo z futerkiem, normalnie pieprzone emerytki.

Kiki, przynajmniej w opinii moich koleżanek, nosiła sukienki tak krótkie, jakby miała dwadzieścia lat. Ona i moje koleżanki były przeciwnymi stronami monety, na której rancie stałam, patrząc raz na awers, to znów na rewers. Nie nosiłam się już tak modnie jak kiedyś (choć nigdy tak wyzywająco jak Kiki), ale odważniej niż reszta pań z mojego towarzystwa. Owszem, mam długie ciemnoblonde włosy i niezbędne kompleciki od Tory Burch. Jednak gdy moje koleżanki wykazywały tendencję do naśladowania republikańskich matron, ja powracałam do mojego przedmałżeńskiego po części hipisowskiego stylu, kiedy to kupowałam fajne tanie sukienki w centrach handlowych lub nosiłam wytarte pamiątkowe T-shirty z kolejnych koncertów. Niestety, te czasy bezpowrotnie minęły. Unikałam konformizmu, ale jako matka, a do tego bywalczyni różnych oficjałek, musiałam się ubierać odpowiednio na wyjścia u boku Tima. W rzadkich chwilach, kiedy nie musiałam nigdzie iść, po

prostu chciałam, żeby mi było wygodnie, stąd właśnie nudny uniform: dżinsy, bluzki, proste sukienki albo spódnica z kaszmirowym T–shirtem. Muszę jednak przyznać, że czasem brakowało mi młodzieńczej odwagi. Nie zamierzałam wkładać supermini z szafy Paris Hilton ani, wzorem statecznych małżonek senatorów, owijać się futrami do samej ziemi, jak robiły niektóre moje koleżanki. Staralam się balansować między skrajnościami.

Emilia należała do kobiet, które po prostu za bardzo się starają. Każdy włoszek na właściwym miejscu, koniecznie najmodniejsze dodatki idealnie dopasowane. Wszystko zawsze na błysk. Nawet jej syn był taki, słowo daję, na własne uszy słyszałam, jak Prescott, odbierany ze szkoły ostatniego dnia przed świętami, zapytał: „Mamo, do Lyford lecimy cessną czy G4?”. A kiedy Emilia odpowiedziała mu, że niestety cessną, bo w ich gulfstreamie wymieniają tapicerkę na brązowy zamsz, po tym jak poprzednią wypačkał czekoladowymi ciastkami podczas ostatniej podróży, chłopak wypalił: „O rany! Ale do kitu!”.

Kobiety z tzw. towarzystwa dość powszechnie uważają, że jedyną ich powinnością jest rola wystrojonej, zadbanej, wypieszczonej laluni. Zresztą większość wcale nie robi tego, by przypodobać się swoim mężom. Na giełdzie snobów liczą się inne kobiety, to dla nich trzeba zawsze błyszczeć, olśniewać i toczyć życie bez żadnej skazy. Skóra na czołach napięta za pomocą botoksu doktora Pata. Tyłki bez śladu cellulitu dzięki doktorowi Danowi. Piersi zawsze jędrne i kształtne, na nogach nie zobaczycie żyłek ani włosów, a skóra gładka jak pupa niemowlaka. Lasery, odsysanie, wypełnione silikonem wargi, doklejane paznokcie, wymasowane stopy. Artyści od makijażu czynią cuda, szykując panie na imprezy takie jak ta.

Wyobraźcie sobie społeczeństwo, które w całości przypomina gigantyczną ekipę cheerleaderek i rządzi od Madison Avenue po Avenue Montaigne!

Drzwi do łazienki otworzyły się ponownie i usłyszałam głos licytatora wzmocniony marmurowymi ścianami pomieszczeń.

– Pozycja trzydziesta trzecia: rola zwłok w serialu *Prawo i porządek*.  
Wartość: bezcenne.

Dreszcz mnie przeszedł. Co prawda powiedziałam Timowi przed aukcją, że niczego nie potrzebuję, dał już wystarczająco hojny datek i nie musi nic licytować. Spojrzałam jednak na Kiki, uśmiechając się jak głupia – to w końcu mój ulubiony serial. Tim doskonale wie, że kiedy wyjeżdża, ja dzięki pilotowi siedzę ciągle w sądzie z Jackiem McCoyem i resztą towarzystwa. Nikt, nawet porypani blogersi i zakochane w Chrisie Nocie panienki nie wielbią *Prawa i porządku* tak jak ja. Znałam każdy odcinek. Zapamiętałam tyle prawniczego żargonu oraz przepisów, że doświadczeni prawnicy traktowali mnie nieraz jak koleżankę po fachu. Wyplakałam sobie oczy, kiedy umarł Jerry Orbach.

Wyszłam z toalety. Zagryzłam dolną wargę i uśmiechnęłam się do męża, a on od razu zrozumiał, że byłabym najszcześniejszym trupem na świecie.

Wróciłyśmy do stolika akurat w chwili, kiedy podnosił tabliczkę.

– Pięćdziesiąt tysięcy! Czy ktoś da pięćdziesiąt pięć?

Kolejne osoby włączyły się do licytacji. Przy stu dwudziestu pięciu tysiącach szepnęłam do Tima:

– Kochanie, daj spokój, to nie jest tego warte.

– Nie ma mowy, Holly, zamierzam wygrać tę licytację. To jest idealny prezent dla ciebie. — I ponownie uniósł tabliczkę.

Wiedziałam, że to na cele dobroczynne i pewnie można odpisać od podatku, ale mimo wszystko czułam absurdalność sytuacji. Milton Summers z MajesticMount, funduszu konkurującego z Comet Capital, rzucił Timowi wyzywające spojrzenie, podnosząc wysoko swoją tabliczkę. Cholera, teraz to już –naprawdę zamieniło się w konkurs długości przyrodzenia.

– Kochanie – syknęłam – ja naprawdę nie potrzebuję...

– Holly, kotku, cicho – odparł Tim, patrząc prosto na Milтона.

Nienawidziłam takich rywalizacji. Teraz już cała sala w sukniach, można by powiedzieć balowych, gdyby to był bal, i szytych na miarę u Toma Forda frakach z napięciem czekała na kolejne uniesienie tabliczki. Zarówno ja, jak cała reszta obecnych na sali wiedziała, że biedny Milton ma za sobą – delikatnie mówiąc – piekielny rok. Nie chodziło oczywiście o pieniądze, tu powodziło mu się lepiej niż dobrze. Jego firma trafiała do biznesowej części „Timesa” niemal co tydzień. Za to jego żona Lola, niezwykle poniżając go, odeszła z pilotem ich prywatnego odrzutowca. Jak widać pieniądze to jednak nie wszystko. Lola była znaną bywalczynią spotkań towarzyskich w mieście, dawniej aktorką. Niektórzy szeptali po kątach, że „aktorka” to najdelikatniejsze z możliwych określenie striptizerki, a Milton poznał ją, gdy zwisała z jakiejś rury. Okazało się jednak, że to zawistne plotki, bo dziewczyna po prostu kelnerowała w biznesowej części miasta i miała szczęście podać kawę właściwemu facetowi, który zakochał się w niej bez pamięci. Biedny naiwniak.

– Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów! Czy ktoś da dwieście siedemdziesiąt pięć?

Sala zaniemówiła, ozdobione diamentami szyje wykręcały się to w jedną, to w drugą stronę za wyskakującymi w górę tabliczkami. Wszystko

po to, by Milton Summers mógł pokazać, że niestraszny mu finansowy krwotok.

W końcu jednak odpuścił. Spojrzał na mnie, uśmiechnął się i wzruszył ramionami, podczas gdy Tim szalał z radości i przybijał zwycięską piątkę z Halem. Nieźle. Niepohamowane ambicje mojego męża zaowocowały półmilionowym datkiem na cele dobroczynne. Tim wyznawał złotą zasadę, choć nieco zmienioną przez ostatnie dwa pokolenia. Kiedy dorastałam, brzmiała ona: „Traktuj ludzi tak, jak chcesz, aby oni traktowali ciebie”, teraz jednak została nieco zmodyfikowana i brzmi: „Ten, kto ma najwięcej złota, rządzi”.

– Timmy, nie musiałeś tego robić – mruknęłam lekko zszokowana.

– Dla ciebie wszystko, kochanie – odparł i pocałował mnie w policzek.

Był to spory datek na zbożny cel, a ja, muszę przyznać, byłam, choć to ukrywałam, podniecona jak nastolatka na koncercie rockowym. Cokolwiek by mówić, to była najlepsza pozycja tej aukcji. Właśnie ja będę miała szansę leżeć nieruchomo z towarzyszeniem ponurych i mrocznych dźwięków, między innymi tego, który został wymyślony jako idealny odgłos zamykanej celi więziennej. Ekipa zablokuje cały kwartał miasta tylko po to, żebyśmy mogli nakręcić scenę, a makijażystka sprawi, żebym wyglądała odpowiednio blado i całkiem martwo. To by była najfajniejsza rola na świecie. Jednak obok mojej wymarzonej sceny pełnej policjantów z dochodzeniówki i fotografów kołowało mi pod czaszką uparte pytanie: czy Tim okazał tak wielką szczodrość, by jego ukochana żona mogła zaistnieć jako debiutant truposz w telewizji, czy też, żeby pokonać MajesticMount? Tim kochał wiele rzeczy. Wiedziałam, że kocha mnie. Ale kochał też zwyciężać.

## *Rozdział 3*

*Rozstaliśmy się z mężem z powodów religijnych. Uważał, że jest Bogiem, a ja tego nie podzielałam.*

Co to znaczy, że kogoś poznałaś? – wrzasnęłam. Nie minął jeszcze miesiąc od naszego lunchu w Sant Ambroeus. Teraz siedziałyśmy z Kiki w Orsay. Pytanie wyrwało mi się tak głośno, że musiałam powtórzyć je ciszej, pod nosem, jakby chcąc cofnąć swoje wykrzyczane oburzenie.

–Cśś! Jezu, Holl! Czemu nie obwieścisz tego całemu pieprzonemu światu? Anorektyczne mamuśki siedzące nad jedyną kanapką przy tamtym stoliku chyba cię nie usłyszały. Boże.

– Przepraszam.

– Posłuchaj, wiesz przecież, że od dawna mieliśmy kłopoty, a mnie już roznosiło. Poznaliśmy się kilka miesięcy temu. Prawie ci powiedziałam na tej aukcji dla Lancelota w zeszłym miesiącu, ale całe to zamieszanie... Zrozum, każde małżeństwo bez miłości dochodzi do przełomowego punktu. A teraz nie ma odwrotu, bo wiem, że inaczej nie miałabym odwagi zostawić Hala. Przysięgam, że nie poszłam do łóżka z tym facetem przed złożeniem pozwu. Tylko się całowaliśmy. Choć wiedziałam, że jeśli zdradzę Hala, w życiu by mi tego nie wybaczył, i byłabym wolna.

– Nie mogę w to uwierzyć... – urwałam i wpatrywałam się w talerz z ciasteczkami, zbyt jednak zmartwiała, żeby po nie sięgnąć.

– Dlaczego? Przecież nie zakochałam się w Gustavie, nie zamierzam za niego wyjść ani nic w tym rodzaju.

– Gustave? – spytałam. – Zdradziłaś Hala z facetem o imieniu Gustave? To jakiś poeta czy co? Masażysta? Równie dobrze mógłby się nazywać Thor! Nie wierzę, że nasza rodzina się rozpada...

– Nie słyszałaś? Powiedziałam, że to tylko pocałunek! Gdybym chciała, żeby mnie ktoś osądzał, opowiedziałabym o wszystkim Sherry Von.

Miała rację. Nie powinnam jej oceniać. Choć wyjątkowo blisko związani jako bracia, Hal i Tim byli jednak dwiema różnymi osobami, więc oczywiście nie wiedziałam, czego doświadcza Kiki za zamkniętymi drzwiami domu.

Sherry, moja teściowa – czyli Sherry Von Hapsburg Talbott – zwana przez nas Sherry Von, to bardzo specyficzna osoba. Zawsze używała pełnego nazwiska, aby plebs nie zapomniał przypadkiem o jej arystokratycznym, na dodatek kontynentalnym pochodzeniu, co poświadczały konterfekty równie wybitnych przodków w marynarkach elitarnych szkół. Nawet na jej weekendowej torbie L.L. Bean widniały inicjały: „S. Von H.T.” Wszystko było Von to, Von tamto, Von... zieceewanko. Rozwścieczona Królowa Śniegu nie dałaby rady sprawić, by rodzinne spotkania stały się równie nieznośne przez jej snobistyczne narzekania i stwierdzenia rzucane z wysokości tronu. Marzyłam o fotelu z katapultą, w stylu Doktora Zła, który wessałby ją przez perski dywan do mrocznej otchłani. Czy byłam zbyt ostra? Nie. Ona naprawdę zachowywała się okropnie. Jej synowie ignorowali to, przez cały czas rozmawiając o interesach, a Kiki i ja tkwiłyśmy bezradnie na swoich miejscach skazane na niekończący się ciąg komentarzy we wszystkich dosłownie kwestiach, od „szkaradnych” sukienek na gali oscarowej, po „tych potwornych demokratów”. Przebywanie z nią przypominało wyrok skazujący na czytanie

paska informacji przesuwających się bez przerwy u dołu ekranu telewizora. Tyle że olbrzymią czcionką. W kolorze fluorescencyjnej żółci.

Tylko dzięki Kiki udawało mi się jakoś przetrwać wszystkie rodzinne kolacje. W pierwszej chwili samolubnie pomyślałam, jak ja teraz zniosę Sherry Von bez Kiki u swego boku. Choć czasem współczułam Sherry Von, która została wdową w wieku pięćdziesięciu trzech lat. Ojciec Tima, Chuck, zmarł po wypadku na stoku narciarskim. Jednak moja niezrównana teściowa zawsze potrafiła sprawić, że współczucie dość szybko przeradzało się w całkowity brak zrozumienia i podziw, jak można być tak zimnym. Oczywiście jej małżeństwo w żadnym razie nie przypominało ciepłego, pełnego miłości gniazdka, jakie stworzyli moi rodzice. Tim twierdził, że jego ojciec był legendą na Wall Street, która przerosła życie, sportowcem światowej sławy i wytrawnym uwodzicielem, a jego oziębła żona nigdy nie szalała na jego punkcie ani na punkcie swoich dzieci. Mimo że pochodziła z bardzo zamożnej rodziny i ucieleśniała wzorzec hedgingowej żony, była w zasadzie nieszczęśliwą malkontentką, która nigdy o nikogo się nie troszczyła i o którą zapewne też nikt się nie troszczył.

– Po prostu wiesz, że właśnie w tym momencie ta zdzira otwiera korek dom perignon – powiedziała Kiki i pewnie miała rację. Kiedy Kiki i Hal zaczęli swój burzliwy romans, Sherry stwierdziła lodowatym tonem, że Kiki „nie jest z naszej półki”, czytaj: jest arcyżydowską Jewy Jewstein z Five Towns w Long Island (czy też, jak wymówiłby to jej przezabawny i równie barwny ojciec, sprzedawca jacuzzi z Ronkonkoma: „Lawn Gyland”). Sherry Von wcześniej nazywała wszystkich Żydów „Kanadyjczykami”, gdy musiała porozumiewać się szyfrem. A teraz Kiki zapewniła jej dokładnie to, czego tamta pragnęła: potwierdzenia własnej opinii.



– Drugi najlepszy skutek tego wszystkiego: nie muszę już mieć do czynienia z tą jadowitą wiedźmą – roześmiała się Kiki, popijając wino. – Chociaż źle mi z tym, że zostawiam cię samą w tym pieprzonym bagnie Locust Valley.

Próbowałam podtrzymać rozmowę, ale zdruzgotała i zszokowała mnie świadomość, że Kiki naprawdę zaczyna nowy etap życia bez żadnych szans na pojednanie. Przebywanie w jej towarzystwie przypominało posiadanie kieszonkowego satyryka. Każda uwaga rozśmieszała mnie do łez, a precyzyjna dokładność, z jaką trafiała w sedno rzeczy, budziła podziw. Nagle poczułam, jakby moje serce zamieniło się w ołowianą pięciokilogramową kulę, podczas gdy Kiki beztrząsco opowiadała o Gustavie, o własnej kobiecości wystawionej na ciężką próbę przez ostatnie lata spędzone z oziębłym Halem i seksie, którego teraz będzie miała pod dostatkiem. Drżałam. Wiedziałam, że rodzina Talbottów przypomina sektę, gdzie podstawową zasadą jest lojalność, działanie zespołowe oraz wyższość wspólnych celów nad indywidualizmem, więc Kiki wyleci z niej, i to na kopach. A ponieważ nie istniało spoiwo w postaci dziecka, które mogłoby ją utrzymać jakoś na rodzinnej orbicie, byłam pewna, że Sherry Von oznajmi z wysokości swojego majestatu, iż Kiki jest dla nas martwa.

## *Rozdział 4*

SPRZEDAM *suknię ślubną. Rozmiar 6. Włożona raz, przez pomyłkę.*

Skutki romansu mojej najlepszej przyjaciółki przypominały opad radioaktywny. Kilka miesięcy później, po raz pierwszy od rozvodu Kiki, zobaczyłam Sherry Von podczas Święta Dziękczynienia, w Hillendale, rodzinnej posiadłości, która nie różniła się zbytnio od majątku Cleary z *Polowania na druhny*, chociaż brakowało tam jakiegoś zabawnego brata należącego do subkultury gotów albo pijanej babci, którzy ożywiliby atmosferę. Jediną osobą, którą można by określić mianem dziwacznej czy ciekawej, był Hubert, oddany asystent/szofer/szef dworu Sherry Von, gej z południa. Wielbił ziemię, po której stapała jego szefowa, chociaż traktowała go jak śmiecia, i spełniał jej wszystkie zachcianki, czy chodziło o wysłanie szpilek od Louboutina do szewca, umówienie pedikiurzystki do domu (niech Bóg broni, żeby ktoś zauważył Sherry Von z bosymi stopami W MIEJSCU PUBLICZNYM!), czy też po prostu o zapięcie naszyjnika z rubinami. Hubert był nieskazitelny: francuskie mankiety, spokój i aura łagodności, a do tego mówił wyłącznie miłe rzeczy. Co drugie słowo wypływające z jego ust to „boskie” we wszystkich odmianach. Uwielbiałam go.

Moja główniana sukienka z Banana Republic? „Boska”. Zasób słów Milesa? „Boski”. Zastanawiałam się, jak u licha radził sobie z humorami Sherry Von i jej wyszczekiwanymi rozkazami.

Hubert dopilnował „boskiego” wystroju jadalni na ten wieczór. Służba Sherry Von, w stylizowanych na staroświecczyznę strojach z białymi fartuszkami, falbankami i bufiastymi czepkami, jakie można kupić w gotowych zestawach „francuska pokojówka” na Halloween, podała placek z

dyni. Srebrne sztuce Puiforcat dźwięcznie postukiwały o najlepszą porcelanę Bac-carat, a z kryształowych kieliszków Yeoward popijano bezgłośnie wyborne wino. Stół był nieskazitelny. Dania: nienaganne. Kwiaty bogato zaaranżowane, w subtelnych odcieniach, a ich delikatny zapach unosił się w powietrzu. Atmosfera pełna słabo skrywanej furii. Gdy tylko Miles udał się do swojej jaskini, aby obejrzeć w telewizji *Czarnoksiężnika z krainy Oz*, po przeciągającej się w nieskończoność dramatycznej ciszy Sherry Von spuściła ze smyczy stado wściekłych wilków i w końcu przemówiła:

- Zawsze wiedziałam, że to śmieć. Poczułam ucisk w żołądku.
- Matko, proszę cię, zjedźmy w spokoju deser – przerwał jej Tim.
- Nie. Nie zamierzam być cicho ze względu na Holland.

Nienawidziłam znajdować się w centrum uwagi. Natychmiast poczułam gorąco na karku i skuliłam się, uciekając od jej wzroku. Sherry Von zawsze zwracała się do mnie pełnym imieniem, a zarazem nazwiskiem panińskim mojej mamy, Lillian Holland. Wiedziałam, że dla Sherry Von stateczne „Holland” wydawało się mniej swawolne i bardziej snobistyczne od żartobliwego, infantylnego – jej zdaniem – Holly. Po tylu latach spędzonych razem, kiedy wszyscy znajomi na planecie Ziemia nazywali mnie Holly, dla teściowej na wieki wieków pozostanę Holland. Lubiłam swoje imię i wszystko byłoby w porządku, gdyby nie chodziło o podkreślanie, że pochodzę – w przeciwieństwie do Kiki – z „właściwej” rodziny. Silversteinowie tymczasem byli radosną, pełną energii, przezabawną bandą. Kiki ani jej bracia nigdy nie zwróciliby się do mamy per „matko”, jak Tim i Hal. To kolejny powód, dla którego od początku

wydała mi się bratnią duszą: wiedziałam, że pochodziła z czulej, troskliwej rodziny, takiej jak moja, chociaż Sherry Von kręciła nosem.

– Byłyście jak papużki nierozłączki – oznajmiła, wskazując na mnie swoim kościstym, ozdobionym pierścionkami palcem, podczas gdy Hubert w milczeniu napełniał jej kieliszek winem. – Walczyłaś, żebyśmy ją zaakceptowali, a teraz spójrz! HAŃBA! Ona zdradziła naszego Hala. Skalała ich małżeńskie łóżko!

Głowę trzymałam już prawie na kolanach i wstrząsały mną dreszcze.

– Nie było żadnego łóżka. Oni się tylko całowali – wymamrotałam, próbując bronić przyjaciółkę.

– Zdrada – cedziła nieustępliwie Sherry – to grzech śmiertelny w moim kodeksie, Holland. Po wszystkich przysięgach, które ta kurtyzana składała podczas ich tandetnego ślubu z tym okropnym tańcem na krześle, powtarzam – po wszystkich przysięgach upokorzyła nas na oczach przyjaciół. I jeszcze ma czelność podważać intercyzę!

Wspomnianą intercyzę moja była szwagierka podpisała wraz z ukochanym. Staroświecka umowa zapewniała stronie zrywającej małżeństwo milion dolarów lub więcej, w zależności od wspólnie spędzonych lat oraz liczby dzieci. Ponieważ stan liczebny potomstwa wynosił zero, Kiki miała wziąć milion i odejść. Nie chciała wydoić Hala, ale zamierzała kupić sobie mieszkanie, więc zażądała nieco więcej. Większość kobiet domaga się połowy majątku (co równało się prawdopodobnie jakimś stu milionom), ale Kiki chciała tylko jak najszybciej załatwić sprawę.

– Nie wszystko jest czarno-białe – zaproponowałam nieśmiało. – Czasem coś nie wychodzi i zawsze są dwie strony...

Najgwałtowniejsze huragany nie mogły się równać reakcji Sherry Von.

– Nie. W. Tej. Rodzinie. Holland. Talbott! – Często dla wzmocnienia efektu, wymawiała zdania, oddzielając poszczególne słowa kropkami, co przypominało rozdzierające, krótkie sygnały alarmowe trąbki, ostatnio zauważyłam, że Tim przejął ten sposób mówienia: niestety niedaleko pada jabłko od jabłoni. Był to sztandarowy popis interpunkcyjny Sherry Von, którym wyrażała najwyższy gniew i dezaprobatę. Jej drobna sylwetka drżała z wściekłości, gdy chrząkając zmrużyła oczy i wbiła we mnie pełne pogardy spojrzenie bazyliuszka, jakbym dopuściła się zdrady stanu.

–Trzymamy. Się. Ra. Zem. (Przy „zem” uderzyła dłonią w stół) – ciągnęła. – A gdy jakaś parszywa dziwka wpełźnie do naszego domu i dopuści się oszustwa, odwracamy się od niej. Na. Zawsze. Jest skończona w tym mieście, skończona! Żadnych klubów, żadnych zarządów, nic. A ty lepiej NIE kombinuj, że są tu jakieś „strony”! Jest tylko jedna strona! Rodzina. – Po czym rzuciła lnianą serwetkę z wyhaftowanymi ręcznie inicjałami na stół i wyszła.

Jezu. Czułam się jak na obiadku u rodziny Corleone.

– Chryste, Holly, a może od razu wyślesz moją matkę kurierem do kardiologa – szepnął Tim i pochylił się nad swoim kawałkiem ciasta.

– Kochanie, przykro mi, ale ona oszalała. Te bzdury o „grzechu śmiertelnym”... To nie jest tak sztywno ustalone...

– Owszem, jest. – Tim zdjął rękę z mojego fotela. – Wiem, że byliście sobie bliskie, ale ona go zdradziła. Od tego nie ma odwrotu. Mama ma rację, Holl, nie każdy medal ma dwie strony. Nieważne, co zrobił Hal, ona nie powinna przekroczyć pewnej granicy. Mam nadzieję, że zastanowisz się nad tym, jeśli spróbuje się do ciebie zwrócić.

Mojemu naiwnemu mężowi nawet nie przyszłoby do głowy, że rozmawiałam z nią niemal codziennie. Po atakach dziennikarzy, krążących niczym rój much nad padliną, Kiki chciała się poskarżyć na plotkarskie zapędy brukowej prasy. Ponieważ rodzina jest znana – Sherry Von zasiada w niemalże każdym ważniejszym zarządzie w mieście: MoMA, Metropolitan Opera, New York City Ballet, New York Hospital (który zmieniał nazwę tak wiele razy, że teraz miał z siedem wyrazów w nagłówku) – na stronie szóstej „Post” natychmiast podjęto temat pod wytuszczonym tytułem: ROZSTANIE HEDGINGOWEGO KSIĘCIA. Kiki, zanim poznała Hala, dała się poznać nie tylko jako fantastyczna imprezowiczka. Na długo przed ślubem założyła własną firmę public relations, budząc zaciekawienie i sensację, bo dwudziestokilkuletnia pani prezes prowadziła swoje interesy od sukcesu do sukcesu. Małżeństwo nic tu nie zmieniło – dalej pracowała, a teraz szło jej nawet lepiej niż kiedykolwiek, więc fakt, że fotografował ją Patrick McMullan, jeszcze bardziej rozwścieczył rodzinę. Musicie wiedzieć, że reklama to nie jest zajęcie dla hedgingowej żony.

Specjaliści od reklamy przyciągają prasę i uwagę społeczną, co zniesmaczało WASP–owskie matrony. Ślub Kiki i Hala zwabił tłum dziennikarzy, ku rozgoryczeniu Sherry Von, która uważała wysyłanie zdjęć ślubnych do gazet za plebejskie. Twierdziła, że informację można zamieścić jedynie w „The New York Times”, a potem już nie powinny się pojawiać żadne wzmianki aż do nekrologu. Istniał pewien margines przyzwolenia dla niewielkiej notki co pewien czas na stronie towarzyskiej Billa Cunninghama w „Sunday Styles”, ale to by było na tyle. Przed zamażpójściem pracowałam w dwóch miesięcznikach dla kobiet. Pisałam o muzyce oraz jej twórcach.

Było to łatwiejsze do zaakceptowania niż ostro balujące towarzystwo Kiki, ale wciąż nasze światy daleko odbiegały od ideałów Sherry Von, więc gdy tylko zaszłam w ciążę, poradzono mi, żebym zrezygnowała z pracy. Męczyła mnie codzienna harówka, więc z radością rzuciłam się w macierzyństwo i nigdy nie oglądałam za siebie. Dobra: czasem zerkam. Po pierwsze, zaliczałam wszystkie koncerty. Znałam nowe gorące klipy, piosenki i trendy. Teraz dostęp się urwał. Gdy włączam MTV Video Music Awards, nie rozpoznaję połowy nazwisk, a przecież kiedyś mogłam wyrecytować życiorys każdego, kto kiedykolwiek trzymał w dłoni mikrofon. Mam bardzo różnorodny gust: od hard rocka po muzykę z broadwayowskich musicali i trochę pomiędzy Tim ubóstwia klasycznego rocka, którego nie cierpię, najbardziej lubi The Eagles, a dla mnie ich muzyka brzmi jak odgłos tarki do sera. Poza oglądaniem nowych modnych zespołów tęskniłam za wywiadami ze sławnymi ludźmi – pisywałam o grupach indie rockowych i British invasion, robiłam wywiady ze wszystkimi: od Gwen Stefani po niezliczonych nastoletnich idoli popu. Zawsze w duchu marzyłam, że ktoś z nich poprosi mnie o napisanie biografii. Fascynowały mnie rozmowy z ludźmi i nieraz żałowałam zerwania kontaktu z branżą, nie powinnam się całkiem odcinać. Czasem spotykając się z innymi matkami albo pracując jako wolontariuszka czy oprowadzając rodziców przyszłych uczniów po szkole Milesa, pragnęłam krzyknąć z głębi serca: „Nie jestem tylko mamą, jestem cool! Kiedyś chodziłam na koncerty trzy razy w tygodniu! Nie puszczam swojemu dziecku *Baby Beluga* tylko R.E.M.!” Ale niczego nie żałowałam Kiki odwrotnie, uwielbiała swoją pracę i nigdy by z niej nie zrezygnowała. Odnosiła sukcesy, prowadziła znane kampanie reklamowe: od domów mody po firmy motoryzacyjne, za każdym razem docierając do

młodego, modnego nowojorskiego towarzystwa. Jeszcze przed ślubem Kiki zyskała sławę jako muza Zaca Posena, a potem krótkotrwała narzeczona Christiana Slatera oraz niezastąpiona organizatorka i uczestniczka szalonych imprez szeroko komentowanych w całym mieście w latach pięćdziesiątych. Poślubienie faceta z wyższych sfer tylko umocniło jej nieustanną obecność na stronach towarzyskich kolorowych czasopism. Teraz, w czasie rozwodowej burzy, prasa zachłannie rzucała się na każdy strzęp informacji dotyczący prawników, możliwych intercyz i morderczej bitwy, która powinna – zdaniem komentatorów – nastąpić. Jeden z reporterów nawet odnalazł mnie i zadzwonił do domu, ale zgodnie z zaleceniami Tima odpowiedziałam krótko: „Bez komentarza”, przeprosiłam (tego już Tim nie zalecał) i odłożyłam słuchawkę.

Dopiero rozmowa z Kiki podczas jednego z naszych sekretnych lunchów uświadomiła mi, jak mroczną i brudną grę zamierza prowadzić rodzina Tima. Nie oszczędzali nikogo ani żadnej okazji nie pomijali w swoim paskudnym planie. Do Kiki na jeden dzień, żeby spotkać się ze znajomymi, przyjechała Penn, koleżanka ze studiów, razem należały do bractwa U. Biegając po mieście, zauważyła mężczyznę w brązowym garniturze, pojawiającego się wszędzie tam, gdzie ona. Przerazona nie na żarty pojechała metrem do SoHo, sprawdzając w odbiciach szyb, czy jest w wagonie. Był. Na środku West Broadway w tłumie ludzi odwróciła się i odważnie stanęła oko w oko z prześladowcą. Zapytała, dlaczego ją śledzi. Co dziwne, niespieszony przyznał, że jako prywatny detektyw miał śledzić Kiki i jej koleżankę, na tym polegała jego praca. Dla porządku – dodał, grzecznie przeprosił i wmieszał się w falę przechodniów.



Gdy Kiki to usłyszała, przypomnieli jej się nagle różni obserwatorzy w okolicy domu. Jakiś facet kupujący owoce obok niej w Gourmet Garage, który pojawił się w Barneys, co było dziwne, ponieważ sklep znajdował się przy rogu Goyard, gdzie mężczyźni rzadko się zapuszczali, a potem stał dość długo przy witrynie Simadi, fryzjera, gdzie chodziła co tydzień się uczesać. Elementy układanki połączyły się i zrozumiała, że Talbottowie zatrudnili agencję detektywistyczną, aby znaleźć na nią haka.

– Tak więc na razie przyhamowałam z Gustave'em i innymi facetami – zdradziła mi tuż przed Bożym Narodzeniem w La Goulue. Rozglądała się, z ironicznym uśmieszkiem obserwując wystrojone mamuśki popijające płynny lunch. – Mam w dupie, co piszą w gazetach, ale ten cyrk z detektywem mnie przeraził. Czuję się, jakby Sherry Von napuściła na mnie CIA.

– Miej to w nosie. Czego się boisz? Nie popełniłaś żadnego przestępstwa. Jesteście w separacji, a poza tym złożyłaś pozew o rozwód. G... ci zrobią.

– Znasz te podwójne standardy. Muszę uważać. Choć wyrwałam się nareszcie z lodowatego małżeństwa, nie ma mowy o normalnym życiu. Wiesz, co by się działo, jakbym się dała przyłapać? Zaraz ogłoszono by mnie największą puszczalską w mieście. Nie chodzi o pieniądze. Pracuję i – odpukać! – fantastycznie mi idzie. Właśnie zatrudniłam prawniczkę Ellen Barkin. Teraz zobaczymy, kto ostrzej pogra.

I rzeczywiście grała ostro. Dopięła swego i uzyskała przyzwoitą ugodę, co wywołało niepohamowaną furię Sherry Von Hapsburg Talbott, ale zapewniło Kiki całkiem przyjemny początek nowego życia.

## *Rozdział 5*

*Były małżonek przypomina wyrostek w stanie zapalnym: powoduje ból i cierpienie, a kiedy zostanie usunięty zdajesz sobie sprawę, że i tak nit był ci potrzebny.*

W styczniu, tuż po zakończeniu sprawy rozwodowej Kiki i Hala, sztywna z zimna i wyczerpana włokłam Milesa do domu po treningu w Super Soccer Stars. Dzień był wyjątkowo obrzydliwy, w parku ani żywej duszy, więc tylko matczyzna powinność zmusiła mnie do dwugodzinnego wystawania na lodowatym wietrze i oglądania małolatów walczących o piłkę (inna sprawa, że zawsze marznę – należę do tych, którzy na Copacabanie siedzą w bluzie). Zamówiliśmy pizzę, bo nie chciało mi się gotować (czytaj: podgrzać mrożonki). Istotną zaletą małżeństwa z synem Sherry Von była pewność, że nikt nigdy nie zaproponuje, bym przyrządziła wystawny obiad odziana w stosowny fartuszek rodem z lat pięćdziesiątych. Jedyną rzeczą, jaką matka mojego męża kiedykolwiek zrobiła, by zjeść obiad, było zarezerwowanie stolika w restauracji.

Tim znów wyjechał, tym razem do jakiegoś gigantycznego centrum konferencyjnego w Oregonie, więc co wieczór, gdy położyłam Milesa spać, dopadało mnie pytanie: czym się zająć między dwudziestą a północą, kiedy zasypiam. Umówiłam się już z opiekunką na wypadek, gdybym zechciała dopieścić się samotną wystawną kolacją w winiarni Etats–Unis, na co pozwalałam sobie czasem, gdy Tima nie było w mieście. Tak więc, gdy zadzwoniła do mnie Posey i zaproponowała przyłączenie się do innych hedgingowych konferencyjnych wdów w Sette Mezzo, zgodziłam się z radością.

Przy naszym stoliku pod oknem siedziała już Trish, z jej charakterystycznymi rudymi włosami do ramion i sznurem pereł, Emilia, jak zawsze elegancka, obok kruczowłosa Mary i uśmiechnięta Posey, która pomachała mi przez okno, gdy podeszłam. Kiedy odbyłyśmy już cały rytuał powitalny z całuskami, uściskami i z „och, jak pięknie wyglądasz”, i „ach, ta kiecka jest fantastyczna”, złożyłyśmy zamówienie, by zacząć ulubiony sport: obserwowanie bliźnich. Coś jak golf dla kobiet.

Po kilku minutach w sali pojawiła się zdenerwowana Millie Lange. Obdarzyła nas przelotnym uśmiechem, po czym przeszła ze starszą panią – jak się domyślam, mamą lub ciotką – do tylnej części sali. Wszystkie niczym sępy dopadłyśmy truchło biednej Millie. Jej synowie byli w drugiej i czwartej klasie, a ona właśnie się rozwiodła z mężem zakochanym w kokainie, czemu nawet oszczędności w Promises, Paradise, Passags i Cirque Lodge nie mogły zaradzić.

– Biedaczka. Kto ją teraz zechce? – drwiła Emilia, przeczesując palcami starannie ułożoną bujną grzywę. – Na szczęście ma synów, ale jaki facet wzięłby taki bagaż?

– Może ktoś starszy – zasugerowała Mary z zatroskaną miną na piegowatej irlandzkiej twarzy. – Wiecie, jakiś bogaty siwy pięćdziesięcio- czy sześćdziesięciolatek, dla którego trzydziestosiedmiolatka jest wciąż młoda! – snuła plany w nadziei, że Millie jakoś stanie na nogi. Ale Nowy Jork to trudne miasto dla kobiet *d'un certain age*, jak mawia Sherry Von.

Posey teatralnym szeptem obwieściła, że Millie Lange pochodzi z bardzo wpływowej starej nowojorskiej rodziny i na szczęście będzie miała dość pieniędzy oraz znajomości, aby utrzymać pozycję społeczną.

– Jej ojciec był grubą rybą w reklamie. Prezesem jednej z wielkich agencji. Wymyślił króliczka Energizera.

– No coś ty?! – Ze zdumienia zakrztusiłam się sprite'em.

– Poważnie – zapewniła Trish. – I ten różowy gryzoń ciągle działa.

– Zabawne — zadumałam się. – Kto by pomyślał, że królik z bębenkiem i w okularach Coreya Harta zostanie ikoną?

– Przypadkowe sukcesy są nieprzeliczone – odparła Posey. – Spójrzcie tylko na żółwie ninja. To dopiero dziwactwo.

– Patrzcie, Cassidy Freedkin siedzi tam w rogu – dyskretnie wskazała Emilia, popijając chianti.

– Słyszałam, że przewodniczy tegorocznej imprezie dobroczynnej NACHO w Waldorfie – oznajmiła Trish. – Właśnie zatrudniła dwóch speców od reklamy, żeby się nieco wypromować, tak mi powiedziała.

– Dziwne – szepnęła Mary. – Sądziłam, że skoro ma taką obsesję na punkcie stowarzyszenia Nowojorczycy Przeciwko Otyłości u Dzieci, to jej córka wtoczy się na salę niczym Violet Beauregard! A ona jest najszczuplejsza w Ballet Academy East! Matka nie pozwoli jej nawet zbliżyć się do automatu ze słodyczami. Zamiast tego kupuje dziesięciopaki błyszczących naklejek, żeby odwrócić uwagę od herbatników.

– Wiem, co chcesz powiedzieć. Tym dzieciakiem mogłabym grabić liście na swojej farmie – roześmiała się Trish.

– Za to Cassidy wygląda świetnie – zauważyła Posey.

– Owszem – przyznała z rozczarowaną miną Emilia. – Jak ona to robi? South Beach? Dieta Atkinsa? Makrobiotyczna?

– Podobno jest na diecie „dwa palce” – szepnęła Mary. Tego dnia w Sette Mezzo zdarzyło się jeszcze kilka interesujących rzeczy: Kincaid i

Peach Sandersowie głośno, jakby kelner nagle ogłuchł, zamówili risotto „z podwójną porcją białych trufli” dla wszystkich ośmiu osób przy ich stoliku, Chip Berlin i jego żona Patty przez całą kolację nie odezwali się ani słowem, Mac McMonigle i Kent Quick oraz ich wystrojone żony, kończąc właśnie czwartą butelkę wina, rechotali gromko, zagłuszając resztę gości.

– To takie smutne – mówiła Emilia, pochylając się w naszą stronę. – Słyszałam, że Chip Berlin utrzymuje na stałe luksusową dziwkę w Ritzu–Carltonie i bywa u niej w czwartkowe popołudnia.

– Też to słyszałam! – krzyknęła Mary, zarumieniona od plotkarskiej ekscytacji.

– Jakim cudem żona o tym nie wie? – pytała Trish z płomiennym wzrokiem.

– Syndrom ostrygi. Wyparcie — stwierdziła Posey. – A może wie, ale co może zrobić? Lubi swój styl życia...

– Właśnie. Dokąd miałyby pójść? – zauważyła Emilia.

– Ty zawsze wszystko wiesz – rzuciłam do Mary.

Rozpromieniła się.

– Przyznaję, mam dojdęcie do mnóstwa brudów. Ale powiem wam jedno, dziewczyny: mimo wszystko, nie dorastamy do pięt hedgingom z Greenwich. Taki doskonały świat, z równiutkimi trawnikami i czwórka blond dzieciaków, ale wiedźcie, że niektóre z tamtych pańienek wciągały proszek w przebieralni w Round Hill!

– Nie! – pisnęła Posey i zakryła usta dłonią.

– Owszem – ciągnęła Mary, pochylając się w naszą stronę. – I w łazience w Polpo. Agencja narkotykowa zebrałaby niezłe żniwa, przysięgam! Znacie Burke'a Lockharta z Triton Partners?

– Tego gościa od pięciu córek, co nie odpuści żonie, aż urodzi mu syna? – spytała Trish.

– Tak. Ale gdy ją zmienił w nioskę, śmiga swoim ferrari, a żona Kenta Colgate'a z SaturnRings Capital w przerwach robi mu laskę!

– Żartujesz! – jęknęłam osłupiała.

– Mówię wam, my, miejskie szczury z downtownu, jesteśmy oswojonymi niewiniątkami wobec tych wymuskanych wiejskich myszy.

– Za Nowy Jork! – krzyknęła Posey, podnosząc kieliszek. Poszłyśmy jej śladem i wzniosłyśmy toast za nasze, nieraz dziwne, czasem męczące, ale na pewno zabawne życie w samym sercu szalonego miasta.

– A skoro już mowa o robieniu laski, posłuchajcie tego – tajemniczo wyszeptała Mary z błyskiem w oczach. – Corbett wczoraj po szkole oznajmił: „Mamo, wiem już, skąd się biorą dzieci. Richie Frank mi powiedział”. Spytałam więc, jakież to rewelacje usłyszał od Richiego, a on mi na to: „Tatuś wsadza mamusi penisa do ust”. „Nie, kochanie, stąd się bierze biżuteria!” – odparłam zgodnie z najlepszą wiedzą.

Wyłyśmy ze śmiechu. To był świetny wieczór.

Po powrocie do domu włączyłam telewizor. Moim drugim mężem był David Letterman, ale nic nie trwa wiecznie. Lawina zaś depresyjnych reality show była nie do zniesienia. Nacisnęłam przycisk menu i przewinęłam w dół, aby znaleźć – tak! – *Szesnaście świeczek*. Doskonale. To zadziwiające, że byłam teraz ponaddwukrotnie starsza od tych dzieciaków, ale w mojej głowie pozostali na zawsze rówieśnikami, a nawet starszymi ode mnie, jakby czas się zatrzymał w dniu, gdy po raz pierwszy zobaczyłam ich na ekranie w piątej klasie. Och... i Jake Ryan. Zeskrobcie mnie z dywanu, bo nie ma takiej siły, by ruszyła mnie z miejsca. Ostatnia scena, kiedy

samochody rozjeżdżają się na wszystkie strony i zostaje tylko jego czerwony rydwan... Przechodzą mnie ciarki. Dzisiejsze filmy dla nastolatków to tylko szybkie, złośliwe dialogi, natychmiastowe powroty i teflonowi dranie, do których nic nie dociera.

W filmach Johna Hughesa uwielbiałam bezbronność bohaterów, ich wrażliwość i to, że wszystko czuli. Jak prawdziwe nastolatki. Piękno polegało na tym, że nie umieli się wysłowić – nawet nie marzyli o skleceniu jednego zwięzłego zdania. Zagryzanie dolnej wargi, niepokój, że jest się po niewłaściwej stronie, i wyczuwalna niepewność – wszystko to było dla mnie samą prawdą. I nic się nie zmieniło, choć przyszczate dorastanie w końcu stało się odległym wspomnieniem, ale w jakiś sposób nigdy nie umarło we mnie.

Tak naprawdę... za męża wzięłam sobie ciacho od Johna Hughesa.

Ale zamiast pocałunku przy migoczącej świecy, zakłętego w kadrze „i żyli długo i szczęśliwie”, satysfakcję dawało mi poczucie, że w świecie Tima jestem outsiderką. Jako singielka rzadko imprezowałam, ale biegałam na koncerty rockowe i czułam się częścią ogromnego, tętniącego życiem miasta, do którego przyjechałam – co tu dużo mówić – z prowincji. Świat Tima był o wiele bardziej wyrafinowany, w jakimś sensie przypominał szczelne naczynie laboratoryjne z homogeniczną zawartością, zanurzone w bulgoczącym kotle różnorodności. Do dziś nie rozumiem, jakim cudem nasze ścieżki się skrzyżowały, skoro ja pisałam o muzyce i pociągali mnie raczej wymizerowani instrumentalisci albo pisarze, on zaś należał do świata finansów, który uważałam za krainę robotów. Ale na tym właśnie polega magia Nowego Jorku: przechodząc przez dowolne obrotowe drzwi, nigdy nie wiesz, na kogo wpadniesz po drugiej stronie.

Tak się poznaliśmy: na imprezie towarzystwa z Wall Street w City.

Mieszkałam ze swoją najlepszą koleżanką z college'u – Jeannie, która teraz wróciła do rodzinnego Bostonu. Chociaż bystre i wykształcone, nieustannie gadałyśmy o chłopakach i stroiłyśmy się na sobotnie eskapady. W ciągłym ruchu, jeśli nie szłyśmy na koncert, chwytałyśmy za telefon i obdzwaniałyśmy znajomych, żeby sprawdzić, co się dzieje, aż pewnego wieczoru trafiłyśmy przypadkowo na imprezę w miejscu zwanym teraz SoChiTo (South of Chinatown, „na południe od Chinatown”, nie mylić z WeWaw, West of Wall – „na zachód od muru”). W Nowym Jorku można się teraz pogubić, tak wiele dzielnic odnowiono i z gett przekształciły się w burżujskie, wypasione enklawy bogactwa. Pamiętam, że sprawdzałam adres na planie miasta, nie dowierzając, że ekskluzywne towarzystwo może wyznaczyć sobie spotkanie w okropnej wówczas dzielnicy. Potem okazało się, że wynajęty apartamentowiec stanowił forpocztę błyskawicznej przebudowy całej okolicy. Uroku przestronnemu, prostemu pomieszczeniu oraz świetnej muzyce (jakiś niezły DJ) dodawał migoczący i hipnotyzujący widok miasta z okien najwyższego piętra wieżowca.

Lecz impreza nie należała do udanych. Tak bywa: mimo dobrych składników powstaje kiepska zupka. Poza tym nie najlepiej się czułam – bolał mnie żołądek. Na dodatek cała ta wieczorynka, podobnie jak wiele innych, w przeciwieństwie do anonimowego odwiedzenia baru czy koncertu, przypominała dziwaczny towarzyski diagram Venna ilustrujący teorię zbiorów. Wszyscy uczestnicy (zbiór podstawowy) dzielili się na bliskich znajomych (podzbiory) i nieznajomych (z innych podzbiorów), a byli i tacy, którzy znali ludzi z różnych zbiorów, i oni ratowali sytuację, trzymając całe towarzystwo w kupie (zbiór wspólny). Nie przepadałam za takimi



przyjęciami, gdzie zaczepiają cię przypadkowe osoby, znane tylko z widzenia, i nie da się w spokoju posłuchać muzyki ani potańczyć, za dużo niezobowiązujących rozmów, za dużo „skąd znasz tę i tę osobę?”, „kim jest ta blondynka w czerwonym?”.

Czyżby prześladował mnie jakiś rodzaj fobii społecznej? Dlaczego co jakiś czas dostawałam napadu paniki na imprezach? Czasem oczywiście świetnie się bawiłam, ale ta obcość, poczucie, że wszystko zaczyna się od początku, prześladowała mnie, dopóki nie przywykłam do otoczenia.

Tamtego wieczoru, gdy otworzyły się drzwi windy, zobaczyłam dwa znaki: do mieszkań od A do H i od J do P, ale usłyszaliśmy zgiełk muzyki połączonej z głośnymi rozmowami, dźwiękiem tłuczonego szkła i stłumionymi okrzykami: „cześć”, „co słychać?”, zanim zdążyliśmy pomyśleć, jakiej litery szukamy. Idąc gdziekolwiek, zawsze czułyśmy z Jeannie dreszczyk podniecenia, który zmieniał zwykłe spotkanie w imprezę, i nawet mając najlepszych przyjaciół u boku, odczuwało się nerwowe oczekiwanie. Ale tym razem oczekiwanie zmieniło się w przerażenie, gdy weszłyśmy do środka: nie znosiłam towarzystwa tego rodzaju. Przede mną kłębił się tłum kołesiów z Wall Street, jakby wyjętych spod sztancy w bluzach i bojówkach, popijał piwo, i dziewczyny o imionach w rodzaju Muffy albo Steph, z blond fryzurami na pazia i czarnymi aksamitnymi opaskami we włosach, jak tragiczne połączenie Lilly Pulitzer z Ann Taylor, zwiedzające podejrzone dzielnice podczas pierwszej nocy w centrum. Do tego kaszmirowe swetry Ralph Lauren od barwy ponczu po jasnoturkusową. Z włóczki zgromadzonej w pomieszczeniu można by do końca świata produkować Muppet Show.

Z głośników ryczał R.E.M. Honorowe miejsce zajmowała beczka piwa i stosy plastikowych kubków. Nigdy nie piłam piwa – jego smak kojarzył mi się z krowimi sikami; nie żebym próbowała bydlęcego moczu, ale tak to sobie wyobrażałam. Zawsze więc wybierałam wino, nieważne jak tanie. Tak więc, jak zwykle wystrojona, popijałam gallo, rozglądając się po białym mieszkaniu, identycznym jak dziesiątki innych w tym budynku, umeblowanym od A do Z według katalogu Pier 1, i polowałam na męża. Co prawda ani Jeannie, ani ja nie zaopatrzyłyśmy się w lornetki, pomocne w wypatrywaniu zwierzyny, ale i bez tego zdecydowanie brakowało nam subtelności. Mój wzrok niczym laser precyzyjnie namierzał dawnych chłopców z bractwa, odprężonych teraz po pracy na Wall Street. Szukałam takiego, który nie byłby zalany w trupa i przypominał raczej tajemniczego Jake'a Ryana niż hałaśliwego, napakowanego przystojniaka.

Wtedy wszedł Mark Webb, kwintesencja mięśniaka, zdolnego do gwałtu na pierwszej randce. Poznałam go kiedyś przez znajomego, z którym studiował na Uniwersytecie Wirginii. Mark był analitykiem w Goldman Sachs, a żądza pieniędzy dorównywała jego zwierzęcym skłonnościom erotycznym. Jak opisać ten przypadek? Spróbuję.

### *RÓWNANIE MARKA*

*(James Spader jako czarny charakter) x czerwone porsche*

*+ nazywanie San Francisco „Frisco” = blond koleś z Cobra Kai w Karate Kid*

Ale z Markiem przyszedł Tim. Przełknęłam ślinę. Był... absolutnie doskonały. Zagryzłam dolną wargę i przeczesalam palcami swoje blond włosy, które wtedy były trochę za długie. Niezwykle przystojny, z

ośniewającym uśmiechem, ludzie!, dajcie słoneczne okulary, bo mnie oślepi ta biel zębów. Po prostu wyjątkowy. Niech się schowają gwiazdorzy filmowi. Przez cały wieczór krążyliśmy wokół siebie, aż w końcu zagadaliśmy do siebie i zaczęła się jedna z tych rozmów, kiedy godzina mija w mgnieniu oka, a twoje przyjaciółki stoją za nim i mrugają znacząco, a ty czerwienisz się coraz bardziej.

## **RÓWNANIE TIMA**

**(katalog J. Crew) + kij do lacrosse'a**

**+1 (Michael Schoeffling w *Szesnaście świeczek*) – kamizelka**

Tamtego wieczoru coś ważnego zadziało się między nami (tylko pocałunek, nie dotarliśmy do kolejnych baz), a następnego dnia, niemal podskakując z radości, uraczyłam swoje przyjaciółki opowieścią o tym, jak trafił mnie piorun zauroczenia, zachwycając się każdym szczegółem, od jego dłoni na moich plecach przez delikatne usadowienie mnie w taksówce, po ostatni całus przez szybę samochodu. Miałam dwadzieścia cztery lata, a on dwadzieścia dziewięć — był prawie trzydziestoletnim prawdziwym mężczyzną!

Minęło dziesięć lat. Sam i Jake (Molly Ringwald i Michael Schoeffling) z wyczuciem i w stosownym momencie zniknęli na wieki wieków zamrozeni w pięknej chwili zagryzania dolnej wargi i pocałunków przy świetle świec. Nie zobaczymy ich jako ludzi dorosłych; żadne pieluchy, tyranie w nudnej robocie ani wyjazdy służbowe rujnujące życie rodzinne nie zakłócają ich obrazu. Tim kończy za dwa miesiące czterdzieści lat i jest przystojniejszy niż kiedykolwiek przedtem, a ja? Moje czoło wygląda, jakby Freddy Krueger przeciął je swoim ostrym jak brzytwa szponem – było przeorane czterema bruzdami, które zamierzałam wypełnić restylanem. Nad

nosem mam zmarszczki, dwa pionowe rowy tak głębokie, że można nimi popłynąć łodzią żaglową. Dlaczego sterani życiem mężczyźni stają się coraz bardziej pociągający?

Większość hedgingowych żon śmiało korzysta z wypełniaczy zmarszczek, mikrodermabrazji i leczenia światłem, a po przekroczeniu trzydziestki usuwają widoczny tu i ówdzie nadmiar skóry. Ja za bardzo boję się igieł i zdjęć Jocelyn Wildenstein, żeby poddać się takim zabiegom. A poza tym dlaczego powinnam walczyć o zachowanie wiecznej młodości? W pewnym sensie i tak już zostałam wysłana na zieloną trawkę. Zabawne: Tim był zawsze duszą towarzystwa na każdej imprezie. Wszędzie witano go uściskami i przybijaniem piątki, w czym przypominał Kiki. Nieraz zastanawiałam się, jaka przyszłość czeka teraz moją przyjaciółkę. Biedactwo. Znowu znalazła się „na rynku”... Dla mnie to byłby koszmar. Pocieszałam się nadzieją, że zdrowy rozsądek i odrobina cynizmu uchronią ją przed brutalną pobudką w świecie, gdzie wszyscy faceci w naszym wieku szukają dwudziestolatek. Kiki wydawała się naprawdę zadowolona i podekscytowana odzyskaną wolnością, a ja nie mogłam sobie wyobrazić niczego gorszego. Ubóstwiałam małżeństwo. Kłóciliśmy się z Timem tylko o jedno (poza stacjami radiowymi i moimi potajemnymi kontaktami z Kiki) – bardzo chciałam mieć kolejne dziecko, lecz on wołał nasze gniazdko takie, jakie było. Czulałam, że posiadanie Tima i Milesa jest prawdziwym błogosławieństwem – nasz mały rodzinny kokon był bezpieczny. Nawet nie mogłam sobie wyobrazić powrotu do knajp czy na jakieś diabelskie imprezy śmierdzące piwkiem. Rzadko, jeśli w ogóle, pojawiała się tęsknota za latami sprzed ślubu. Może dlatego, że nigdy nie przegapiłam żadnej szansy i

moje życie było dość udane, i miałam nadzieję, iż nadal tak się potoczy, gdy na torcie urodzinowym pojawią się trzydzieści cztery świece!

## ***Rozdział 6***

***Kobiety być może potrafią udawać orgazm, ale mężczyźni są w stanie udawać cały związek.***

**Sharon Stone**

Kilka tygodni później, w lutym, wybieraliśmy się z Timem na naszą cotygodniową wieczorną randkę. No cóż, na początku odbywały się co tydzień, ale w ostatnim roku zmieniły się w comiesięczne, ponieważ Tim często wyjeżdżał. Poszłam do fryzjera, a stamtąd prosto na zaplanowanego drinka w Knickerbocker Club.

Kiedy dotarłam na miejsce, zastałam swojego męża siedzącego w fotelu przy kominku z... Markiem Webbem, jego kumplem z St. Anthony na Uniwersytecie Wirginii. Mark był teraz kwintesencją faceta od funduszy hedgingowych, a gdy weszłam, właśnie pokazywał Timowi swój nowy zegarek. Wszystko w jego wyglądzie, od krawata po szyte na miarę buty, było szpanerskie. Niewiarygodnie przystojny, ale w ten przesadny sposób, wręcz zbyt męski, niczym Gaston w *Pięknej i bestii*, a uroku dodawał mu zawadiacki chód superbohatera („Hej, maleńka, wódkę Snow Queen, z lodem, bez owoców”), no i po prostu bogaty. Obrzydliwie bogaty. Trzydzieści dziewięć lat, żelazny kawaler, ale lubił przechwalać się podbojami. Stewardesy z prywatnych odrzutowców, jego trenerka z E2

(klub fitness z opłatą członkowską dziesięć tysięcy rocznie) plus niezliczone modelki, aktorki oraz kelnerki.

– Musisz sobie kupić coś z nowej serii 650 – oznajmił Mark lekko, jakby chodziło o paczkę chipsów.

– Rozglądamy się za nowym samochodem, kochanie? – zapytałam nieśmiało.

– Nie w tej chwili, ale Mark zawsze świetnie się orientuje w najnowszych trendach.

Typowe dla facetów od funduszy hedgingowych – zawsze muszą mieć to, co najnowsze, najlepsze, niezbędne w kolekcji. Ze spinkami do mankietów włącznie.

Na trzydzieste piąte urodziny Mark wynajął Puck Building, gdzie urządził wystawne wieczorne przyjęcie. Nie zabrakło kawioru ani szampana, egzotycznych tancerek rodem z Vegas, piór we włosach i nie tylko, był także didżej z legendarnego klubu Studio 54, prezenty dla gości od Tiffany'ego oraz zniewalający taniec erotyczny w wykonaniu cheerleaderek nowojorskich Knicksów.

Jako żona czasem uważałam za niestosowne i w jakiś sposób niebezpieczne opowieści Marka o jego barwnym i bujnym życiu erotycznym. I nie chodziło tylko o prostackie uwagi wygłaszane bez względu na miejsce i okoliczności, w rodzaju: „Jasna cholera, popatrz na dekolt tej panienki, można by wstawić szklankę między te balony! W sam raz miejsce na piwo! Albo coś innego... Che, che!“. Czułam raczej ogólnie jego toksyczny wpływ, jakby odciągał Tima od domowego spokoju i małżeńskiej stabilizacji. Nawet jeśli nie komentował cycków i tyłków (co rzadko się zdarzało), zawsze w rozmowie pojawiała się coś o wyprawie

samolotem na JazzFest w Nowym Orleanie albo do Vegas na weekend, albo o dzikich przygodach, jak skakanie na bungee z klifu w Peru czy przejście po krokodylu zamiast drewnianym balu w Amazonce – ciągle roztaczał przed Timem wizje i opisywał przeżycia, za którymi mój mąż chyba tęsknił, odkąd urodził się Miles.

– To jak, Holly – szeptał Mark, pochylając się do mnie konspiracyjnie.

– Masz dla mnie jakieś fajne koleżanki?

– No wiesz – prychnęłam oburzona – wszystkie moje przyjaciółki już powychodziły za mąż...

– Daj spokój, ani jednej? A ta panna, Frances? Niezła była.

– Zaręczona.

– Niech to szlag! Słuchajcie... zgadnijcie, kogo widziałem na ulicy, jak tu szedłem? – spytał z błyskiem w oku. – Heidi Klum. Człowieku, to jest dopiero laska.

– To prawda, przepiękna — przytaknęłam. – Urodziła trójkę dzieci i dalej wygląda świetnie.

– Trójkę dzieci? – powtórzył Mark przerażony. – W takim razie pieprzyć to, jest stracona. Bzykanie jej przypominałoby wrzucanie hot doga do przedpokoju.

Zemdliło mnie.

Tim roześmiał się, a ja poczułam się urażona i zniesmaczona. Bez wątpienia też byłam „przedpokojem”.

– To... niezupełnie tak jest – próbowałam się bronić.

– Nieważne. Biedny ten koleś z blizną. Jak mu tam... Seal. Trójka dzieci stamtąd wyszła? Nie ma znaczenia, jak dobrze wyposażyła go natura – wsadzać tic taca do wieloryba.

Pierwszy raz w życiu, nie tylko w obronie własnej czy olśniewającej Heidi Klum, ale wszystkich sponiewieranych matek na całym świecie, poczułam żądzę krwi. Chętnie wzięłabym do ręki srebrną tacę z przekąskami i tłukłabym jego głowę z wystającymi kośćmi policzkowymi na miazgę.

Dla odmiany zaczął się wyżywać na samolocie ich „znajomego”, Slya Fishera.

– To takie słabe... Polecieliśmy na prywatną wyspę Lestera Hamma, niezłe rżnięcie nas tam czekało, ja pierdołę, ale samolot jest już taki stary... Może on wcale nie ma takich zysków, jak mówi.

Rozwodził się na temat różnych modeli prywatnych odrzutowców, przy okazji szacując dochody ich właścicieli, czego – jak twierdziła moja matka – nigdy nie należy robić. Kiedy dotarł wreszcie do końca swojej idiotycznej paplaniny, pojęłam hierarchię latania w elitarnym towarzystwie:

Ślina gęstniała mi w ustach, dość, na dziś wystarczy Marka, jego dowcipasów, mędrkowania i dobrych rad. Pora się katapultować.

– Kochanie, spójrz, która godzina! Od pięciu minut czeka zarezerwowany stół w Nello, powinniśmy chyba już iść.

Tim spojrzał na swojego – oczywiście – roleksa.

– Ach, tak... Mark, przyłączysz się do nas?

Słucham? Nie wierzyłam, że to powiedział.

– Nie, umówiłem się z kołesiami z Thunder Point Capital w tej nowej restauracji w centrum, Midas.

– Fiu–fiu.

–Następnym razem...



Byłam wściekła na Tima, że zaproponował temu cymbałowi udział w naszej romantycznej kolacji, więc przeszliśmy aż do Madison w milczeniu. Z masochistyczną przyjemnością analizowałam, jak bardzo nie znoszę Marka Webba. Uosabiał wszystko, czego nie cierpiałam: odrzucenie wszelkich wartości, żarłoczny materializm i pogardę wobec wszystkich kobiet, szczególnie tych myślących. Chorobliwy imprezowicz, erotoman i męska szmata. Ale nie wszyscy faceci od funduszy hedgingowych byli tacy. Przecież obracałam się w tym środowisku, nie brakowało okazji, by przyjrzeć się z bliska, i razem z Kiki doszliśmy do wniosku, że styl faceta zależał od rodzaju funduszu, w którym pracował.

W funduszach ilościowych na przykład, gdzie wzory matematyczne i programy komputerowe pomagały ustalić sposób inwestowania, u steru stał miły, silny, ale grzeczny typ, który kochał swoją żonę oraz dzieci, w d... mając „towarzystwo”. Z drugiej strony, zarówno w firmach typu „global makro” (chowali obrączki ślubne do kieszeni) czy funduszach hedgingowych typu równościowego (wymuszkani faceci w białych butach, włączając „tygryski” z wszechpotężnego niegdyś Tiger Management), sklonowani playboye garściami chapali uroki życia, liczyły się odrzutowce, samochody, markowe gadżety, słowem: „wino, kobiety i śpiew”.

Mark należał do najgorszej kategorii. Można powiedzieć –nie mój problem. Niby tak, ale... Ale należał do wąskiego grona najlepszych na świecie kumpli Tima. Ich przyjaźń cechowały dość specyficzne zasady: umacnianie więzi polegało na wspólnym balangowaniu, rywalizacji we wszelkich możliwych dziedzinach albo bezsensownym wydawaniu pieniędzy na zabawki dla dużych chłopców i niewybredne rozrywki.

Pieniądze sprawiały, że wszyscy wokół mnie żyli w poczuciu, jakby otrzymali dożywotnią *carte blanche* na relatywizm moralny i, podobnie jak w przypadku ich czarnych kart American–Express, niebo wyznaczało granicę tego, co uchodziło im na sucho. Powinnam powiedzieć, że najniższy krąg piekła był granicą, ale nie istniał żaden występki, z którego nie zdołaliby się wyłgać. W Nowym Jorku trwały nieustannie bachanalia odrażających bogaczy, mieszanka hedonizmu, obżarstwa, zachłanności i finansowych wybryków godnych Falstaffa: żadnych granic, żadnych przerw – tylko wysokooktanowe paliwo i prędkość światła. Znałam ekonomiczne prawo ciężenia: co się wznosi, musi spaść, po każdym boomie nastąpi *bessa*, a uczeni zważ to cyklem biznesowym. I choć pojawiały się pierwsze przepowiednie kryzysu, a na giełdowym horyzoncie gromadziły się już chmury, chłopcy z Wall Street ani myśleli zwolnić tempo, żadnych oznak pokory czy strachu.

Kurczowo trzymałam się nadziei, że żadna katastrofa w świecie interesów mojego Tima, a zwłaszcza przyjaźń z tym dupkiem Markiem, nie wyrze na niego złego wpływu.

## ***Rozdział 7***

*Mój mąż i ja byliśmy szczęśliwi przez dwadzieścia pięć lat... a potem się poznaliśmy.*

Kilka tygodni później wreszcie zadzwoniła asystentka producenta serialu ***Prawo i porządek*** w sprawie mojego debiutu na małym ekranie, ale szybko ostudziła rozbuchane emocje. Jeszcze co najmniej przez rok nie zamierzali kręcić odcinka z moim, wybitnym aktorsko, stężeniem

pośmiertnym. Moja kariera telewizyjna oddaliła się w czasie, więc gdy zelżał zimowy mróz, a Tim wyjechał na konferencję głównych menedżerów do Duluth, wybrałam się z Milesem na wycieczkę do Disney World. Zarzekałam się, że przenigdy tego nie zrobię, w rezultacie świetnie się bawiłam. Wszyscy dookoła, gdziekolwiek spojrzałam, zajadali się smażoną watą cukrową. Jakby zwykła, tradycyjna, na patyku dostarczała im za mało kalorii. Maczali różowe kłaczki w naczyniach z wrzącym olejem, a potem odsączali szczypcami i wcinali gorący smażony cukier! To się zdarza tylko w Ameryce. Słyszałam, jak tyją.

Po powrocie Miles zapisał się na dodatkowe zajęcia sportowe po szkole, więc jego „dniówka” wydłużyła się o dodatkowe dwie godziny. Z gulą w gardle patrzyłam, jak wsiada do autobusu za pięć ósma rano, wiedząc, że zobaczę go dopiero o piątej po południu, i nadludzkim wysiłkiem powstrzymywałam się, by wzorem nadopiekuńczych mamusí nie podbiec do autokaru, kładąc dłoń przez szybę na jego małej łapce. Teraz zostawałam sama na dłużej niż kiedykolwiek. Planowałam, że będzie to czas intensywnych ćwiczeń, dobrej diety i świetnego samopoczucia.

Wiosna poświęcona tylko sobie.

Beztrosko okłamywałam Tima za każdym razem, gdy chciałam spotkać się z Kiki, czyli co tydzień. Właściwie to kłamstwa przychodziły coraz łatwiej, bo bardzo często wyjeżdżał. Kiedy do mnie dzwonił, rozmawialiśmy głównie o uroczych uwagach Milesa na temat szkoły i zajęciach Tima albo o tym, co załatwiłam. Kiedy więc pojechał na dwa dni do Chicago, uznałam, że to idealny moment, by pomóc Kiki w przeprowadzce do nowiutkiego loftu w TriBeCe.

Postanowiła zamienić swoją tymczasową siedzibę na modne, nowe mieszkanie w centrum. Przeprowadzka dowodziła, jak wielką przemianę psychiczną przeszła moja przyjaciółka. Odwaliła naprawdę kawał dobrej roboty i postawiła wielki mentalny krok naprzód.

Świeżutka biała farba na ścianach podświadomie przywodziła na myśl wielką, otwartą, niezapisaną kartę o powierzchni trzech tysięcy stóp. Miejsce emanowało młodością i świeżością.

– Te pieprzone szare flanelowe staruchy na Upper East Side... Nie będę za nimi tęsknić – powiedziała, wznosząc kieliszek w Bubby's, gdzie wylądowałyśmy po rozpakowaniu ostatniego z miliona pudeł. – Sztywni wszędzie, poza fiutami.

Prawie wyplułam serowy grysik (ostatnia rozpusta przed dietą), ale powstrzymałam się i rozejrzałam, czy nikt nie podsłuchuje naszej rozmowy.

– Jak powiedziała Kim Cattrall w *Seksie w wielkim mieście* – ciągnęła – im wyższa rzymska cyfra po nazwisku, tym niższa nota w łóżku.

– No ładnie, Kiki – podsumowałam, przerażona, że w pobliżu mógłby znaleźć się jakiś siedemdziesięcioletni słuchacz. Czasem podejrzewałam, że ma mikrofon ze wzmacniaczem wszczepiony do gardła. Lubiłam jej śmiałość, ale spokojny i cichy lunch był z nią po prostu niemożliwy.

– O której Miles wraca dziś ze szkoły? A może pojedziesz ze mną do Williamsburga? Chcę wybrać w galerii Pierogi rysunek Tauby Auerbach do salonu. Pojedziesz ze mną? Proooszę.

– Błagała niczym siedmiolatka o lody. Jej niebieskie oczy wyrażały wielką prośbę, a piękna główka przechylona w bok podkreślała niemal dziecięcy wdzięk. Rozumiałam, dlaczego mężczyźni padali przed nią plackiem, gdy włączała urok osobisty, który cwanał zmię od PR-u zmieniał

w bezradną ślicznotkę z wydętymi usteczkami; ulegali jej pewności siebie i sile, ale uwielbiali w roli bezbronno niewiniątka.

Spojrzałam na zegarek. Zostały trzy godziny.

– Mogłabym pojechać, ale... Jak wrócę do domu? – zastanawiałam się głośno.

– Holly, mam dla ciebie newsa: to Brooklyn, a nie pieprzony Mars. Mówiłaś, że ciągle bywałaś tam na koncertach! Co się stało? Wygląda, jakbyście z Timem uważali, że wkroczycie do piekła po przejechaniu mostu! Zaufaj mi, tam też jest tlen, nic ci nie będzie.

Zachowywałam się idiotycznie, fakt. Ale jeśli nigdzie się nie ruszasz, to nawet nieodległe miejsce wydaje się kosmosem. Nie chciałam jej zawieść.

– Dobrze już, dobrze, pojedę – ustąpiłam. – Zawsze lubiłam Williamsburg.

– Ja też. Faceci tam są naprawdę fantastyczni – zamruczała.

– W zeszłym tygodniu przeleciałam koleś, którego poznałam w Lux, a kiedy się obudziłam, byłam taka zakręcona, że potrzebowałam pieprzonego kompasu. Poszłam do łazienki i gdy zobaczyłam przez okno Manhattan, o mało nie zemdlałam. Ale pospacerowałam po ulicach i ustaliłam, gdzie jestem. Mówię ci: te restauracje, galerie, butiki... Rewelacja. Mam fioła na punkcie tego miejsca.

– Dlaczego nie przeprowadziłaś się tam, zamiast do TriBeKi? – spytałam, zastanawiając się nad jej odwagą w erotycznych awanturach.

– Aż takiego fioła to nie mam – odparła. – Lubię nieco bardziej unowocześnione dzielnice. Mam trzydzieści dwa lata, trochę za późno na takie grungeowe klimaty.

Po przyjemnej piętnastominutowej przejażdżce metrem wyskoczyliśmy na Bedford Avenue. Kiki miała rację. Dzielnica pulsowała niemalże namacalną energią. Wszyscy przechodnie wydawali się o dekadę młodszy. Nawet trzydziestolatkowie wyglądali jak dzieciaki dzięki modnym ciuchom, licznym kolczykom na twarzach i bogactwu tatuaży. Nagle poczułam się jak staruszka z przedmieścia na wycieczce do egzotycznej krainy. Przyglądałam się facetom wnoszącym gitary po schodach do sali prób oraz dziewczynom w minispódniczkach z jaskrawo ufarbowanymi włosami i krwistoczerwonymi ustami. Tak samo czułam się na londyńskiej King's Road w **1983**. Czułam się modna i świeża, nic to, że jedynie turystka, kręciło mnie, że ludzie wokół robili coś punkowego i oryginalnego. Teraz nie mogłam widzieć w przechodniach z Williamsburga starszych, coolerskich ludzi zwiastujących moją własną dorosłość. Czułam raczej słodko-gorzka nostalgię. Dziś ja byłam tą starszą, a oni obiecującymi przyszłymi artystami, muzykami lub prostytutkami, kto wie... Ale na pewno prezentowali się świetnie.

– To tu – powiedziała Kiki. – Jeszcze jakieś dwie przecznice stąd, po lewej.

Nagle zamarła. Stała jak wryta w swoich szpilkach od Manolo Blahnika.

Super. Nie umiałam pohamować zrzędzenia.

– Kiki, tylko nie mów mi, proszę, że się zgubiłyśmy. Muszę za dwie godziny być w domu, żeby odebrać Milesa z...

Uciszyła mnie, spokojnie biorąc za rękę. Ścisnęła bardzo mocno. Aż tak się przejęła zgubieniem drogi?

–Au! – żelazny uścisk przeniósł się na nadgarstek. – Jasny gwint! To boli!

– Ćśśś – rozkazała w niemym oszołomieniu i wbiła we mnie paznokcie.

Właśnie miałam kategorycznie zaprotestować, kiedy zobaczyłam jej ogromne, szeroko otwarte oczy skierowane na drugą stronę ulicy. O co chodziło? Zauważyła napad? Powoli odwróciłam głowę, podążając za wzrokiem Kiki, która pociągnęła mnie, chowając się za budą parkującej obok furgonetki. Moje oczy wreszcie napotkały widok, który Kiki – najbardziej gadatliwej osobie na ziemi, odebrał mowę... Obraz, który sprawił, że najbardziej dowcipnej, aroganckiej i złośliwej osobie, jaką znałam, zabrakło słów, a jej zawsze ciepła i ruchliwa dłoń spoczywała teraz na moim nadgarstku niczym lodowata podkowa.

Na wprost mnie, pośród kolorowego tłumu, mój mąż całował się namiętnie z inną kobietą.

## ***Rozdział 8***

***Kiedy poznaję faceta, zastanawiam się, czy chcę by z tym mężczyzną –  
moje dzieci spędzały weekendy?***

**Rita Rudner**

Mgła. Słyszałam ludzi mówiących, że znaleźli się we mgle, uwięzieni w szarej chmurze paranoicznego mamrotania i żałoby. Zwykle chodziło o utratę matki lub ojca bądź jakiś dramatyczny przełom w życiu. Gdy spoglądają w przeszłość, obraz jest zamazany, pamięta się tylko

nieprzerwany smutek i jakieś strzępy zdarzeń, niczym wyrwane z kontekstu stop–klatki. Życie przechodzi obok nas i nie sposób go już nigdy odtworzyć. Retransmisji nie będzie.

Doświadczylałam tej gęstej, izolującej mgły, gdy przed ośmioma laty zmarła mama. A teraz znów mnie dopadła i zamknęła w zimnym, posepnym uścisku. Drżałam, a Kiki mnie mocno przytuliła. Świat wirował w zawrotnym tempie, a ja razem z nim spadałam w zimną czeluść. Ze wszystkimi szczegółami wrócił wieczór, gdy po raz pierwszy spotkałam Tima. Wtedy też kręciło mi się w głowie. Czy to stało się nieważne? Anulowano tamto oczarowanie, zakochanie? A moje trzepoczące serce? To tylko pompa tłocząca krew przez moje ciało? Teraz każdą z moich żył pędził Orient Express. Czyżbym umierała? Tak się właśnie czułam.

Następne godziny słabo kojarzę: taksówka, hiperwentylacja, przejazd przez most, Kiki masująca moje plecy i jej słabo tłumione przekleństwa. Tonęłam. Chyba nawet nie płakałam. Jeszcze nie.

Mój kokon osłaniający wymarzoną rodzinę właśnie pękł. I nie wyfrunął z niego piękny, wielobarwny motyl. Raczej chora, wymizerowana, szara i postrzępiona ćma. Zadrżałam z wściekłości.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobił. Pieprzony dupek – pisnęłam zmienionym głosem, gdy wróciłyśmy do mojego mieszkania. Poprowadziła mnie do gabinetu Tima i zajęła się przetrząsaniem zawartości jego biurka, podczas gdy ja dygotałam na pikowanej skórzanej kanapie w kolorze koniaku.

– Co robisz? – spytałam, patrząc, jak buszuje po wszystkich szufladach niczym diabeł tasmański.

– Tim powiedział ci, że do jutra jest w Chicago, tak?



– Uhm. – Osunęłam się na oparcie i patrzyłam na zdjęcia z wakacji sprzed kilku lat, przedstawiające Tima, Milesa i mnie w Wenecji, Pizie i Padwie.

– Bardzo dobrze. To znaczy, że mamy całą dobę na zdobycie najważniejszych informacji. Pewnie już zdążył schować kasę, pieprzony drań.

– Zaczekaj, Kiki... Powoli. Może to tylko... przelotny flirt. Albo...

– Daj spokój, Holly. Wiem, to strasznie boli, ale teraz chroń siebie. Gdyby w wolnych chwilach dymał rosyjskie kurwy, jak mąż Barbary Ceville, nie wymyślałby udawanych podróży służbowych. Załatwiałby to podczas przerwy na lunch. To nie jest jakaś dziwka robiąca mu laskę przed południem w hotelu. Twój mąż ma kochankę.

Czyli dziewczynę? Coś jakby... zupełnie nowy związek? Nie, nie, nie, nie. Przecież on nas kochał!

– Dam ci listę Meg McSorley... Została moim doradcą przy rozwodzie i pomogła mi przez to piekło przejść. Zadzwońisz do dwudziestu najlepszych prawników w mieście – od razu, dzisiaj – i z każdym umówisz się na spotkanie. W ten sposób zablokujesz Timowi możliwość ich zatrudnienia. Popadliby w konflikt interesów, jeśli figurujesz w papierach kancelarii jako potencjalna klientka...

– Naprawdę, Kiki, zwolnij... Teraz jestem całkiem nieprzytomna, a... jeśli chodzi o... – straszne słowo „rozwód” nie przechodziło mi przez gardło. Ledwie przetrwałam to pierwsze uderzenie, a ona mi każe rozważać ideę rozejścia się. Moi rodzice byli małżeństwem przez trzydzieści lat, do śmierci mamy Tata zamieszkał na Florydzie, gdzie wprost rzucały się na niego zamożne wdowy, ale on nigdy nie chwycił przynęty; kochał wspomnienia o

zakochanej w nim do szaleństwa żonie bardziej niż samo życie. Jak więc, pochodząc z idealnej rodziny, mogłabym skończyć jako rozwódka? To było wariactwo! Nie moje życie. Może powinnam doprowadzić do konfrontacji – on się przestraszy i będzie błagał, żebym z nim została. Musiałam przynajmniej sprawdzić, o co chodziło, zanim zacznę obdzwaniać prawników. Najsmutniejsze, że gdy działo się coś złego, najpierw zawsze dzwoniłam do Tima i teraz też niemal sięgnęłam po słuchawkę, żeby się wypłakać i opowiedzieć mu, przez co przechodzę. Moim ciałem wstrząsały fale wrzącego gniewu, a po chwili mroźnego, rozpaczliwego smutku. Patrzyłam na Kiki, która otwierała kolejne szuflady biurka i w szaleńczym tempie przeglądała ich zawartość, szukając Bóg wie czego. Przeniosłam wzrok na wiszące za nią zdjęcie ślubne. Na czarno-białej, ziarnistej fotografii trudno rozpoznać nasze rozmazane twarze, a parę wirującą na parkiecie owija lekki jak mgiełka welon, niczym jednoczące spoiwo. Oczy zasły mi łzami. Tak, wtedy byliśmy jednością. Zmiana kadru — w oczach pojawił się paraliżujący widok z Wythe Avenue na Brooklynie. Całował i tulił tamtą dziewczynę jak kiedyś mnie. Tim ze zdjęcia i ten dzisiejszy to na pewno ta sama osoba? Jak to się stało? Przecież nasza małżeńska przysięga miała być mocniejsza niż dąb, a okazała się ulotna i zetlała jak woal spowijający nas w pierwszym tańcu nowożeńców.

## *Rozdział 9*

*Lady Astor. Sir, gdyby był pan moim mężem, dodałabym truciznę do pańskiego drinka*

*Winston Churchill. Madame, gdyby była pani moją żoną, wypiłbym go.*

Bingo! – krzyknęła Kiki. Patrzyła na mnie triumfująco, ściskając w dłoni najwyklejszą dużą szarą kopertę.

– Tego właśnie szukałam. – Rzuciła ją na biurko, jakby zniesmaczona nagle swoim odkryciem, niczym nurek zawodowo poszukujący w morzu topielców, gdy już znajdzie ciało, może mówić o sukcesie, ale samo znalezisko jest wyjątkowo nieprzyjemne.

Chwiejnym krokiem przeszłam przez pokój, żeby zobaczyć, jakiegoż to odkrycia dokonała Kiki. Nic szczególnego. Adres zwrotny: GTP Mortgage, LLP, Oakdale Avenue, Suite **4300**, w MaLean, Wirginia. No i co z tego? Spojrzałam na nią tępo.

–Widzisz to? Wydaje się nudna i zwyczajna, co? Jakaś głupia korespondencja finansowa, którą odłożyłaś dla Tima?

– No. – Dostawaliśmy mnóstwo takich kopert. Nigdy ich nie otwierałam. Nigdy nie zajmowałam się finansami. Gdy nadchodził czas rozliczeń podatkowych, podpisywałam automatycznie w wyznaczonych miejscach oznaczonych żółtymi, samoprzylepnymi karteczkami.

– Tak to robił Hal, spójrz... – Otworzyła kopertę i wyjęła dwie płyty CD. Wyglądały zwyczajnie, nieopisane, w plastikowych przezroczystych pudełkach.

Hm, wielka mi rzecz.

– Tak właśnie je przesyłają. Ściśle utajnione, w nieopisanej kopercie. Jak firma Ticketmaster, która tym sposobem unika kradzieży biletów na koncerty. No wiesz, wysyłają ze skrzynki pocztowej w Iowa albo coś w tym stylu.

Kiwnęłam głową, przywołując mgliste wspomnienie, jak podczas studiów przypadkiem wpadły mi ręce bilety na Smashing Pumpkins, bo sądziłam, że list dotyczy jakiejś reklamy, subskrypcji magazynu albo kampanii politycznej.

– Goście od funduszy hedgingowych zamawiają takie zestawy. Tak planują ucieczkę. Za jakieś tysiąc dolców przebiegły facet instruuje, w jaki sposób stworzyć bazę.

Wciąż nie miałam pojęcia, o czym ona mówi. Kiki podeszła do odtwarzacza Bose stojącego przy biurku i włożyła płytę.

*Witaj* – odezwał się rześki męski głos. – *Mówi Lachlan McDonald. Dzięki tajnym wskazówkom rozwodowym przeznaczonym dla mężczyzn o wysokiej wartości netto zyskasz przewagę. W czasie od roku do dwóch lat uzbroisz się w informacje niezbędne do ustalenia spraw finansowych i zrozumiesz skomplikowane realia postępowania rozwodowego. Kiedyś jaskiniowcy po prostu wyrzucali żonę z jaskini. Dziś kobieta połowę jaskini zatrzymuje dla siebie...*

Pan Lachlan McDonald z zapalem ciągnął swój wykład, a ja zaczęłam dyszeć. Coraz ciężiej. Zataczając się, wróciłam na kanapę, gdzie całkiem się rozpadłam. A więc nie chodziło o jakąś tam dziwkę, tkwiłam po uszy w starannie przygotowywanej operacji pod hasłem „Zostawić Holly”. Ręce mi drżały. Kiki podeszła i przytuliła mnie, a ja płakałam histerycznie niczym osesek, zanim powietrze na dobre nie wypełni jego maleńkich płuc. Przez

moje rozdzierające zawodzenia słyszałyśmy tylko wstępne wskazówki McDonalda.

## **REGUŁY ROZWODOWE**

1. W przypadku rozwodu wszystkie chwytły są dozwolone. To jest wojna.

2. NIGDY nie zapominaj, że słowo „uterus” (ang. „macica” – przyp. tłum.) pochodzi od greckiego „uster”, czyli „histeryczny”. Kobiety, napędzane niekontrolowanymi emocjami, będą pragnęły zemsty, gdy je zostawisz, więc musisz się dobrze przygotować.

3. Trzeba zacząć od sprzedaży głównych aktywów, takich jak dom; wynajmij coś mniejszego, żeby zawczasu obniżyć standard jej życia.

4. Roztrwoń pieniądze ze sprzedaży majątku i zapożycz się, aby powstały małżeńskie długi, które ona również będzie musiała spłacać...

Posępna litania przebiegłych sposobów na ukrycie pieniędzy ciągnęła się bez końca... Oszalamiający koraż skurwysyństwa, chciwości i bezwzględności.

– Sama widzisz – powiedziała spokojnie Kiki, kładąc dłoń na moim kolanie. – Ci dranie wszystko zaplanowali. Fakt, całowałam się z tamtym facetem, złożyłam pozew, ale znalazłam w komputerze Hala pliki instruktażowe dotyczące rozwodu... On już dawno myślał, jak się wyrwać, więc wkroczyłam ostro do akcji, zanim zdążył wykonać precyzyjny plan podpowiadany przez tego dupka.

Czy tak przedstawiała się prawda o moim mężu, o naszym małżeństwie, o mnie? Podeszłam do biurka Tima, które wcześniej starannie omijałam wzrokiem. Spojrzałam na zamknięte szuflady, uśpiony wulkan, który mógł w każdej chwili wypluć lawę cuchnących kłamstw, ujawnić

kolejne ponure sekrety, jeśli zajrzę do środka. Ale mając u boku Kiki, wzięłam głęboko powietrze, jak przed skokiem z trampoliny, kucnęłam na podłodze i otworzyłam je.

Początkowo znalazłam jedynie nudne papiery dotyczące podatków, informacje na temat badań związanych z inwestycjami i inne prawne i finansowe nudziarstwa. Przeglądając papiery, zastanawiałam się, czy nie jest to ze strony Tima jakiś kaprys. Może szczerą rozmową przekona mnie, że to nieistotna, jednorazowa przygoda albo luksusowa prostytutka? Przecież kochał nas! Może tylko potrzebował nowych wrażeń...

Ale wtedy natrafiłam na ulotkę spa Relais & Chateau w Oregonie.

– Co to jest? – spytała Kiki, widząc moje zdziwienie.

– Tim niedawno wrócił z Oregonu. Ale podobno zatrzymał się w jakimś ogromnym ośrodku konferencyjnym. A to mi wygląda cholernie luksusowo i zbyt romantycznie, jak na spotkanie biznesowe.

Kiki wzięła do ręki ulotkę i dokładnie przestudiowała połyskliwe zdjęcia gabinetów kosmetycznych oraz do masażu, aquaparku, mahoniowych łóżek z baldachimem i rozanielonych par jedzących kolację przy świecach.

– Tu nie chodziło o interesy. To jego ciemne sprawy – wydeła usta najwyraźniej zniesmaczona.

Przeglądałam cierpliwie teczki, koperty, skoroszyty, co rusz znajdując tajemnicze rachunki: z La Petite Coquette, sklepu z bielizną na University Place, z One If by Land, Two if by Sea, romantycznej restauracji, gdzie nikt nie rozmawiałby o interesach, z numerem MasterCard, który widziałam pierwszy raz. Zawirowało mi w głowie, zaschło w ustach, bałam się, że zwymiotuję.

– Ja... ja nie wiem, co powiedzieć – wykrztusiłam, zasypana, dosłownie, dowodami, że Tim prowadził podwójne życie.

– Obiecuj, że zadzwonisz do prawników. – Kiki była wyjątkowo poważna i zasadnicza. – W tej grze muszą uczestniczyć obie strony.

Chciałam umrzeć. Oczywiście nie myślałam naprawdę o harakiri – nigdy nie zostawiłabym Milesa bez mamy, ale wyobrażałam sobie, że Tim po powrocie do domu znajduje moje malowniczo ułożone (w łazience czy sypialni?) zwłoki, ból łamie mu serce, pada na kolana i łkając prosi bogów o odpuszczenie grzechów. Słyszało się o kilku samobójstwach na Upper East Side, których przyczyną byli wredni mężowie, wymieniający żony na nowszy model. Strzał w łeb z powodu bankructwa zdarzał się niezwykle rzadko, a do legendy nie przechodził nigdy.

Resztkami sił odebrałam Milesa ze szkoły. Na widok mojego roześmianego synka o mało znowu nie zaczęłam płakać, ale wzięłam się w garść i pomaszerowaliśmy do Dylan's Candy Bar przy Trzeciej Alei. Podobno dzieci rozwiedzionych rodziców są bardziej rozpieszczone, pomyślałam, że oto uczestniczę w pierwszej z rozpustnych cukrowych uczt, jakie ponoć miały nastąpić. Junior ścisnął w dłoni swój zestaw cukierków, wyjmując je z przegródek maleńkimi łopatkami. Dzieciaki tłoczyły się w przejściu z płomiennymi spojrzeniami, a mamy i nianie hamowały ich wielkie apetyty. Ogromny sklep był cukierniczym rajem pełnym ciastek, lizaków, czekoladek i cukierków we wszystkich kształtach i kolorach tęczy.

Ja widziałam tylko szarości, czerń i biel.

## Rozdział 10

*Bigamista ma o jedną żonę za dużo. Monogamista też*

*Oscar Wilde*

Mamusiu, dzięki za lizaka. Kocham cię!

– Ja też cię kocham, słonko. Ale Miles, synku, powinieneś mnie kochać nawet wtedy, kiedy nie kupuję

ci cukierków. Musimy się kochać niezależnie od wszystkiego.

– Wiem. Poczytamy *Żabę i ropuchę*?

— Oczywiście, kochanie. – Umościliśmy się na jego łóżeczku ze stosem książek, a ja przelykałam łyzy. Niewinne słowa o przyjaźni i prostych wartościach podtrzymywały mnie na duchu. Dotarłam do końca bajki, pocałowałam synka w czoło, wyłączyłam jego nocną lampkę w kształcie dinozaura i zamknęłam drzwi. Jego mała główka ciężko opadła na poduszkę. Zaraz pograży się w spokojnym, regenerującym śnie.

Czy kiedykolwiek jeszcze będzie mi dane tak zasnąć?

Kiki zaproponowała, że przyjedzie posiedzieć ze mną, ale wyczerpana całym tym koszmarnym dniem marzyłam tylko o pójściu do łóżka. Gdy tak leżałam, dwanaście godzin po trzęsieniu ziemi, które zrujnowało moje życie, zaczęłam rozmyślać o minionych latach. Cofałam się do każdej podróży służbowej Tima. I zaczęły ożywać różne obrazki: jego „jednodniowy wyjazd” do Cincinnati, nagła konferencja w Utah... Albo dziwaczny pomysł spotkania zarządu w Wichita w Kansas, – czy w ogóle się odbyło? A podróż z klientem statkiem turystycznym w Nassau, kiedy komórka rzekomo nie miała zasięgu? Wszystko kłamstwa. Niczym Chazz Palminteri filiżankę – w



myślach upuściłam na kamienną podłogę moje serce, szczęście, ostatnie lata życia, a one roztrzaskały się o posadzkę w drobny mak i nijak nie dało się już tego pozbierać.

Zadzwoił telefon. Wskoczyłam z łóżka i gnałam jak sprinter, zobaczyć wyświetlony numer. Tim. Nie zamierzałam odebrać. Pozwoliłam, żeby się nagrał.

*Cześć, Holly, tu Tim. Tęsknię za wami. W Chicago tłumy ludzi i naprawdę ciepło. Z okna mam widok na Sears Tower. Wrócę jutro wieczorem, już się nie mogę doczekać. Kocham was. Zadzwoń do mnie, jeśli nie śpisz, ale naprawdę jestem skonany po całym dniu spotkań, więc chyba pójdę zaraz spać. Kocham cię.*

Pieprzony kłamca. Nigdy w życiu nie przeklinałam. Ale teraz wszystko mi wolno. Ten pierdolony zboczony dupek, ten wąż pewnie wszystkie wiadomości, które zostawiał mi na sekretarce, szpikował niezliczonymi kłamstwami. W St. Louis: „Pozdrowię od ciebie Łuk”. W San Francisco: „Patrzę na słońce zachodzące nad mostem Golden Gate”. Wieża Eiffla. Big Ben. Niezła metoda: wcisnąć jak najwięcej szczegółów, jęczeć o zmęczeniu, marudzić, że nudno. Pewnie zajrzał nawet do gazety, by sprawdzić pogodę w Chicago. Założę się, że leżał nago z tą szmatą i mrugał do niej, sprzedając mi te pierdoły. „Jestem skonany po całym dniu spotkań”. A może raczej po dymaniu swojej dziwki? Oscylowałam między jadem a rozpaczliwym żalem nad sobą, a zmiany następowały co sekundę. Co mam zrobić? Jak sobie poradzę? Przez całe lata patrzyłam na rozwiedzione koleżanki ze współczuciem i ulgą, że to nie ja. A teraz właśnie mnie dopadło.

Myślałam o niedawno rozwiedzionej koleżance z dzieciństwa, Natashy, ale ona nie miała dzieci. Ja zostanę z dużym bagażem. Dałoby się zapłacić niejedną walizkę od Vuittona: prawdopodobnie brudny rozwód, dziecko i nienawistny żal wzgardzonej kobiety. Otworzyłam skrzynkę e-mailową i odnalazłam list od Natashy, w którym szczegółowo opisywała swoje małżeńskie fiasko. *i*

Jest tak, jak mówią, Holly: niewierność nie jest przyczyną rozstania, lecz objawem, że coś źle się dzieje.

Oczywiście natychmiast przypomniałam sobie słowa Billyego Crystala w *Kiedy Harry poznał Sally* na ten temat: *Jasne, ten objaw pieprzy teraz moją żonę*. Nie zauważyłam, nie zwiتریłam żadnych oznak kryzysu w naszym małżeństwie. Zdarzały się okresy łóżkowej posuchy w porównaniu z pierwszymi latami, ale nic nie było „nie tak”.

Czytałam dalej:

Chyba podświadomie przeczuwałam rozstanie... Czułam to przez skórę. Cliff zaczął coś knuć i planować, zmieniła się atmosfera. Żyjesz i śpisz z wrogiem. Jak w kiepskim hicie tygodnia na Lifetime. Przeglądasz jego portfel, szukając rachunków powiązanych z sekretną kartą kredytową. Patrzysz na palce, gdy odsłuchuje pocztę głosową w komórce, żeby odgadnąć hasło... Sprawdziłam. Dzwoniły same dziewczyny... Chciałam go przyłapać na zdradzie, więc poprosiłam koleżankę, żeby się z nim umówiła. Cassie zadzwoniła, udając panienkę na jedną noc. Chwycił przynętę. A ja podcięłam.

Ja wcale nie miałam wrażenia, że sypiam z wrogiem. Co prawda wyznałam kiedyś swojemu ojcu, że między mną a Timem rośnie przepaść, ale to wrażenie szybko minęło.

– Wy też miewaliście dobre i złe chwile, prawda? – pytałam z nadzieją, że tata rozwieje moje obawy.

– Nie będę cię okłamywał – odparł. – Niezupełnie. Zawsze było cudownie. Przez całe małżeństwo. Zdarzały się chwile zmęczenia albo krótkie sprzeczki... Jasne, że tak. Ale nigdy nie musieliśmy „pracować nad związkiem”. Przeraza mnie, jak słyszę, że małżeństwo to ciężka praca. Dla mnie nigdy nie było harówką, tylko przyjemnością.

Urwał. Mama od siedmiu lat nie żyła, a mój ojciec, wrażliwy, życzliwy i łagodny mężczyzna, gdy ją stracił, w jakimś sensie umarł razem z nią. Często wynosimy na piedestał bliskich, których pochowaliśmy, ale wiedziałam, że tata nigdy nie przestanie kochać mojej mamy, mimo że jak wszystkie pary miewali wzloty i upadki.

Dziś wiem, że powiew chłodu i niektóre nieporozumienia w ostatnim roku, kiedy, jak sądziłam, Tim musiał więcej pracować, były gwałtowniejsze, na dłużej kładły się cieniem na wzajemnych relacjach, ale nigdy nie posądziłabym go o knowania — płyty CD z poradami taktycznymi, zdrady, kłamliwe telefony, lewe podróże służbowe, całe to podle budowane alibi. Gdyby przyznawano nagrodę dla najgłupszej kobiety na ziemi – powinnam ją dostać. Tim zasługiwał na Oscara za pieprzoną rolę wspaniałego męża. Tak czy owak, okazałam się naiwniaczką. Legł w gruzach mój wizerunek inteligentnej spryciary. Gdy sobie to uświadomiłam, resztę nocy przepłakałam.

## *Rozdział 11*

*Moim zdaniem mężczyźni, którzy mają przekłute uszy, są lepiej przygotowani do małżeństwa. Doświadczyli bólu i potrafią kupować biżuterię. Rita Rudner*

Następnego dnia obudził mnie strach przed konfrontacją z Timem. Czekając na jego powrót, pobiegłam do fryzjera i teraz wyglądałam jak milion dolców. No dobra, może tysiąc. OK – pesos. Ale najważniejsze, że się pozbierałam, gotowa stanąć oko w oko z mężczyzną mojego życia, jak dotąd wierzyłam, a w rzeczywistości okazał się zupełnie obcym wrogiem.

Przez cały dzień uciekałam od tego na różne sposoby. Zrobiłam gigantyczne zakupy, zapelniając lodówkę i zamrażarkę, uruchomiłam od lat nieużywaną kostkarkę do lodu, zamówiłam – bez sensu – trzy tuziny ostryg w Caribe, zadzwoniłam do Kiki, że żyję, wykonałam trzydzieści telefonów do różnych znajomych, że jest wspaniale, zjadłam kolację z Milesem, położyłam go spać i... zaczęło się oczekiwanie. Tim pewnie ze swoją kurewką wykonał jeszcze jeden, na do widzenia, numer przed powrotem do domu. Przez Most Brookliński, a nie lotnisko LaGuardia. Przeglądając codzienną stertę katalogów, poczułam się kompletnie obca wobec idealnie uśmiechniętych rodzin w identycznych piżamach, gdzie na każdej stronie u dołu widniał numer **1-800**, gdzie można było kupić ten piżamowo-koszulowy okruch rodzinnego szczęścia. Z jakiegoś powodu, cholera wie czemu, lubiłam kłaść się wieczorem do łóżka z katalogami. Czasem coś zamawiałam, ale zwykle był to niezawodny sposób na powolne wyciszenie myśli i ratunek przed słodkimi rytuałami czyhającymi od bladego świtu,

tymi wszystkimi ręcznikami z monogramami, łańcuszkami do zegarków i plecaczkami, wiszącymi na ramionach, w każdym calu amerykańskich dzieci, podwożonych do szkoły przez rodziców. Zastanawiałam się, czy jako samotna matka odnajdę choć ślad bezmyślnej radości na kolorowych stronach reklamowych, czy raczej wyrzucę katalog do śmieci. Przewróciłam stronę i zobaczyłam zdjęcie ojca przystojniaka całującego głowę matki – wspaniałej, dzielnej kobiety tulącej dwoje dzieci, a całą czwórkę spowijała identyczna, milusia, różowa welenka. Istny raj.

Tim nie obejmował mnie w ten sposób od pewnego czasu, ale właściwie kiedy to się skończyło? Dlaczego drużyna nagle się rozpada? Wiem, zmęczenie, wyjazdy, napięty terminarz przyspieszają powolne odchodzenie od siebie, ale patrząc wstecz, utwierdzałam się w przekonaniu, że ta zmiana zaszła w mgnieniu oka. Mężczyzna, z którym spłodziliśmy dziecko, całował mój ciężarny brzuch i zachwycony patrzył, jak nasz syn przeciska się na świat przez mój kanał rodny. Wiem, to cyniczny i dość paskudny opis, ale tym właśnie jest małżeństwo –prozą życia. Bez obróbki graficznej. Codziennosc to. wrzeszczące niemowlę o trzeciej nad ranem, nieestetyczna fizjologia, cierpliwe znoszenie humorów w chorobie, nie zawsze chciane obowiązki i zmęczenie. Niewiele miejsca zostaje na romantyczne uniesienia z pierwszych randek. Usłyszałam chrobotanie klucza w zamku i poczułam treść żołądka w ustach.

Tim wszedł do środka, ciągnąc za sobą walizkę od T. Anthony’ego. Siedziałam unieruchomiona na kanapie.

– Cześć, kochanie!

Normalnie zerwałabym się i przytuliła do niego. Zawsze zadziwiało mnie, jaki jest boski z tą swoją rozwichrzoną, uroczą czupryną\* zwłaszcza

gdy wracał do domu z podróży, a ja stęskniona, po kilku samotnie spędzonych nocach, wyczekiwałam tej chwili fizycznej bliskości.

Teraz zdobyłam się jedynie na krótkie: „cześć”. Dygotałam.

Otworzył walizkę i wyciągnął pluszowego misia w sweterku Chicago Cubs. Genialnie zaplanowane – pomyślałam. Zawsze wracał z różnymi prezencikami z miejsca pobytu.

– Miles śpi? – spytał.

–Uhm.

– O co chodzi?

Od czego zacząć? Nie mogłam patrzeć na Tima, więc spojrzałam w wielkie brązowe oczy misia.

– Kazałeś asystentce zamówić misia przez internet czy może sam się pofatygowałeś, żeby mieć prezent po powrocie do domu?

– O czym ty mówisz?

– Przestań, Tim. Tak reagują wszyscy oskarżeni z *Prawa i porządku* w pierwszej minucie konfrontacji. O czym ja mówię? Nie obrażaj mnie. Może byłam idiotką nie wiadomo od jak dawna, ale już nie jestem.

Jego niedowierzający uśmiech nagle zbladł. Aha! Już wiedział, że ja wiem. Teraz będzie mnie błagać o litość. Przecież nie zrezygnuje z powrotów do Milesa ani prawdziwego domu z jedzeniem w lodówce i czystą bielizną w szafie.

– Posłuchaj, Holly... Musimy porozmawiać. – Na marginesie: każde zdanie zaczynające się od „posłuchaj” to podzwonne dla związku.

– O tym, że mnie zdradzasz? — Moje serce łomotało jak oszalałe. Oczekiwałam, że zareaguje na oskarżenie śmiechem, że zaprzeczy, będzie kłamał: „To twoje wymysły!” albo: „Nie będę się zajmował plotkami”, lub:

„To nic nie znaczyło.”, czy: „To był pierwszy i jedyny raz, popełniłem wielki błąd i bardzo tego żałuję!”.

Nic z tych rzeczy. Usłyszałam tylko długi wydech. Kolejny zły znak.

– Jak się dowiedziałaś? – spytał rzeczowo.

A więc to tak. Żadnych zaprzeczeń, przeprosin, skruchy... Opanowała mnie dzika furia.

– Jak się dowiedziałam? Widziałam was, do cholery! Całowaliście się! I to na ulicy! Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam, co ci dałam, całowałeś się z tą tanią dziwką! – wrzasnęłam. Zerwałam się na równe nogi i spojrzałam prosto w jego oczy. – Upokorzyłeś mnie, z tą kurwą. Jestem matką twojego dziecka! Jak mogłeś mi to zrobić? – Zaskoczyłam nawet samą siebie, że wybuch nie wywołał ani jednej łzy. Czoło zrosił mi pot. Dygotałam.

Tim oddychał ciężko, ale zachował zimną krew.

– Holly, uspokój się.

– Nie mów mi, co mam robić! Udawałeś, że pojechałeś w podróż służbową! Ile razy? W pokoju Milesa jest dwadzieścia miśków zespołów baseballowych pierwszej ligi z całego kraju. Czy każdy oznacza inną dziwkę, którą przeleciałeś?

– Avery nie jest dziwką! – wrzasnął.

Ooo!

Avery?

Mimo diagnozy Kiki, że Tim ma kochankę, wciąż żywiłam nadzieję, że te „inne” były jedynie parą nóg do rozkładania. Ale ta nie była. Ona była „Avery”.

– O matko, przepraszam, że obraziłam kurwę, która niszczy naszą rodzinę!

– Holly, przestań.

– Przychodzisz tu i bronisz tej dziwki, której osobiście przekazałeś na ulicy paciorkowca ze swojego gardła?

– Wiem, że nie jesteś tego w stanie zrozumieć, Holly, naprawdę mi przykro – powiedział kręcąc głową. – Ja ją kocham.

Hiroszima.

Nigdy. Przenigdy nie spodziewałam się, że kiedykolwiek to usłyszę.

W tym momencie po prostu się rozpadłam. Palące łzy zalały mi policzki, a z gardła wydobył się jakiś skowyt. Tim próbował mnie pocieszyć, ale uderzyłam jego wyciągniętą rękę.

– Wynoś się! – krzyknęłam.

Tim spojrział ze smutkiem. Część mnie pragnęła, żeby wyszedł w tej samej sekundzie, ale druga pragnęła, by padł na kolana i błagał o wybaczenie. Ale tylko stał bezradnie na środku pokoju, z ustami wykrzywionymi w przepaszającym grymasie.

– Wybacz, Holl – powiedział krótko i, stosując się do mojego polecenia, wyszedł.

Tę noc przeplakałam. I jeszcze wiele następnych.



## *Rozdział 12*

*Kobieta pierwsza: Mój mąż jest aniołem!*

*Kobieta druga. Ma pani szczęście. Mój jeszcze żyje.*

Następne tygodnie spędziłam sama z chusteczkami higienicznymi. Kiki zaprowadziła mnie do swojej prawniczki, gdzie złożyłam tonę papierów, o ile zjawą z *Nocy żywych trupów* może wypełniać formularze. Wykonałam bolesne telefony, które u wszystkich rozmówców wywoływały okrzyki: „Och, nie! Wy?“, oraz: „Wydawaliście się taką idealną parą“ i oczywiście: „Dlaczego?“. Zachowałam się jak prawdziwa dama i nie wciągałam nikogo w bagno małżeńskich zdrad Tima, ale z mojego tonu zranionej łani ludzie bez trudu wyczuwali zapach innej kobiety, a znając życie, domyślali się brudnych szczegółów.

Kiedy wreszcie zdecydowałam się spuścić tę bombę na biednego, ukochanego tatę, zaskoczył mnie: wyraźnie skonsternowany, zachował kamienny spokój i okazał mi wsparcie, którego nigdy bym się nie spodziewała. Najtrudniej było mi zadzwonić do naszej „świadkowej”, Jeannie. Asystowała mi, gdy poznałam Tima, puszczała do mnie oczko za jego plecami i uśmiechała się, już wtedy przekonana, że kiedyś staniemy przed ołtarzem.

A teraz była tak samo zszokowana jak ja, – płakała i klęła na przemian.

– Nie mogę w to uwierzyć! Och, Holl... Tak mi przykro. Co za dupek!  
– Usłyszałam, jak pociąga nosem i wyjmuję chusteczki z pudełka. – Spodziewałabym się tego po tym draniu Webbiem, ale nie po Timie! – Jeannie miała przyjemność być podrywaną przez pijanego jak świnia (czy też, jak powiedziałyby Sherry Von, „zawianego“) Marka na naszym weselu.

Wraz ze wszystkimi sześcioma drużbami Tima, facetami z Wall Street, tak się spił, że z rozbiegu padał na kolana i ślizgał się po parkiecie jak Tom Cruise w *Ryzykownym interesie*, tyle że w smokingu, a nie w bokserkach. Po piątym ślizgu, gdy przewrócił Lauren, drugą druhnę, Tim zarządził odwrót do domu i oddał go w ręce kierowcy.

– Wiesz – mówiłam okręcając kabel od telefonu wokół palca, na którym wciąż błyszczała obrączka – w duchu miałam nadzieję, że po zachowaniu Marka na naszym weselu on i Tim oddalą się od siebie. Że z czasem odetniemy się od tej znajomości. Ale oni wciąż są najlepszymi kumplami i trochę winię Marka za to, co się stało – to taki gad, miał taki zły wpływ...

– Kochanie – odparła trzeźwo Jeannie – możesz zaprowadzić konia do wodopoju... ale nie możesz go zmusić, żeby pił.

– To prawda – roześmiałam się, ale oczy znów wypełniły się łzami. – Jednak... Ten cały świątek Tima, ten klub dla facetów z finansjery... Oni są wszyscy tacy sami. Sprośne dowcipy, alkohol i, jak widać, panienki na boku. To właśnie kultura hedgingowa. Przekonanie, że ze wszystkiego się wywiną dzięki kasie. Myślałam, że znalazłam porządny egzemplarz, ale nie ma wyjątków.

– Tak mi smutno, kochanie — głos Jeannie załamywał się. Wzruszyło mnie, jak bardzo przejęła się moją sytuacją, ale nie chciałam, by cierpiała z mojego powodu. – To niesmaczne. Nawet jeśli będzie cię błagał, żebyś pozwoliła mu wrócić, nie zgodzisz się, prawda?

Pocieszająca wizja. On się ocknie, zastanowi nad sobą i pędem wróci, błagając, żebym wybaczyła i zapomniała o sprawie.

– Jest jeszcze Miles. Nie wiem.

– Ja mam troje dzieci, ale po seksaferze gubernatora Spitzera oświadczyłam Williamowi, że jeśli kiedykolwiek wywinąłby taki numer, niezależnie od wszystkiego – znikam.

– Chyba nikt nie wie, jak się zachowa, dopóki nie znajdzie się w określonej sytuacji – odpowiedziałam. Chociaż wojownicze Jeannie i Kiki powtarzały w kółko feministyczne mantry, ja swoimi zapuchniętymi i czerwonymi od płaczu oczami królika widziałam dookoła zły, zakłamany świat, wobec którego czułam się jak ścigany królik: słaba, przerażona i samotna. A cała wizja przyszłości mieściła się w melodramatycznej deklaracji: „Już nigdy się nie zakocham!”

W przeddzień pierwszego spotkania z Timem i naszymi prawnikami, późnym wieczorem, zadzwonił portier z dołu:

– Przyszła pani Sherry Von Hapsburg Talbott.

Serce mi stanęło. W przeciwieństwie do Kiki, chyba nie zamierzano wykluczyć mnie z towarzystwa, skoro teściowa składała mi wizytę w domu. Wyznawczyni cnoty lojalności i zasady „trzymania się razem” nienawidziła zdrad, więc zapewne przeraził ją postępek Tima.

Otworzyłam drzwi. Jak zawsze nieskazitelnie ubrana w kremową obcisłą suknię od Oscara de la Renty, z torebką Kelly ze skóry aligatora i w okularach przeciwsłonecznych Toma Forda wpłynęła przez próg. Osoby jej pokroju nie: chodziły, biegały, truchtały ani kroczyły, one się płynnym ruchem przemieszczały.

– Witaj, Holland. – Wypowiedziała moje imię tak, jak Newman mówił „Jerry” u Seinfelda. Po co ten jad?

–Wejdz, Sherry. Usiądź proszę. Może napijesz...

– Chcę powiedzieć tylko jedno i nie będę marnować twojego czasu rozmowami o niczym ani uprzejmościami – przerwała mi, wysuwając podbródek do góry, przy odgarnianiu blond kosmyka z podejrzenie gładkiego czoła. – Holland. Popełniasz ogromny błąd.

Oślupiałam.

– Słucham?

Miała czelność przyjść do mojego domu i powiedzieć to, co właśnie powiedziała?

– Masz dziecko. Rodzinę. Dla Talbottów najważniejsza jest rodzina.

Zatkało mnie.

– No cóż, ja też sądziłam, że mam wspaniałą rodzinę – odparłam, starając się zachować spokój. – Ale niestety twój syn nas zdradził.

– Może dla ciebie to nowina, Holland Talbott – oznajmiła lodowato, wymachując zakrzywionym palcem z wielkim pierścieniem – ale mężczyźni to mężczyźni. Nie musiałaś krzyczeć na niego z tego powodu. Jakie to uroczo dziecinne. Przez tysiąclecia kobiety odwracały wzrok, nic nie widziały, nic nie słyszały. Musisz zrobić wszystko, żeby rodzina się nie rozpadła.

Wtedy zrobiłam rzecz, na którą wcześniej nigdy bym się nie odważyła: roześmiałam się jej w twarz. Parsknęłam głośnym, gardłowym śmiechem. Twarz mojej teściowej wykrzywił grymas złości.

– Uważasz, że to zabawne? – syknęła.

– Cholernie śmieszne. To nie są lata pięćdziesiąte. Nie zamierzam kłaść uszu po sobie i żyć w obłudzie. Na litość boską, Tim zabrał ją do hotelu, w którym spędziliśmy miesiąc miodowy! Rozumiesz?

– Och, proszę cię. Dorośnij! – usiłowała wrócić do rozkazującego tonu królowej. – Myślisz, że jesteś pierwszą, której mąż ma kogoś na boku? Takie są męskie potrzeby. Samo życie. Małżeństwo, rodzina, wychowanie syna, mojego wnuka, to się liczy. Czy pomyślałaś, jak zmieni się twoja sytuacja, jeśli dalej będziesz brnęła w ten nonsens!

– To twój syn zabrnął w „nonsens”, kiedy złamał naszą przysięgę ślubną! Pamiętasz, jak bezwzględnie potępiłaś Kiki? Co się stało z twoim świętym oburzeniem, kiedy Kiki zbłądziła, już nie twierdzisz, że „zdrada jest złem”, co?

– Kiki jest kobietą. A poza tym nie ma dzieci. Ty masz obowiązki. ..

– Wobec Milesa czy wobec ciebie? Obowiązek zachowania w tajemnicy przed światem, że twój syn zerwał małżeństwo? – Zaczęłam wychodzić ze stanu otepienia i smutku, wpadałam w szal. – Nie możesz tu po prostu przyjść i kazać mi zostać z Timem, podczas gdy on „zakochał się” w innej kobiecie. On nie tylko sypia z jakąś przypadkową dziwką, ale naprawdę się zadurzył! Jak śmiesz dawać mi wykład na temat rodziny?

– Przez setki lat nie było w rodzinie Von Hapsburgów ani Talbottów rozwodu, a teraz ty z tą tandetną Kiki przyszyłście i niszczyacie tradycję silnej rodziny!

– Silnej? Naprawdę? Nazywasz siłą życie w kłamstwie, żeby zachować pozory? To słabość! Twoja sprawa, że wybrałaś wegetację, gdzie chodzi jedynie o śliczną fasadę kryjącą zwykłe gówno, bo najważniejsze jest, co ludzie pomyślą. Mnie wychowano inaczej. Moja świętej pamięci mama była uosobieniem siły i nigdy nie zniosłaby takiego upokorzenia ani kłamstwa. A teraz wyjdź, proszę.

– Jeszcze tego pożałujesz – powiedziała spokojnie, kierując się do wyjścia. W progu położyła wypielegnowaną dłoń na złotej gałce, nie pozwalając mi zamknąć drzwi. – Pamiętaj, Holland: zadrzesz z tą rodziną i jesteś w tym mieście skończona.

– Bardzo się boję! To nie jest jakieś tam prowincjonalne miasteczko. To Nowy Jork, miliony ludzi, więc wątpię, żeby wszyscy mnie wykluczyli.

– Zgadza się. Miliony. Miliony młodych kobiet: to dżungla dla kogoś w twoim wieku. Powinnaś po prostu przeczekać, jak każda rozsądna kobieta, zamiast robić bałagan i nas wszystkich wciągać. Nigdy nie znajdziesz tak dobrej partii jak Tim. Kto ożeniłby się z taką jak ty. – Zerknęła na wysadzany diamentami zegarek od Cartiera. – Hubert czeka na mnie na dole. Miłego dnia, Holland. – Po tych słowach zamknęła drzwi.

Nienawidziłam jej. Chciałam, aby za rogiem spotkała Hannibala Lectera, by barakudy wypatroszyły ją żywcem, żeby krokodyle w parku Everglades rozerwały ją na strzępy albo rzuciły się na nią jadowite żaby z batrachotoksynami. Dla mnie umarła. Ale gdy w grę wchodzi dzieci, mimo rozwodu ona i Tim będą, poprzez Milesa, związani ze mną na zawsze.

Sherry Von: rozstanie z tobą to czysta rozkosz, ale z jakiegoś szalonego powodu wciąż opłakiwałam Tima. Może dlatego, że rozstanie było gwoździem do trumny mojej młodości i niewinnych uczuć... Czy to nie żalosne, że wciąż kochałam go równie mocno, jak nienawidziłam? Nie potrafiłam po prostu się odciąć. Tej nocy po raz pierwszy wróciłam myślami do początku naszego związku. Nie umiałam pogodzić tego, co zrobił mój mąż, z obrazem faceta, w którym się zakochałam. Przypominałam sobie szczegóły pierwszego roku naszej miłości, jego czuprynę wystającą spod czapki z daszkiem niczym skrzydełka, słodki uśmiech, chłopięcy wdzięk, aż

chciało się go przytulić. Na jego widok serce trzepotało z radości. Był naprawdę miły i czuły, troskliwy, przytulasty jak pluszowy miś, kochający i oddany aż do teraz, czułam się kochana, bezpieczna, otoczona opieką. Zmieniał się, mówiąc o interesach; mój łagodny, spokojny Tim przeistaczał się w bezwzględny, zawistny, wściekłego demona rywalizacji, istny doktor Jekyll i Mr Hyde, i niestety, zdarzało mu się to coraz częściej. Im więcej sukcesów odnosił, tym bardziej wzrastała jego brawurowa pewność siebie. Rozmowy o Milesie czy filmach schodziły na drugi plan wobec świetnych kontraktów firmy. Oszalałymi go pochwały w prasie (artykuł w „New York Times” na temat najlepszych funduszy hedgingowych przypieczętował jego wejście na szczyt), czułam, że władza uderza mu do głowy, oddalał się. Tęskniłam za jego czułością i opieką, za tym wszystkim, co sprawiło, że dawniej byłabym z nim szczęśliwa do końca życia, nawet na bezludnej wyspie.

Ale nie żyliśmy sami na świecie. Otaczały nas ze wszystkich stron niepiękne sprawy, dziwne osoby, haniebne postęпки, wredne teściowe, fałszywi przyjaciele, fuzje, nabytki i ekskluzywne knajpy dla snobów. I Avery. Nasza mała oaza zniknęła.

Następnego dnia pobiegłam do szpitala, aby spotkać się z przedstawicielką działu rozwoju i porozmawiać o przyszłorocznych darowiznach; jako współprzewodnicząca pomogłam zebrać trzy miliony podczas balu w hotelu Waldorf, a nawet zorganizowałam after party pod hasłem Young Patrons, na którą już wyprzedano bilety.

Susan, dyrektorka działu, pracująca na pełny etat pro bono (jej mąż był z Wall Street, więc zrezygnowała z pensji), zaprosiła mnie do gabinetu.

– Holly – nerwowo chwyciła mnie za rękę. – Obawiam się, że mam złe wieści.

– Jakie? – przeraziłam się. Czyżby coś u niej wykryto? – Miałam dziś rano nieprzyjemny telefon. Czuję się fatalnie...

– Co się stało?

– Dzwonił Mortimer DuPont. Chyba... niestety... Rozumiem, że zadzwoniła do niego pani Von Hapsburg Talbott i oni... Powiedzieli, że nie poprą twojego członkostwa w radzie.

Dobrze, że siedziałam, bo bym upadła.

– Co takiego?'

– Bardzo mi przykro, Holly. Powiedziałam mu, że zrobiłaś więcej niż ktokolwiek inny, zebrałaś masę pieniędzy, siedziałaś tu tyle godzin, wypisując zaproszenia i zaklejając koperty, ale on odpowiedział tylko, że nie możemy denerwować pani Talbott. Chce zacząć od nowa imprezy dobroczynne w przyszłym roku.

– Chwileczkę... Jak to: zacząć od nowa? Chcesz powiedzieć, że nie tylko nie wezmą mnie do rady nadzorczej, mimo że wykonałam większość pracy, ale też nie dopuszczą do imprezy, którą zaplanowałam i stworzyłam od zera?

– Holly, uwierz, brzydzi mnie taka niesprawiedliwość, ale mam związane ręce. Pan DuPont jest prezesem zarządu i wybudował całe nowe skrzydło. To bardzo kłopotliwa sytuacja.

– Czyli nie pozwalają mi nawet na wolontariat! Istne wariactwo. Zebrałam mnóstwo pieniędzy!



Wiedziałam, że miejsce w radzie to prawdziwy zaszczyt, ucieleśnienie nowojorskiego sloganu: *Gwe, Get, or Go* „Daj, zdobądź albo znikaj” – daj mnóstwo pieniędzy, zdobądź je od przyjaciół albo znikaj nam z oczu.

– O ile dobrze pamiętam, mówił, że wielu darczyńców prowadzi interesy z Talbottami i nie zechcą opowiadać się po którejkolwiek stronie, dając ci pieniądze.

–Nie rozumiem... Jak to – opowiadać się po czyjejs stronie? Przekazywanie pieniędzy na szpital nie jest „opowiadaniem się”. – Ogarnęła mnie taka wściekłość, że niemal słyszałam, jak pękają mi naczynka krwionośne na twarzy.

– Ja to wszystko wiem – odparła Susan i chwyciła mnie za drugą rękę, gdy się rozplakałam. – Ale to polityka. Wiele osób, do których byś się zwracała, ma jakieś interesy z Timem poprzez inwestycje i tak dalej. To niesprawiedliwe i żalosne, ale kiedy burza ucichnie, mam nadzieję, że nadal będziesz mogła w jakimś stopniu z nami współpracować...

Świetnie. Plotka głosiła, że Morty i Sally DuPont mieli nie jeden, nie dwa, ale trzy prywatne odrzutowce dzięki jego firmie Solar Partners. Podwoził samolotem rodzinę Bushów i innych kumpli a to do Maine, a to do Hobe Sound, a na Piątej Alei mówiono, że Sally wysłała kiedyś Rubies, swojego miniaturowego szpica, samego w tapicerowanym skórą **757** do specjalisty od psiej cukrzycy w Chicago. A teraz rekiny, nie tylko przemysłu, ale jak się okazuje, także dobroczynności, blokowały dostęp do mojej własnej działalności charytatywnej. Wstałam, lekko uścisnęłam Susan na pożegnanie i niczym w transie wróciłam do domu.

Weszłam do mieszkania i pojękując cicho, chwiejnym krokiem powlokłam się do telefonu.

Z łomoczącym sercem zadzwoniłam do Kiki, żeby donieść o wizycie Sherry Von i jej kolejnym posunięciu, aby mnie załatwić.

– To pieprzona zdzira z Mayflower! – wykrzyknęła Kiki, jeszcze bardziej wściekła ode mnie. – Co ona ma z tego, że ci zamknie drogę? Czego ona od ciebie chce, do cholery?

– Mówiłam ci: żebym była miła, ślepa i głucha i nie odchodziła od Tima.

– Czyli co, uważa, że każdy jest taką szmatą jak ona?

Byłam potwornie zmęczona obrotem spraw. Tak naprawdę patrzyłam na swoje życie, jakby to był przypadek kogoś innego, opisany w cuchnącym brukowcu. Czyżby Sherry miała rację? Czy postąpiłam zbyt pochopnie, sprzeciwiając się zdradzie Tima? Czy powinnam zaczekać, aż romans się wypali, i utrzymać rodzinę, zamiast oświetlać reflektorem niewierność męża? Ale nie było miejsca na drugą szansę, skoro Tim nie błagał – nawet nie prosił o nią. Nie widziałam poczucia winy, żadnych dramatycznych gestów ani skruchy. Nie było nawet pokornych przeprosin. Tim nie pozostawił mi wyboru. A Miles... Oczy napełniły mi się łzami, kiedy pomyślałam o pełnych jadu słowach Sherry Von i jej sugestii, że jestem głównianą matką, bo niszczę naszą rodzinę. Opadłam bezwładnie na sofę i wypłakiwałam się Kiki tak, jak nie zdarzyło mi się od śmierci mamy. Głęboko nabierałam powietrza i wypuszczałam je w urywanym szlochu, a całym moim ciałem wstrząsały dreszcze.

—Już dobrze, kochanie. Jesteś silna. Tak jak twoja mama, jesteś skałą i na sto procent sobie poradzisz – zapewniła Kiki ze spokojem. Pomyślałam, że byłaby idealną matką, tak naturalnie jej to przyszło.

Dzięki Bogu mogłam zaszyć się w kącie, bo jak zwykle latem wszyscy przesiadywali w klubach golfowych albo lecieli na drugi koniec świata. Potem towarzystwo przeniesie się do Hampton, Vineyard czy Newport, więc liczyłam na względny spokój aż do jesieni, a do tego czasu zamierzałam się jakoś pozbierać, by móc stawić czoło publicznemu zainteresowaniu nową La Divorcee.

– Nie będzie żadnej sensacji, zapewniam cię – stwierdziła Kiki.

– Nie będzie? – zapytałam potulnie. – Znam przecież te wszystkie idealne mamuśki, które będą się użalać nad biedną porzuconą Holly – lamentowałam, wyobrażając sobie ich protekcyjne poklepywanie po plecach, gdy drugą ręką jeszcze mocniej przytrzymują swoich mężów.

– Nie. Zamierzam ci pomóc – oznajmiła rzeczowo. – Będiesz moim projektem.

– Co chcesz powiedzieć?

– Jesteś najlepszą matką, jaką Miles mógłby sobie wymarzyć. Organizujesz mu życie: zabawy z innymi dziećmi, treningi Super Soccer Stars, lekcje informatyki w TechoTots, zajęcia plastyczne Petite Picassos – więc zamierzam to wszystko od ciebie przejąć.

– Jak? – Otarłam łzy, spływające po policzkach.

– Pomogę ci nacisnąć guzik uruchamiający nowe życie. Zmiana wyglądu, inna fryzura, najmodniejsze ciuchy, odzyskana pewność siebie i tak dalej. Udowodnimy tej suce Sherry Von, jak bardzo się myli – mnóstwo facetów dałoby się zabić, żeby z tobą być. Będę twoim rozgrywającym w towarzyskiej pierwszej lidze. Gdy nasi frajerscy eksmeżowie polecą oglądać NFL, my będziemy realizowały nasz własny, starannie zaplanowany turniej.

– Kiki, doceniam twoje zamierzenia, ale jestem w takiej rozsypce, że nawet nie wiem, od czego zacząć.

–Ja wiem – zapewniła mnie. – Powtarzaj za mną sto razy: krótka żółta sukienka od Niny Ricci. Krótka żółta sukienka od Niny Ricci. Krótka żółta sukienka do Niny Ricci...

Mówiła o sukience, którą Reese Witherspoon włożyła na rozdanie Złotych Globów wkrótce po rozwodzie. Wyglądała bosko na czerwonym dywanie i udowodniła, że Philippe był kompletnym idiotą. Ta kiecka stała się symbolem wszystkich rozwódek i dowodem, że da się wytrzymać emocjonalne baty i śmiało ruszyć dalej na pięciocalowych obcasach od Rogera Viviersa.

–Jej się udało. Nam też się uda. Nie mam dziecka, więc zasiądę za kierownicą. Ty musisz tylko zadbać o siebie, odbudować swoje życie. Ja się zajmę resztą.

– Kocham cię, Kiki. Co ja bym bez ciebie zrobiła?

– Teraz jest do dupy. Wjechałaś ekspresem do piekła. Czeka cię jeszcze mnóstwo płaczu, aż twoje kanaliki łzowe wyschną jak Sahara. Ale przebrniesz przez te potworne dni, ockniesz się, odetchniesz i – uwierz mi — będziesz zdziwiona całym tym zamieszaniem, cierpieniem i rozpaczą. Oczywiście minie trochę czasu, zanim okrzepniesz na tyle, żeby normalnie funkcjonować, o nowym oczarowaniu nie wspomnę. A nawet wtedy, kiedy już będziesz gotowa, każda nieudana randka skończy się wielkim płaczem w taksówce wiozącej cię do domu. Za to po każdej dobrej – czy coś z tego dalej wyjdzie, czy nie – poczujesz, jak romantyczne i podniecające może być życie. Wspomnienie Tima będzie blakło, oddalało się, aż zniknie definitywnie. Ja już wiem, że dokonałam właściwego wyboru, odchodząc od

Hala. Ty masz cięższą robotę, bo nie zaliczyłaś powolnego rozkładu jak my. Ale zaufaj mi, po obecnym obrzydliwym, toksycznym czasie nadejdzie chwila triumfu. Przebrniesz przez to i zabłyśniesz po drugiej stronie. To jak przejście przez rzekę gówna w *Skazanych na Shawshank*. Będziesz płakać i rzygać, ale pokonasz ten okropny tunel i wyjdiesz z niego uwolniona od bólu. Przysięgam.

Modliłam się, żeby miała rację. Na razie widziałam tylko czarną czeluść bez dna. W ciągu następnych kilku miesięcy zużyłam górę chusteczek higienicznych z dziesięciu ściętych drzew, prowadziłam długie rozmowy przez telefon z moją drugą rozwiedzioną przyjaciółką Natashą, spotykałam się bez przerwy z prawnikami, oddział asystentów Tima spakował jego rzeczy i zawiózł je do Carlton House przy Madison Avenue (gdzie rekiny finansjery z Wall Street koczują po rozwodzie) i miałam zaplanowaną datę podpisania ostatecznych dokumentów rozwodowych. Mój zrozpaczony ojciec przyleciał do Nowego Jorku, żeby mnie pocieszyć i przejrzeć intercyzę, żebym mogła żądać sprawiedliwego podziału majątku. W Empire State zgodziłam się na rozwód „bez orzekania o winie”. Fakt, że Tim bzykał jakąś dziwkę nie miał żadnego znaczenia, podobnie jak gdybym ja bzykała swojego trenera u Davida Bartona. Tata został ze mną na noc i ocierał moje łzy.

– Kochanie – powiedział – przemyślmy to. Wiem, że jesteś zraniona, zła, rozżalona, a poczucie sprawiedliwości domaga się kary dla Tima, ale nie chciałabyś przecież, by Miles zapłacił za to emocjonalnie. A wojna i odgrywanie się do tego prowadzi. Twoja mama i ja nigdy nie wiedliśmy takiego trybu życia i byliśmy szczęśliwi.

Mój tata zawsze miał rację, podobnie jak mama. Spokojniejszy, szlachetniejszy ode mnie, bo ja marzyłam o jednym: wypatroszyć Tima! Ale w gruncie rzeczy, szkoda zachodu. Nie ze względów moralnych czy z uwagi na ochronę spokoju Milesa, ale byłam zbyt zmęczona, żeby walczyć. Nawet nie miałam siły realnie pomyśleć o rozpoczęciu batalii. Całym sercem pragnęłam krwawej zemsty, lecz nie kosztem Milesa, więc nie wystąpiłam o wyłączną opiekę nad dzieckiem. Pozwoliłam na równe prawa plus weekendy i środowe wieczory u ojca. Jeśli chodzi o finanse, to z powodu naszej intercyzy miałam prawo tylko do naszego mieszkania.

Tim, chyba z poczucia winy, oddał mi je całe i zgodził sięłożyć na jego utrzymanie, ale ponieważ wartość apartamentu znacznie przekraczała kwotę ustaloną w umowie, tylko na to mogłam liczyć. Oczywiście do tego doszły alimenty na Milesa, ale musiałam się pożegnać z kredytem u Bergdorfa, z klubami, a nawet członkostwem w siłowni Davida Bartona. Moja prawniczka twierdziła, że pewnie mogłabym o to powalczyć, ale ja chciałam tylko, żeby wszystko się już skończyło. Nie chciałam dawać Sherry Von amunicji – byłam pewna, że szlag ją trafia za mieszkanie, ponieważ to ona je dla nas znalazła. Mimo to uwielbiałam je. Sama urządziłam swoje „gniazdko” i było opoką w ciągle zmieniającym się życiu Milesa. A ponieważ Tim często wyjeżdżał, byliśmy przyzwyczajeni, że dla nas dwojga jest tak wiele miejsca, choć z drugiej strony mieszkanie było przytulne, z pokojem zabaw dla Milesa, z telewizorem, stolikiem do rysowania i sztalugami. Dom był dla mnie wszystkim, ponieważ stałam się jeszcze większą domatorką niż kiedykolwiek i chciałam, żeby chociaż to jedno pozostało święte. Na szczęście Tim nie walczył ze mną o mieszkanie.

Ale mimo tych wszystkich przywilejów hedgingowej żony, nigdy nie imponował mi przepych, a niektóre obyczaje śmieszyły. Czy naprawdę musiałam dzwonić do jednego z asystentów Tima, żeby kupić bilety do teatru czy zrobić rezerwację stolika? Właściwie poczułam ulgę, że pozbędę się tego całego sztafażu bogactwa i książęcej etykiety. Jasne, w deszczowe dni fajnie, gdy kierowca czeka pod domem, ale czasem zabawnie jest zmoknąć. Uwielbiałam spacerować. Łaźnienie ulicami Nowego Jorku jest wielką frajdą, nieznaną bogatym żonom facetów z City. Niech Tim wszystko sobie zatrzyma. Nie zamierzałam błagać o więcej, nawet jeśli mi się należało.

Kiedy Tim i ja w końcu znaleźliśmy się w sądzie, każde ze swoim prawnikiem, spuściłam szybko wzrok, żeby powstrzymać łzy. Spojrzałam na wykropkowaną linię i gdy pióro zostawiało tusz na papierze, zdałam sobie sprawę, że szok ustąpił, odzyskałam jasność umysłu.

Gdy złożył podpis, moja prawniczka powiedziała tylko:

– To wszystko.

To wszystko. Po dziesięciu wspólnych latach delikatna stalówka pióra od Tiffany'ego wykonała wyrok na naszym małżeństwie niczym złoty topór.

–Holl...

Spojrzałam na Tima. Usta ściągął w surowym grymasie.

Nie patrzył mi w oczy.

– Przepraszam.

Nic nie odpowiedziałam, tylko zamrugałam, powstrzymując łzy, i wyszłam.

Tata znów przyjechał na kilka dni i pierwszą noc przeplakaliśmy oboje: ja nad swoim małżeństwem, on z tęsknoty za mamą, za przeszłością, za lepszymi czasami. Opowiadałam mu, jak ciężko walczyłam, by dopłynąć

do bezpiecznego brzegu, ale straszny ból i smutek odciągał mnie znów na sam środek istnego oceanu rozpacz. Byłam zmęczona i nieraz czułam, że tonę.

– Kochanie, pamiętasz tę bezgraniczną rozpacz, jaką czułaś po śmierci mamy? – zapytał.

– Tak.

– Myślałaś, że nigdy już nie będziesz w stanie cieszyć się czymkolwiek. I było ciężko, bardzo ciężko, ale trzymaliśmy się dzielnie. Uda nam się, tobie się uda. Nie tylko ze względu na Mileśa, ale dla ciebie samej. Jesteś młoda, całe życie przed tobą, musisz być silna.

Ojcowie potrafią potrząsnąć tobą z miłości. Miał rację... Mogłabym do końca świata uzalać się nad sobą albo pozbierać się do kupy i wrócić do życia. Żałowałam tylko, że nie ma już mamy, ona najlepiej by mi pomogła przejść przez kolejny etap.

Czas mijał, a każdy kolejny dzień wymagał mniejszego wysiłku. Na początku, gdy dzwonił budzik, czułam, jakby ktoś położył mi na piersiach dwutonowy ciężar. A potem, powolutku, zelżał do jednej tony. I do pół. Aż w końcu stałam się odporna na palący ból. Czysta agonia przerodziła się w dyskomfort, który wkrótce ustąpił miejsca tolerancji dla sytuacji. Aż nastał czas, gdy maleńkimi kroczkami, dzień po dniu, budowałam w sobie poczucie normalności i gdybym odpowiednio zmrużyła oczy, mogłabym dostrzec mały promień nadziei. Kiedy spoglądałam wstecz i oceniałam pokonaną drogę, wiedziałam, że przyszłość może być tylko coraz lepsza.

Kiki miała rację: uda mi się przez to przejść. Gdy pewnego wieczoru leżeliśmy z Milesem w łóżku i czytałam mu bajeczki, aż usnęliśmy obłożeni książkami, spośród feerii kolorów akwarelowych ilustracji, które nadal



tańczyły w mojej głowie, wyłonił się z dalekiego wiru słonecznik. Żółty jak sukienka od Niny Ricci.

## *Rozdział 13*

*Wychodziła za mąż tyle razy, że na twarzy zostały jej blizny po ziarenkach ryżu.*

### *Henny Youngman*

Gdyby na kanwie mojego życia nakręcono film, w tym momencie zabrzmiałaby muzyka jak z *Rocky'ego* albo *Gwiezdnych wojen*. Majestatyczna i monumentalna, jak ta chwila, gdy powstawałam niczym Feniks z popiołów na ruinie spalonego „rodzinnego gniazdka”. Okej, zdarzały się jeszcze pojedyncze napady płaczu w Starbucks. Popłakiwałam też i dygotałam ze złości, kiedy okazywało się, że kolejne konto zostało zamknięte. Nie sądziłam, że Tim upadnie tak nisko, by zamykać rachunki powiązane z rodzinnym kontem na banalne zakupy, jak pasta do zębów czy grzebień, ale zrobił to. – Przykro mi, pani Talbott – starszy pan w Zitomer's mrugał nerwowo. – Obawiam się, że rachunek został zamknięty. To samo usłyszałam w Clyde's Chemists, Citarella, sklepie z artykułami metalowymi, nawet [amazon.com](https://www.amazon.com) zniechęca odrzucił moje zamówienie. Kurek został zakręcony do końca. Co najgorsze, w Lobels, gdzie kupowałam dla Milesa jego ulubione steki, natknęłam się na Emilię d'Angelo. Zaczęłyśmy rozmawiać i wtedy miły człowiek, u którego od lat kupowałam mięso, spojrzał na mnie ze smutkiem i uprzedził, że mój rachunek właśnie został zamknięty. Emilia udawała, że bawi się swoim naszyjnikiem od Bulgariego i

uważnie ogląda poledwicę, na pewno usłyszała. Teraz z pewnością stanę się tematem numer jeden podczas kolejnego spotkania w Sette Mezzo. Zgodnie z przepowiednią Sherry Von. albo należysz do rodziny, w stylu *Ojca chrzestnego*, albo masz kłopoty. Teraz najwyraźniej grałam rolę Fredo pływającego twarzą w dół po jeziorze Tahoe.

Niedługo po tym, jak odmówiono mi kawałka wołowiny, trafiłam na łamy prasy. Nie była to wielka burza porównywalna z polowaniem na Kiki, ale jednak opisano nas na kolumnie poświęconej rozwodom w „W” i trafiliśmy na łamy lokalnego plotkarskiego pisemka „Quest” ze zdjęciami Tima i moimi podczas rozmaitych imprez charytatywnych, którym przewodniczyła Sherry Von.

Patrzyłam na uśmiechniętą, dużo młodszą dziewczynę i żałowałam, że nie mogę jej ostrzec przed bolesnym ciosem, jaki ją czeka.

Lecz gdy przychodziły gorsze chwile, kiedy zastanawiałam się, co zrobić z albumem ślubnych zdjęć, obrączką, drobnymi prezencikami i pamiątkami z podróży, Kiki dodawała mi otuchy. To ona podsunęła mi, bym zapewniła Milesa, że kocham go najbardziej na świecie, i razem z Timem uwielbiamy go teraz tak samo jak zawsze. To ona podarowała mi nową kartę do fitness klubu, a mój nowy fryzjer Juan zdecydował o powrocie do blond włosów i porzuceniu mysiego „mamuśkowego” odcienia. Kiki sprawiła, że – jak nigdy przedtem – poświęcałam sobie dużo czasu i uwagi. Dopieszczałam się fitnesssem, wariacko długimi spacerami z Kiki, bieganiem z Milesem za piłką po boisku, niekończącymi się wycieczkami do muzeów, a gdy na dworze upał lasował mózg, wlewałam w siebie hektolitry wody mineralnej zamiast sprite'a. Salon Frederica Fekkai w SoHo stał się terenem mojej ostatecznej metamorfozy. Zagryzłam wargi, kiedy moje długie loki

wylądowały na podłodze skrócone do fryzurki zwanej lśniący bob, następnie fryzjer zmienił pomyjowy beż na letni odcień blondu z dzieciństwa, a Kiki stała obok, komentowała, doradzała i głośno cieszyła się z efektów. Muszę przyznać, że były świetne, a zmiana odjęła mi pięć lat. W ciągu dwóch krótkich godzin zmieniłam się z szarego wróbla w kolorową sikorkę. Do rajskiego ptaka jeszcze trochę brakowało, ale...

Tim zdecydował, że po letnim obozie zabierze Milesa na tydzień do Londynu. Mój eks zamierzał coraz więcej czasu spędzać nad Tamizą w związku z rozwojem brytyjskiego oddziału firmy. Chciałam się sprzeciwić, ponieważ sama myśl, że ten skunks, a może i jego dupencja, będzie tak długo z moim dzieckiem, sprawiała, że wymiotowałam żółcią. Ale Tim planował prawie miesięczną podróż non stop, więc nie mogłam siłą trzymać synka tak długo z dala od ojca, zwłaszcza że Miles kochał tatę, a po rozwaleniu rodziny jako jedynak nie miał wsparcia w rodzeństwie.

Kiedy więc Kiki zaprosiła mnie do domu swojej przyjaciółki w Hampton, postanowiłam, że zamiast smażyć się na asfaltowej patelni Manhattanu, powinnam pojechać. Otrzymałam gwarancję, że uda się tam uniknąć spotkań z hedgingowym towarzystwem – tych letnich domów za pół miliona dolarów, lądowisk dla helikopterów, boisk do polo i wieczornego tarła, które znosiłyśmy cierpliwie w ciągu minionych lat. Usmażone na ciemny brąz anorektyczki w czterocalowych szpilkach, z okularami przeciwsłonecznymi na czubku głowy dostaną szału, gdy pojawimy się tam we dwie i będziemy trzymać się z dala od tej menażerii. Choć nie miałam teraz mnóstwa pieniędzy, o bogatych zawsze plotkowano z zapalem. Zapewne dociekali, ile mi się dostało i kogo teraz bzyka Tim. Bogacze są bardziej skłonni do pikantnych skandali. A rozwód w

hedgingowym świątku od razu stawał się tematem numer jeden na ustach wszystkich.

Pewnego sierpniowego popołudnia siedziałyśmy nad basenem i wspominałyśmy pierwsze dni, gdy zostałyśmy szwagierkami.

– O mało nie zemdlałam, kiedy Hal opowiedział mi o Black Falcon Club – powiedziała Kiki i roześmiała się. Popijała mohito ze świeżą miętą. – To było tak cholernie brutalne. Udawałam zainteresowanie, a on najwyraźniej uważał, że czołganie się przez tunel pełen nietoperzy to spełnienie moich marzeń.

Black Falcon Club był angielskim na wpół tajemnym stowarzyszeniem, którego członkami byli niemalże wyłącznie hedgingowcy z Nowego Jorku i Londynu plus kilku dziwaków, w rodzaju tego staruszka z *Kontaktu*, który poleciał w kosmos z Rosjanami i opłacił poszukiwania kosmitów przez Jodie Foster. Jeśli wolicie, można ich nazwać ekscentrykami (czytaj: świrami marnotrawiącymi ciężkie pieniądze na bzdety). Podobnie jak w Grze z Michaeliem Douglasem. Przed narodzinami Milesa bywaliśmy z Timem w miejscach, których nie widziałam nawet na kanale Discovery. Chodziliśmy po bezludnej wyspie, na której żyły skorpiony wielkości mojej twarzy. Graliśmy w polo na słoniach w indyjskiej wiosce. Oglądaliśmy wędrowkę gnu w Masai Mara. Polowaliśmy na antylopy. Surfowaliśmy po wulkanach. Wszędzie było albo upiornie gorąco (gdy oglądaliśmy antylopy saiga przemierzające pustynię Gobi), albo o wiele za zimno (gdy mieszkaliśmy w igloo na Grenlandii i tęskniłam za swoim łóżkiem).

Ponieważ nie chciałam sprzeciwić się pasji Tima do tych wycieczek z Black Falcon Club, trzymałam buzię na kłódkę, a czasem nawet, pomimo

niewygód, brałam w nich udział. Ale teraz byłam szczęśliwa, że już nie muszę tego robić!

–Pierdolona pustynia Kalahari! – rzuciła Kiki, popijając drinka. – Tim i Hal chyba byli już tacy zblazowani po dzieciństwie w Ritzu i zmęczeni rozpieszczaniem przez Sherry Von, że kiedy nas poznali, musieli pocić się i krwawić, żeby w ogóle poczuć, że żyją.

Uśmiechnęłam się na wspomnienie trafnej uwagi Tima, że dla Kiki survival zaczyna się w chwili, gdy w Four Seasons nie ma wolnego pokoju.

– A wiesz... – zaczęłam z poczuciem winy, bo przecież przysięgałam zachować w tajemnicy wszystko, co dotyczyło Comet Capital. Niech tam. Wobec mnie też zabrakło lojalności. – Tim i Hal kupili Black Falcon.

– Co takiego?! – krzyknęła zaskoczona.

– Pięćdziesiąt procent udziałów. Kilka miesięcy temu. Chyba zamierzają rozbudować firmę i wejść na rynek światowy.

– Okropne. Ten interes jest dziwny i szemrany.

– Zainwestowali też w O.F.R.I. Pamiętasz laboratorium, w którym byliśmy?

– Co ty powiesz!

– Nie kłamie.

Ocean Floor Research Institute (Instytut Badań Dna Morskiego) założyło dwóch znanych badaczy podwodnych. Faceci nieustannie szukali zatopionych skarbów. Trafili na pierwsze strony gazet po odnalezieniu hiszpańskiego okrętu z **1623** roku z trzystoma milionami dublonów. Teraz rzekomo znaleźli statek przewożący skarb sprzed czterystu lat, który szacowano na pięć milionów. Tim milczał na temat zakupu, ponieważ rywa-

lizował z funduszem MajesticMount, lecz po wielu zabiegach do Comet należało teraz około trzydziestu procent udziałów O.F.R.I.

– Nie jestem zachłanna – powiedziała Kiki, wruszając ramionami. – Ale krew mnie zalewa na te nędzne ochłapy, jakie dostałyśmy, w porównaniu z tym, co oni zachomikowali. Zapomnij o funduszach... Mówię o tym biznesie z Comet. To nie fair. Okazali się gównianymi mężami, ale to nas spuszczo w kiblu, jeśli chodzi o forszę.

– No cóż, same podpisałyśmy intercyzy — westchnęłam, przypominając sobie, jak Tim postawił mnie przed faktem dokonanym na trzy tygodnie przed ślubem. Zaskoczył mnie tym wotum nieufności, a co gorsza podważał moje święte przekonanie, że przejdziemy przez życie razem, „dopóki śmierć nas nie rozłączy”. Tim zwał winę na Sherry Von. Zmusiła go, oświadczając coś w rodzaju: bez podpisu nie będzie spadku. Tak czy owak, po latach wykańczających wypraw z Black Falcon, nurkowaniu w zamarzającej wodzie i przeszukiwaniu wraków, wiedziałam, że gdyby Comet Capital znalazło statek, ani Kiki, ani ja nie ujrzałybyśmy nawet jednego dublona. Najlepsze jednak było to, że kiedy patrzyłyśmy teraz na zachodzące sierpniowe słońce i stukaliśmy się szklaneczkami pełnymi miętowozielonych drinków, żadnej z nas to nie obchodziło.

Nigdy nie polowałyśmy na kasę, więc nie żałowałyśmy –ważne, że miałyśmy siebie. Poznałyśmy się dzięki dwóm braciom, którzy teraz odpływali w niepamięć jako zamknięte rozdziały życia, a my trwałyśmy ramię w ramię, bliższe sobie niż kiedykolwiek przedtem. Miałam uzasadnioną nadzieję, że wzmocniona pobytem w tym ciepłym, bezpiecznym i serdecznym miejscu bez problemu stanę do walki z każdą przeciwnością losu.

## *Rozdział 14*

*Małżeństwo to trzy kręgi piekła krąg zaręczynowego pierścionka, obrączki i cierpienia.*

Pierwszego dnia zajęć szkolnych z łomoczącym sercem szłam obok podskakującego Milesa, który nie mógł się doczekać spotkania z kolegami. Kuliałam się, żałując, że nie okrywa mnie peleryna–niewidka Harry'ego Pottera. Musiałam stawić czoło rzeczywistości i rozwiewać wszelkie plotki szerokim uśmiechem oraz świadczącym o pewności siebie opanowaniem. Innymi słowy, odwalić oscarową rolę godną Meryl Streep.

– Witaj, Holly – powitała mnie Mary Grassweather, patrząc badawczo, jakby szukała objawów wstydlivej choroby na mojej twarzy. – Wyglądasz... świetnie. Jak minęło lato?

W powietrzu zawisła siekiera, a cztery inne matki odwróciły głowy, żeby usłyszeć odpowiedź. Miles pobiegł do kolegów, a ja spojrzałam na nie z lekkim uśmieszkiem i wzruszyłam ramionami.

– Jak wicie, Tim i ja rozstaliśmy się, więc przez chwilę było szaleństwo, ale jakoś się trzymam.

– Słyszałyśmy — westchnęła Emilia d'Angelo z fałszywym smutkiem w oczach, jak na plakacie z kotkiem, który sprzedają w Hallmark. – Przykro mi to słyszeć. Ale zwykle to się obraca na lepsze! – Mary, Emilia i Posey opuściły wzrok na baleriny Tory Burch Reva w cukierkowych kolorach i chwilą ciszy oddały hołd nad grobem mojego małżeństwa.

Napiętnowana szkarłatnym „R” na czole czułam, że w jakiś nieuchwytny sposób różnię się teraz od nich; może samym swoim istnieniem uświadamiałam im kruchość losu, ciągnęłam za sobą cień tego, co może przydarzyć się każdemu. Jesienne powroty z wakacji uruchomiły

cały kalejdoskop reakcji w związku z nagłą śmiercią mojego małżeństwa: szok, protekcyjne, litościwe spojrzenia na szkolnych schodach, szepty wśród idealnych mamus i nagłe milczenie, gdy podchodziłam. Jeszcze rok temu, gdy ruszało przedszkole, nikomu nie przyszłoby do głowy kwestionować moją przynależność do tego grona. Dziś jedyne, co się liczyło, to że zostałam pierwszą rozwódką w klasie mojego synka. Właściwie drugą, ale Kathy Giles rozstała się z mężem, kiedy ich synek miał zaledwie dwa latka. Mój rozwód musiał wzbudzić sensację, tym bardziej że z nisko związanym kucykiem i w bluzach od dresu zawsze trochę odstawałam i wzbudzałam rozbawione zaciekawienie wśród wypielegnowanych, błyszczących, nieskazitelnych matek innych dzieciaków. A cadillaki escalade i GMC denalis na parkingu przed szkołą codziennie mi o tym przypominały.

Kiedy Miles odwiedzał kolegę i kierowca przyjeżdżał po niego z upieczonymi przez domowego kucharza ciasteczkami czekoladowymi i filmami wybranymi na piętnastominutową podróż, narzekał, że u nas nie ma podobnych zbytków. Ale ja nie chciałam, żeby jakiś obcy facet kręcił mi się po kuchni, i lubiłam, gdy Miles z otwartą buzią przez szybę samochodu obserwował fascynujący świat, zamiast gapić się na pajęczynę Spider-Mana albo brutalne walki żółwi Ninja. Pamiętam, jak kiedyś przyjechał po nas Hubert, uroczy kamerdyner Sherry Von.

Kiki towarzyszyła nam w drodze do Locust Valley. Teściowa zadbała o niezliczone płyty DVD dla Milesa, wszystkie przeznaczone dla młodszych dzieci. Miles był jednak wdzięcznym widzem i choć miał już sześć lat, zawsze wołał Dorę poznającą świat od zielonych tablic autostrady, więc skupił się na misji zwrócenia kaczątka jego mamie, której gniazdo



znajdowało się na szczycie wulkanu. Kiedy Mapa odśpiewała swoją rundkę: ***Jestem Mapą! Jestem Mapą! Jestem Mapą! Jestem Mapą! Jestem Mapą...***, Kiki nie wytrzymała:

– Dobra, wiemy, że jesteś pieprzoną mapą! – wyłączyła odtwarzacz i zapytała, w jaki sposób udaje mi się znieść tę kakofonię. Od tej chwili wiedziałam, że nie zamontujemy DVD w samochodzie, choć był obowiązkowym wyposażeniem aut podjeżdżających na szkolny parking. Nawet Hubert, który nigdy nie narzekał (i przeszedł przez dużo gorsze rzeczy, gdy Sherry Von smagała go swoim jadowitym językiem, bo kawa była za gorąca lub za zimna), odetchnął z ulgą.

Ale ponieważ koledzy Milesa zawsze będą obracali się w kręgach elity i prawdopodobnie zarażali go swoją żądzą posiadania, wiedziałam, że muszę go jak najlepiej przygotować i dbać o jego system wartości, jak czyniła to szkoła. Uwielbiałam szkołę Milesa nieporównywalną z jakąkolwiek inną i edukację, jaką zapewniała mojemu synkowi. Lecz choć kochałam atmosferę tego miejsca, z niechęcią patrzyłam na matki, których mężowie w jakiś sposób współpracowali z Timem. Były też żony przedstawicieli innych zawodów oczywiście, ale wiele – jeśli nie większość – stanowiły hedgingowe lafiryndy. Gdy z daleka zerkałam na schody wiodące do budynku, widziałam stuprocentowo odstawione kobiety o blond włosach lśniących pasemkami pozostałymi z lata spędzonego na plaży – poprawionymi, rzecz jasna, w salonie Fekkai.

Ale gdy ujrzałam blond głowy szepczące i rzucające wymowne spojrzenia w moim kierunku, wiedziałam, że nie tylko dobre, ale i złe wieści szybko się rozchodzą: oddalona o wiele jardów od frontowych drzwi, przy których w rzędzie czekali chłopcy, aż za dobrze wiedziałam, że o skokach w

bok Tima dowiedziała się już każda z matek na tych zatłoczonych schodach, nie tylko ekipa z Hampton, wśród której plotki rozsyła się SMS-ami pisanymi za kierownicą mercedesa między obozem Hay Ground a miastem. Fala uderzeniowa naszej bomby dotarła nawet do tych, którzy spędzali letnie wakacje na prywatnych wyspach u wybrzeża Maine i Kanady. Nadszedł moment, kiedy stanęłam przed wyborem: uznać, że jestem trędowata, i wrócić do roli biednej upokorzonej żony albo pieprzyć, co sobie myślą wypielegnowane lalunie, i postępować jakby nigdy nic. Wybrałam to drugie.

– Świetny aparat, Emilia – zauważyłam na widok lśniącego nowością aparatu cyfrowego z logo MoMA.

– Dzięki – rozpromieniła się. – Za pięciomilionową donację też taki możesz dostać! – powiedziała zupełnie serio. Potem spuściła wzrok, pewnie gdy zdała sobie sprawę (zgodnie z prawdą), że po rozwodzie nie miałam już szans być hojną filantropką.

– Och, wpuszczają do szkoły! – zauważyła z radością, przerywając ciężącą ciszę. – Chodźmy, Prescott!

Po tych słowach wszystkie pobiegły, żeby ustawić się z synami. Emilia prawie natychmiast odwróciła wzrok. Czyżby bały się czegoś, czy widziały w moim rozwodzie jakieś zagrożenie?

Tydzień później sytuacja jeszcze się pogorszyła, gdy usłyszałam, jak Trish mówi do Mary:

– Czy mogę coś przynieść jutro wieczorem? Nie możemy się doczekać kolacji, świetnie się bawiliśmy w zeszłym roku...

Ach, tak. Chodziło o coroczne przyjęcie u Tripa i Mary Grassweatherów z okazji zrównania dnia z nocą. Impreza odbywała się w ich penthousie na Piątej. Hedgingowcy zawsze znajdą pretekst, aby urządzać

imprezę. Tim i ja spotkaliśmy się z nimi kilka razy na przyjęciach urodzinowych w czasach żłobka, a kiedy wspólna znajoma oznajmiła, że nasze dzieci będą razem chodziły do przedszkola, zaprosili nas na piękną kolację o tej porze w zeszłym roku. Chyba teraz byłam skreślona z tej listy. Chyba będę skreślona ze wszystkich list... Byłam pariaską w szkole St. SEBASTIAN'S.

## *Rozdział 15*

### *Małżeństwo to triumf wyobraźni nad intelektem.*

Stałyśmy z Kiki na środku mojej garderoby. Miles pojechał na przyjęcie urodzinowe u Grassweatherów i zostawał tam na noc. Zostałam... sama. Wreszcie mogłam wyrwać się na miasto z Kiki, byłam wolna. W pewnym sensie. Wzięłam komórkę na wypadek, gdyby Miles mnie potrzebował i chciał wcześniej wrócić z imprezy, na co w duchu – o dziwo – miałam nadzieję.

Kinderbal u Corbetta nie był zwykłym przyjęciem urodzinowym z motywem przewodnim, na przykład Spider-Manem. O nie, to by było zbyt proste! Zbyt pospolite! Mary i jej mąż załatwili z właścicielem wydawnictwa Marvel, żeby sam Stan Lee przyjechał i narysował coś dla chłopców! I, oczywiście zgadliście, Tobey Maguire miał „wpaść” na tort, ponieważ teraz tak wiele funduszy hedgingowych inwestowało w filmy, że Grassweatherowie zaprzyjaźnili się z tym od pajęczyny, bo sfinansowali jakiś jego mały projekt. Nieźle. A teraz – bez słowa przesady – opiszę kilka

motywów przewodnich imprez urodzinowych, które znajomi Tima wyprawili swoim najukochańszym latoroślom.

Naprawdę nie przesadzam. Chciałam chronić syna przed zbytkiem najlepiej, jak mogłam, choć nie zamierzałam wykluczyć go z tych imprez. Mogłam stąpać mocno po ziemi w naszej małej, dwuosobowej rodzinie. Staralam się nie tracić z oczu tego, co ważne, czytać mu o innych miejscach i ludziach spoza bańki nieprzyzwoitego bogactwa. Jak na razie szło mi całkiem nieźle: był naprawdę wrażliwym, dobrym dzieciakiem z ogromnym sercem i nieźle ugruntowanymi wartościami. Ale kiedy pocałował mnie w pośpiechu u Grassweatherów i pobiegł ze swoim śpiworem oraz granatowym żeglarskim workiem do gości, dotarło do mnie, że w tym momencie nie byłam mu zupełnie potrzebna. No i tak. Wracałam sama do domu, aby przygotować się do wyjścia jak za dawnych czasów.

Przeglądałam zawartość szafy i zastanawiałam się, co włożyć, by zmierzyć się ze światem jako singielka z odzysku. Ogarniało mnie znużenie na myśl o tym, że muszę się wystroić, kiedy nagle jak burza wpadła Kiki, ubrana w czekoladowobrązową skórzaną mini, szykowny sweterek z luźnym golfem i kozaki, a krzykliwej całości dopełniały krwistoczerwone paznokcie.

– Dobra! Rozkręcamy imprezę! Potrzebne nam wino i muzyka.

Wiele czasu minęło od ostatnich podobnych przygotowań do wyjścia. Kolejne zestawy ciuchów, które podpowiadała mi Kiki, były równie przegięte jak wizyta sześciolatki u kosmetyczki.

– Kiki. Mam trzydzieści parę lat. To jest zbyt odważne – protestowałam, gdy wręczyła mi obcisłą czerwoną satynową sukienkę od

Dolce & Gabbany, którą mi przyniosła „na wszelki wypadek”. – Nie powinno się nosić takich krótkich sukienek w moim wieku.

– Pieprzysz głupoty. Wszystkie dziewczyny z *Seksu w wielkim mieście* były starsze od ciebie i nosiły chusty od Hermesa na piersiach, na litość boską!

– Ale to serial. A poza tym ja nie jestem Sarą Jessicą Parker.

Puszczaliśmy piosenki ściągnięte z iTunes, które pokazała mi Kiki, zmiatając pajęczyny z mojej wieży i kupując muzykę nieznanymi mi zespołom, ale spodobała mi się. Nigdy nie czułam się taka stara. Muzycy, śpiewający piosenki, w rytm których podrygiwałyśmy, byli od nas o dekadę młodszy. I pewnie uśmiełby się, widząc tę mamuszkę strojącą się na sobotni wieczór.

Oscylowałam między strachem, podnieceniem a zimną kalkulacją. Wiedziałam, że bycie porzuconą to „budowanie charakteru” – wcześniej nikt nigdy mnie nie rzucił – i, o dziwo, niemalże znajdowałam przyjemność w fakcie, że zaliczyłam ten swoisty rytuał przejścia; nagle stanęłam w rzędzie bohaterki tekstów o złamanym sercu. Teraz wiedziałam to, czego nie wiedzieli szczęśliwi głupcy, że istnieje cały osobny świat nieszczęśliwych ludzi. I wiecie co? Jest o wiele fajniejszy! Kiki puściła The Smiths, a ja rozmyślałam, stojąc przed lustrem i nakładając cień na powieki. Ból sprawił, że się rozwijałam, a poza tym pewnie każdy przeżył albo przeżyje jakieś ciężkie rozstanie. Ja miałam to już za sobą.

A teraz wraz ze szczuplejszą sylwetką (dieta rozpaczki jest niezawodna) otrzymałam coś, czego nie miałam przez lata małżeństwa: nadzieję. Samotność, kiedy obok jest drugi człowiek, jest z jakiegoś powodu o wiele gorsza od samotności w prawdziwej samotności. Singielce zawsze

towarzyszy myśl, że znajdzie tego jedyne go faceta ze snów – szalonego kochanka, kumpla, który zawsze umie rozśmieszyć, przeganiając smutki, opiekuna, a co najważniejsze – niezawodnego przyjaciela. Tim i ja już od dość dawna nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Zanim się poznaliśmy, widziałam pary po ślubie i naprawdę odnosiłam wrażenie, jakby kochankowie znaleźli się w krainie szczęśliwości i wiedzieli coś, o czym my wszyscy, singlowi ignoranci, nie mamy pojęcia. Ale po latach małżeństwa zrozumiałam, że nie istnieje tajne przejście do świata tęczy i oszałamiających zachodów słońca. Jest... tak samo. Albo nawet gorzej. Bo kończy się marzenie o idealnej miłości. Teraz znowu znalazłam się w świecie wolnych elektronów, gdzie wszystko było możliwe. Świadomość tyleż podniecająca, co przerażająca.

Aby dostać się do odległej części West Village, Kiki i ja wpakowałyśmy się do taksówki, która śmierdziała tak okropnie, że można było zwymiotować. Modliłam się o lotnicze maski tlenowe, aby spadły nam znad głów. Kiedy dotarliśmy na balangę w jednym z budynków Raymonda Meiera (kiedyś mieszkały tu bliźniaczki Olsen!), w huku muzyki, w ciemnościach przygaszonych świateł ujrzałam skłębiony tłum niesiony falą gorącego seksu. Bywaliśmy z Timem na różnych imprezach, ale były to raczej kameralne spotkania par małżeńskich, choć zdarzali się singlowi znajomi. Tutaj wszystko było dla mnie nowością. Ludzie bez wieku. Zapewne trzydziestoparolatkowie, choć nie starzy nudziarze jak na przedmieściach w najmodniejszych ciuchach, zdawali się w ogóle nie zwracać sobie głowy datą urodzenia. Ubrani młodzieżowo, wydawali się o pokolenie młodszy od moich znajomych ze szkoły Milesa wbitych w kraciaste spódnice, kaszmirowe bliźniaki i (och) peleryny. Tu królowały T-shirty,

kabaretki oraz mini ledwo zakrywające pupy. Ja zawsze byłam gdzieś pomiędzy – nigdy nie stylizowałam się na matronę ani nie byłam awangardowa. Teraz, gdy zobaczyłam ludzi tak modnie i swobodnie ubranych, postanowiłam zaryzykować i odważyć się na inny styl, jak na studiach, kiedy z Jeannie nie obawiałyśmy się chwalić przed światem naszymi mocnymi stronami.

W lofcie czuło się pulsującą energię, w której nie umiałam się odnaleźć, choć chciałam. Widząc moje podenerwowanie, Kiki chwyciła mnie za rękę, po czym pociągnęła mnie za sobą przez tłum tańczących ciał do swojej koleżanki Elizy, którą zauważyła po drugiej stronie sali.

Nastąpiła wzajemna prezentacja wykrzyczana przez łomot Nine Inch Nails, a spośród twarzy, które bezgłośnie poruszały ustami, wypowiadając swoje imiona, jeden facet wpadł mi w oko. Matt Sevin zabrzmiało znajomo. Szczęśliwa siódemka: to mi się spodobało. Był w nim jakiś radosny spokój. Usiedliśmy wszyscy razem i próbowaliśmy rozmawiać. Nateżając uszy i czytając z ust, wyłapałam, że był dziennikarzem muzycznym dla „Spin” (super!) i mieszkał w DUMBO na Brooklynie, ale niewiele więcej. Rozmawiałam z kilkoma osobami siedzącymi obok i zerkałam ciągle na Matta. W końcu wszyscy zaczęli się zbierać na jakąś kolejną imprezę po drugiej stronie miasta, a mnie włączył się matczyzny zegarek, mimo że Miles nie zadzwonił. Nie byłam przyzwyczajona do określenia „after party” i czułam, że powoli kapcanieję. Powieki stały się ciężkie i nawet wymknęło mi się ziewnięcie, kiedy towarzystwo stłoczyło się w przemysłowej windzie. Gdy zaczęli wskakiwać do taksówek, czułam, że Matt trzyma się blisko naszej mniejszej grupki, ale jaki sens miało pozostawanie, skoro nie miałam

siły nawet na uśmiech? Postanowiłam się pożegnać i spadać. Jak się okazało, moja strategia okazała się bardzo dobra.

– Fajnie się z tobą pokrzczało przy muzyce – powiedział Matt, filuternie unosząc brew.

– Mnie też. Nie żałuję nawet zapalenia gardła, które od jutra mam jak w banku – odparłam i się uśmiechnęłam.

– Holly, a może wyskoczymy kiedyś na kolację?

– Jasne, z przyjemnością.

– Wybiorę jakieś ciche miejsce, obiecuję.

I tak umówiłam się na pierwszą porozwodową randkę.

## *Rozdział 16*

– *Jaka potrawa szkodzi najbardziej?*

– *Tort weselny.*

Kiki po raz kolejny uświadomiła mi, że choć określenia „długa noc” nie było w moim słowniku (chyba że chodziło o Conana O'Briena), z pewnością w jej leksykonie zajmowało poczesne miejsce. Nigdy nie budził jej płacz noworodka wyrywającego sobie płuca, więc była przyzwyczajona do dzikich imprez. Tym razem do domu wróciła z barmanem.

– Jak ty to robisz? – zapytałam tydzień później przy lunchu w Sarabeth.

– Nie czujesz lekkiego obrzydzenia, wpuszczając do łóżka jakiegoś przypadkowego faceta?



– Faceci nie mają z tym problemu, więc dlaczego ja miałabym mieć? – odparła, popijając wodę gazowaną, i wzruszyła ramionami.

– Ja potrzebuję samotności, pauzy, żeby się odbudować – rozmyślałam na głos. – A nawet kiedy będę gotowa, przecież nie poznam nikogo poważnego na takiej imprezie.

– No tak, miłość, zaręczyny, ślub i dopiero wyrko? — nabijała się Kiki. – To ostatnie, czego nam trzeba.

– Mów za siebie.

– Dobra, ja tego nie potrzebuję. Nie zamierzam się znów chajtać. Nigdy w życiu.

– Naprawdę? – zdziwiłam się szczerze. – Nie chcesz drugi raz wyjść za mąż?

– Nie. Chcę być wolna. Chcę być taka jak faceci. Dlaczego nie, do cholery? Bo Doris Day i takie jak Sherry Von uważają, że powinnyśmy w rękawicach kuchennych z przyklejonym do twarzy uśmiechem czekać na powrót mężów do domu? Nie zamierzam być niczyją żoną.

Nagle zauważyłam Emilię d'Angelo, która wstała od stolika z tyłu sali, a za nią Posey, Trish i Mary Grassweather.

– Właśnie osiągnęłam odpowiedni wiek, by powiedzieć sobie: nie będę się już sama czesać! Kto ma na to czas? – narzekała Emilia, odbierając sobole od kelnerki.

– To jak u mnie ze swetrami – dodała Mary. – Doszłam do punktu, w którym jeśli coś nie jest z kaszmiru, nie zamierzam tego włożyć. Życie jest krótkie, dlaczego ma swędzieć?

Odwróciły się i zerkając na nas, zaczęły szeptać między sobą, zanim podeszły.

– Witaj, Holly – zaszczębiotała Posey i ucałowała mnie na powitanie. Trish i Mary zrobiły to samo.

– Witaj, Holly – przywitała się Emilia z udawanym współczuciem w głosie. – Jak się czujesz? Biedactwo... Myślałam dużo o tobie, musiało ci być naprawdę wyjątkowo ciężko... –dodała, wykrzywiając usta w smutny grymas jak z dziecięcego rysunku, z przesadnym wygięciem w dół kącików, a Mary i Posey dalej się przyglądały.

– Nic jej nie jest – rzuciła Kiki, patrząc gdzieś ponad moją głowę. Jej ton wyraźnie wskazywał, że chciała pozbyć się gangu mamusiek.

– A co u was? Czuję się, jakbym od wieków was nie widziała. – Czytaj: przestałyście mnie zapraszać. Nie żebym się tym przejmowała. Ale dystans Posey wydawał się dotyczyć mnie bardziej niż w przypadku tamtych dwóch. – Jak wam minęło lato? – spytałam z uśmiechem.

– Oho – wtrąciła Posey. – Nie pozwól jej zacząć na temat domu.

– To była ruina – wyjaśniła Emilia. – Dojechaliśmy na miejsce po podpisaniu umowy. Pół miliona za trzy miesiące w Montauk. Po rozpakowaniu dzieciaków i wszystkich ich rzeczy okazało się, że klimatyzacja nie działa. Zepsuta. Nie do naprawienia.

– Uniosła ręce i kręciła głowę.

– Możesz to sobie wyobrazić? – dodała Mary, przykładając dłoń do gardła z przerażeniem godnym katastrofy Hindenburga.

– Po prostu wyjechaliśmy – ciągnęła Emilia. – I znaleźliśmy się w punkcie wyjścia. W czerwcu. To było okropne. Marco wrócił hydroplanem, a my próbowaliśmy znaleźć jakieś rozwiązanie na miejscu, ale oczywiście najlepsze domy o tej porze są już zajęte, a miną dwa lata, zanim nasz dom Gin Lane będzie gotowy – trzeba wybebeszyć wszystko. To będzie sajgon.

Marco i ja każdego wieczoru ślęczymy nad planami, tyle z tym pracy. A na domiar złego mamy remont w mieszkaniu, a w lecie obowiązują inne reguły dotyczące robót, więc mamy dwie ekipy pracujące dzień i noc, przez całą dobę. Nawet nie chcę o tym mówić. Nie macie pojęcia, jak wykańczające jest nadzorowanie dwóch remontów naraz!

Powiedzenie, że nasz cały świątek funkcjonował pod kloszem, byłoby hipokryzją stulecia. Teraz dostrzegłam to jeszcze wyraźniej. Właśnie walczyłam z bólem po piekielnym roku, a te subtelne, delikatne pańcie mają czelność narzekać na życie, za jakie niektórzy daliby się zabić. Najwyraźniej wszelki umiar wyfrunął przez okno penthouse'u.

Gdy moje pseudoprzyjaciółki Mary i Emilia poszły włożyć płaszcze, powiedziałam do Trish i Posey, że chętnie spotkałabym się z nimi na lampce wina.

–Hm, jasne... Ale ostatnio mamy tyle zamieszania... Podanie o przyjęcie do przedszkola dla Noelle, ale oczywiście... musimy spróbować...  
– jąkała się Trish

Poczułam ukłucie. Nie da się oszukać oszusta, a ja byłam królową wykręcania się od zaproszeń. Wyglądało na to, że zostałam zdetronizowana.

– Dobrze, zobaczymy, co będzie, kiedy minie ten chaos –odparłam, odpuszczając jej.

Zagryzła wargę i rzuciła przeproszające spojrzenie, a ja się zastanawiałam, czy jej zdaniem rozwodowy trąd jest zakaźny. Tymczasem czułam, że Posey dręczy poczucie winy.

– Holl, zarezerwuj sobie wieczór trzynastego, w przyszłym miesiącu, to Zimowy Bal Krainy Czarów, będzie wspaniały w tym roku – zaproponowała. Wiedziałam, że wejście kosztuje dziesięć tysięcy, na co nie

było mnie stać, a poza tym w ogóle nie chciałam iść. Rzuciłam, że sprawdzę w terminarzu, choć obie wiedziałyśmy, że zaproszenia, abym kupiła bilet na imprezę charytatywną, nie można było uznać za wyciągnięcie ręki do zgody...

Posey pomachała nam ze słodkim uśmiechem i ruszyła do drzwi, a gdy trio wyszło, żeby udać się do St. Sebastian's po dzieci, Kiki wybuchła.

– Jakie to szczęście, że nie musisz już zadawać się z tymi wstrętnymi zdzirami. Tim kazał ci się spotykać z nimi dwa razy w tygodniu?

– Czasem częściej.

Gdy przyjechałam pod szkołę, Miles wskoczył mi na rękę. Zobaczyłam Emilię, Mary, Trish i Posey. Zerkały w moją stronę współczująco z domieszką strachu. Całując swojego synka na powitanie, podałam mu precelki. Tym właśnie było dla nich moje życie, słonym zakrętasem. I podobnie jak przeładowane węglowodanami przegryzki, które wsuwaliśmy z Milesem, byłam wcieleniem ich najmroczniejszych obaw.

## ***Rozdział 17***

***O ile różnorodność jest solą życia, to małżeństwo wielką puszką starej mielonki.***

### **Johnny Carson**

W następnym tygodniu wieczorem, kiedy Tim zabrał Milesa, przygotowałam się do małego eksperymentu pierwszej randki po rozwodowej apokalipsie. Weszłam do Peasant, małej przytulnej knajpki na rogu Elizabeth i Spring, rozglądając się w poszukiwaniu Matta. Wtedy usłyszałam przez cichy szmer gości: „Widzisz, moim zdaniem ***Dusting the***

*Stars* było ważnym kawałkiem, który przebił się przez popowe produkcje i uzasadnił ich istnienie, nie mówiąc już o tym, że podchwyciła go ulica".

Słownik dziennikarza muzycznego: „kawałek... podchwyciła go ulica...".

Autorem wypowiedzi był Sevin, wysoki, szczupły przystojniak w modnych luźnych spodniach i T-shircie vintage. Wyglądał jeszcze lepiej niż przed tygodniem, kiedy go poznałam.

## **RÓWNANIE MATTA**

**(PODNISZCZONA LISTONOSZKA**

**+ FRYZURA W STYLU ANDY'EGO SAMBURGA**

**x OKULARY W STYLU ELVISA COSTELLO**

**+1 (THE STOKES**

**– FUNDUSZ POWIERNICZY)**

**+ KOSZULKA KONCERTOWA VINTAGE)**

**+ 3% TŁUSZCZU**

**–Cześć, Matt!**

– Holly! Miło cię widzieć! I słyszeć, tym razem – Uśmiechnął się i przedstawił mnie swojemu koledze, który miał na imię Slam czy jakoś tak, w każdym razie dziwnie. Gdy gawędziliśmy sobie o boskich bułeczkach panini, w mojej głowie wrzało. Gdyby tylko banda z Carnegie Hill mogła mnie teraz zobaczyć w towarzystwie przystojnego chłopaka z Brooklynu w klasycznych adidasach, wyglądającego jak czwarty Beastie Boys! Był przeciwieństwem hedgingowego świata. Dzięki Bogu

Zjedliśmy najlepszą pizzę, jakiej skosztowałam w życiu, znów poczułam się młoda. Ale co jakiś czas rzeczywistość dawała o sobie znać i ogarniały mnie wyrzuty, że jestem oszustką, aktorką w amatorskim teatrze,

gdzie restauracja była sceną, a my odgrywaliśmy role singli randkujących w centrum Nowego Jorku, choć tak naprawdę nad pustym talerzem tkwiła zmęczona rozwódka Modnie ubranym gościom przy sąsiednich stolikach wydawałam się pewnie szczęśliwa i wolna, ale ciążył mi bagaż gorczy i złamanego serca, martwiłam się, że w jaśniejszym oświetleniu można bez trudu zobaczyć taśmę, nici i zszywki trzymające mnie do kupy niczym jeden z kolaży Milesa Chciałam cieszyć się tym dniem! Spijać życie do ostatniej kropli! Zaskakując samą siebie, przystałam na propozycję Matta, abym towarzyszyła mu na organizowanej o północy aukcji sportowych butów Zgadza się Aukcja o północy, na której licytowane są kolekcjonerskie trampki Coś jak Sotheby's dla Beastie Boys

Wyszliśmy, a ja podreptałam za nim jak owca do metra, gdzie wsiedliśmy do pociągu linii, o której istnieniu nie miałam pojęcia, i dwadzieścia pięć minut później znaleźliśmy się w jakiejś części Brooklynu, której nigdy nie zwiedziłam podczas swoich wypraw, gdy chodziłam na koncerty do klubów Williamsburga jako recenzent prasy muzycznej W metrze opowiadał o swojej obsesji kolekcjonowania butów i jak to, niczym znaczek z samolotem do góry nogami wart miliony, istnieją rzadkie pary new balance, nike'ów, reeboków – egzemplarze wzorcowe z fabryki czy limitowane kolekcje, które nigdy nie trafiły na taśmę produkcyjną. Bardzo chciał kupić parę nigdy nie widzianych pum z jakimś metalicznym paskiem. To zupełnie nie było moje życie. Ale podobało mi się.

Muszę przyznać, że byłam w jakiś sposób zahipnotyzowana jego luzem i po raz pierwszy w życiu czułam, że powinnam nadać za tymi wszystkimi muzycznymi drobiazgami, którymi mnie wprost zasypywał. Tak przywykłam do opinii znawcy muzyki – przynajmniej w moim środowisku –

że teraz wobec tego koleś czułam się jak sztywna kretynka, nie mająca pojęcia o popkulturze. Wiedział, z którego getta i czynszówki pochodzi każdy raper („teraz najważniejsze jest to, co się robi na Coney Island”) i znał muzyczny przepis każdego zespołu („oni grają trochę jak Blur z odrobiną The Pogues, połączonych z Machines of Loving Grace, złamane przez Morrissey”). Użył słowa „kawałek” jedenaście razy. A ja pragnęłam z jakiegoś powodu spełnić jego oczekiwania, jakbym zdawała egzamin z luzactwa, poczucia humoru i aktywności życiowej.

Wysiedliśmy na przystanku Montrose i weszliśmy do pozornie opuszczonego biurowca z przestronnymi salami, przy których katedralne wnętrza mojego kościoła wydawało się karłowate. Wokół paradowały hordy młodo wyglądających ludzi w okularach z grubymi czarnymi oprawkami (które wskazują na studenta filmoznawstwa bądź seryjnego mordercę). Byli to głównie faceci, ale trafiały się też anorektyczce panienki w męskich podkoszulkach, bez staników. Ich bursztynowe, farbowane henną włosy upięte były przypadkowo rozmieszczonymi małymi spinkami. Miały celowo asymetryczne spódnice i niebieski lakier do paznokci – na pewno znacie towarzystwo, o którym mówię. DJ o platynowych włosach uczesanych w kolce, w koszulce z ciemną lamówką, grał w boksie z czterema gramofonami, a organizatorzy przesuwali pudełka na scenę. Faceci mieli celowo fryzury na enerdowskiego piłkarza lub irokezy i mnóstwo eyelinera.

Czułam się jak na planie teledysku. Wszędzie kabaretki. Urban Outfitters zwymiotował na całą salę. I bardzo mi się to podobało. Ja byłam wyciętą z innego kadru i wklejoną przez przypadek „jedną z tych, które nie pasują do reszty”, na tle wydatnych kości policzkowych, punkowych fryzur, tatuaży, kurtek motocyklowych i koncertowych T-shirtów. Promienie

błękitnego światła oświetlały salę, a podekscytowani ludzie przeglądali przypominające ziny „katalogi” butów, z rysunkami i komiksowymi dymkami, w których coolerskim charakterem pisma opisano każdą gwiazdorską parę. Zdarzenie surrealistyczne, lecz intrygujące, no i wspaniała okazja do obserwowania ludzi. Wszyscy wydawali się młodszy ode mnie. Znalazłam się w samym środku gorąckrwistej energii płynącej od młodzieńczych artystów i modnie ubranych podlotków. Daję głowę – nikt tu nie dałby ani centa na ubezpieczenie medyczne.

Wszystko wydawało się wspaniałe, dopóki nie zobaczyłam wyraźnie naćpanej dziewczyny. Mimo że zwykle nie mam pojęcia, czy ktoś coś brał, nagle oczarowanie gdzieś znikło: znalazłam się po prostu wśród narkomanów licytujących trampki i cała dobra energia uleciała, czyniąc wszystko o wiele mniej interesującym.

Na szczęście Matt wydawał się oszołomiony jedynie życiem i rozmawialiśmy o ulubionych zespołach (niektóre były wspólne) i pisarzach, których podziwiamy (żadnych wspólnych). On czytał jedynie ziny i uważał, że „Rolling Stone” jest „wyczesany”. Podczas gdy ja wołałam powieści, on czytał wyłącznie biografie gwiazd rocka albo ludzi „z branży” („książka Legsa MacNeila to moja biblia”). Jego trochę za ciasny T-shirt opinał wspaniałą męską sylwetkę: Matt był przesadnie rasowy i niedożywiony, swobodnie skrępowany, zdecydowanie niezdecydowany. Innymi słowy: celowo nonszalancko rozmemłany.

Prowadzący rozpoczął aukcję, a licytujący używali tabliczek z płyt owiniętych folią aluminiową, z wypisanymi liczbami. Cena za jedną z par nika'ów poszybowała do siedmiuset dolarów. Kupił je jakiś „handlarz”.



– No no, siedem stów za adidasy — zdziwiłam się. – Przy nich szpilki od Louboutina to taniocha!

– Poczekaj! – kpił Matt, siedząc bardzo blisko mnie. – Trafiają się i takie za trzy tysiące.

W końcu pojawiła się para, na którą czekał Matt, i nawet pozwolił mi pomachać srebrną tabliczką.

– Tysiąc dwieście, kto da tysiąc trzysta? – spytał prowadzący ze słuchawkami i zapinaną na suwak starą kurtką Lacoste.

– Tysiąc trzysta – powiedziała osoba z blond dreadami, machając tabliczką nad podłogą.

– Tysiąc czterysta! – wrzasnął Matt.

– Tysiąc pięćset – podbił tleniony Bob Marley.

– Czy ktoś da tysiąc sześćset? – spytał prowadzący. – Tysiąc sześćset – huknął Matt, a ponieważ nikt nie podbił, zakończył licytację. – Sprzedane!

– Super! – pisnęłam, gdy prowadzący przybił pięścią zamiast młotkiem nasze zwycięstwo. Uścisnęliśmy się i przeszliśmy za kurtynę niczym z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*, gdzie stały stosy pudełek z butami. Zabraliśmy łup i opuściliśmy budynek.

Ulica była wyludniona, tylko pod winiarnią przy następnej przecznicy kręciła się jakaś grupka ludzi.

– Uwielbiają mnie tu – powiedział Matt wskazując na targ. – Jestem jedynym klientem, który nie używa bonów żywnościowych. – Uśmiechnęłam się i powiedziałam, że powinnam już iść. Gnębiło mnie, że nie mam jak wrócić; czułam, że jestem daleko od domu, i z wolna popadałam w „przedmiejską panikę”.

– W porządku, odprowadzę cię do firmy przewozowej.

– Och, nie ma tu taksówek?

– Nie, ale Rico cię zawiezie. Są w porządku, nie martw się.

Przeszliśmy do trzypasmowej ulicy, skręciliśmy do warsztatu, gdzie przy małym stoliku siedziało kilku mężczyzn i grali w karty. Powitali Matta, który zapytał o samochód dla mnie. Dyspozytor krzyknął coś po hiszpańsku i usłyszałam „dos minutos” z trzeszczącego CB.

–To kiedy się spotkamy? – zapytał z uwodzicielskim uśmiechem. – Masz czas w poniedziałek? Cholera.

– Właściwie to ja i moja przyjaciółka Kiki idziemy na koncert Eltona Johna i Billy'ego Joela.

Cisza.

Następnie śmiech.

– Żartujesz? Ha, ha! Naprawdę zabawne!

– Hm... właściwie... – brnęłam. — Zwykle słucham hard rocka, ale kiedy byłam dzieckiem, moja rodzina słuchała muzyki z Broadwayu albo Paula Simona, Eltona Johna czy Billy'ego Joela w samochodzie.

– Mówisz poważnie. – Pokerowa twarz u Beastie Boya. Chyba pomyślał, że jestem z Marsa. Marsjanka na haju.

A więc zaśpiewałam: *Can you feel the love tonight?* na środku ulicy. Nic.

– No nie wiem. Ja to uwielbiam. Widziałam *Króla lwa* trzy razy! Naprawdę ubóstwiam Broadway.

Wydawał się zdruzgotany. Uciekał wzrokiem i zerkał na zegarek. Oczywiście jakiś retro Casio, bez wątpienia trudny do zdobycia.

– Gdzie ten samochód? Boli mnie głowa, a jutro mam wywiad z The Hives...

Zamierzał mnie tu zostawić? Staliśmy przez minutę w milczeniu, a jesienny wiatr przywiał mi na stopę papierową torebkę.

Dzięki Bogu podjechał wreszcie mój pojazd, ciemnoczerwony poobijany dodge ozdobiony niezliczonymi króliczymi łapkami zwisającymi na wstecznym lusterku i kierowcą ze złotymi zębami, który wyglądał jak alfons.

– Oto twój rydwan – oznajmił Matt.

– Może innym razem?

– Hm... Teraz mam mnóstwo roboty, ale... Odezwę się... kiedy będę mógł złapać oddech.

– OK... dobrze... – wyjąkałam.

Zatrzasnął drzwi i poszedł. Przez tylną szybę zobaczyłam, jak kręci głową. Złotozęby kierowca rzucił do wstecznego lusterka: – Dokąd?

Podalam mu adres mojego odległego domu.

Gdy samochód podskakiwał na wybojach obcych mi ulic, poczułam dołujące odrzucenie. Świetnie, schrzaniłam sprawę. Zostawił mnie, bo lubię Eltona Johna. Nie mogę w to uwierzyć. Nie byłam dość cool, bo byłam fanką Billy'ego Joela? No to zabijcie mnie! To nie dość awangardowe? Poczułam ucisk w gardle i rozplakałam się. A niech to.

Co gorsza, twardej za kierownicą zauważył moją chwilę słabości.

– Czemu płaczesz, malutka? Zrobił ci coś złego?

– Nie – pociągnęłam nosem, ocierając łzę. – To była moja pierwsza randka po rozwodzie i teraz widzę, że popełniłam ogromny błąd. Nie jestem gotowa. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę. – Zaczęłam drzeć od szlochu, gdy przejechaliśmy przez Most Brookliński, tak samo jak w powrotnej drodze po odkryciu, że Tim się kurwi.

– Nieee... Po prostu pierwszy raz jest trudny.

– Pewnie tak... Ale może ja się do tego nie nadaję.

– Jesteś śliczna... Poradzisz sobie.

– Dzięki. – Tylko tyle mogłam z siebie wydusić. –Ale zdradzę ci sekret, chcesz? – zapytał i mrugnął do mnie w lusterku. Mądrość przychodzi z dziwnych miejsc, a po kiepskiej randce pragnęłam jakiejś mądrości.

– Chcę...

– Może nie dzisiaj, ale kiedyś znajdziesz faceta, który ci się spodoba.

Nie mów mu jednak od razu, że ci się podoba. Musisz. ..

– Ale to gra. A ja nie znoszę gierki.

– Nie, nie! To otwartość i szczerłość. Ale sekret w tym, żeby zawsze zachować dziesięć procent dla siebie.

– OK... A co to znaczy?

–To znaczy, że zawsze małą część, choćby dziesięć procent, bierzesz i nie dajesz jej nikomu. Żebyś nie straciła gruntu. Zatrzymujesz dla siebie.

Ciekawe. Zjechaliśmy z mostu, a światła niezliczonych biurowców lśniły na tle czarnego nieba. Myślałam o tych wszystkich nowojorskich facetach harujących po nocy w jakichś biurach. Jeden z nich mógłby być dla mnie idealny, gdyby kiedykolwiek wyszedł przed północą z oświetlonego fluorescencyjnym światłem chomiczego kółka swojej roboty, żebym miała szansę go poznać. Ale nie zamierzałam spotykać się już z nikim ze świata finansów. Wyrobiłam swoją część rozmów o akcjach. I miałam dosyć rywalizacji w staroświeckim świecie klubów dla chłopców. Potrzebowałam czegoś radykalnie innego i nowego, kogoś, kto zajmował się czymś, co i mnie interesowało. Owszem, moja randka okazała się przerażająco

beznadziejna, ale przynajmniej uciekłam ze swojego kokonu i zobaczyłam nowy miniaturowy wszechświat istniejący w moim mieście.

Wróciłam do domu, podziękowałam złotozębemu kierowcy–terapeucie za wszystko i pognałam na górę. Gdy odetchnęłam i położyłam się na ogromnym łóżku, nie potrafiłam zdusić tęsknoty za Timem. W łóżku zawsze spaliśmy jak rzymska XI, on rozrzucony jak X, ja w linii z boku. Dziś, chociaż cała ta przestrzeń i świeża pościel należała do mnie, nadał ułożyłam się jak surowe spaghetti po prawej stronie. Pomyślałam: jak niedawno był tu przy mnie. Poczułam skurcz w żołądku. Może koleś od króliczych łapek miał rację? Powinnam chronić siebie, dawać, ale zawsze coś zatrzymać, mieć tylko dla siebie, jakby zaczyn dla nowego, samodzielnego życia. Nie musiałam się tak starać, jak dotąd, i śmiać ze wszystkich tekstów Matta. To nie był casting dla stepującej tancerki i nie powinnam rzucać całej siebie u stóp jakiegoś faceta.

Odtworzyłam jeszcze raz ten wieczór i zrozumiałam, że przez całą noc robiłam wszystko, żeby Matt mnie polubił. Bezskutecznie. I choć początkowo wywołało to falę wstydu, nagle pojawiła się myśl, że nawet mi się nie podobał. Jeśli w wieku trzydziestu trzech lat wydawał ponad tysiąc dolarów na parę tenisówek marki Puma, to raczej nie był facetem, na którym tak by mi zależało. Odpowiedź brzmi: w rozpaczy po utracie Tima po prostu chciałam kogokolwiek. I najchętniej kogoś zupełnie innego niż Tim. Ale skoro nawet jego, dość średniego faceta, nie udało mi się zakręcić, to raczej nie mam szans zdobyć naprawdę świetnego partnera.

To najbardziej dołujący mit: „Porzucona przez dupka”.

Bzdura. Gdy umawiasz się z kimś przekonana, że wyświadczasz mu łaskę, bo przecież jesteś świetną partią, bardziej atrakcyjną od niego, jest

wdzięczny – wielbi cię, stara się w łóżku, stajesz się całym jego światem. A kiedy dasz mu pewność, on cię rzuca. Więc świrujesz, bo jeśli zostawia cię gość, którego nawet nie chciałaś tak bardzo, więc jak mogłabyś oczarować mężczyznę, który naprawdę byłby cię wart?

Odpowiedź brzmi: uda ci się oczarować tego, który jest dla ciebie właściwy. Ponieważ najpierw testujesz różne osoby, a potem znajdujesz faceta, który do ciebie pasuje. Nie musisz stepować, żeby mu się przypodobać. Niby logiczne i prawdziwe, a mimo to każdej randce towarzyszy nadzieja, że coś z tego wyniknie – więc zawsze będziemy, jak na przesłuchaniu, grać, przymilać się i zadowalać oczekiwania.

Przypomniałam sobie radę mojej mamy, gdy chlipałam po kątach rozczarowana kompletną obojętnością chłopaka z liceum, który mi się okropnie podobał:

– Interesuj się chłopcami, którym ty się podobasz – powiedziała. – Nie łobuzami. To oni muszą cię chcieć i starać się o ciebie. Jest jedno jajeczko na dziewięćdziesiąt dwa miliony plemników i musimy odpowiadać naszej biologii i być wybredne! To jajeczko to mikrokosmos, który nas odzwierciedla, musimy pozwolić, aby mężczyźni walczyli o nas jak za dawnych czasów.

Odetchnęłam głęboko, wtuliłam twarz w poduszkę i postanowiłam spróbować znowu, gdy nadejdzie odpowiedni moment. Ale następnym razem będę bardziej ostrożna: żadnego stylizowania włosów, kupowania nowych ciuchów i desperackich prób, aby zrobić wrażenie. Wcielę w życie ten banał i „będę sobą”, ale zawsze zachowam dziesięć procent dla siebie.

## Rozdział 18

*Kiedy jakaś kobieta ukradnie ci męża najlepszą zemstą jest pozwolić jej go zatrzymać*

Zabrałam Milesa po szkole na lody do Saint Ambroeus i poszliśmy przez październikowe liście Piątą Aleją. Chciał pobiegać, zanim zabierze się do pracy domowej (zgadza się, pracy domowej, w pierwszej klasie.), więc pomaszzerowaliśmy do parku. Patrzyłam, jak wspina się na posąg Alicji w Krainie Czarów na Siedemdziesiątej Szóstej, a gdy tak siedział na wielkich kolanach odlanych z brązu i machał do mnie, poczułam taką miłość do niego, że wiedziałam, iż nic złego spotkać mnie nie może. Nawet jeśli nie spotkam wymarzonego faceta, już mam wymarzonego faceta, wychowuję go i kocham najbardziej na świecie.

Zadzwoił telefon i spuściłam wzrok z synka, żeby wyjąć komórkę. To była Kiki.

– Cześć, gdzie jesteście? Właśnie przechodzę pod twoim domem...

– Cześć, jesteśmy w parku, obok Alicji, chodź do nas! Pięć minut później pojawiła się, w ogromnych okularach

przeciwsłonecznych, szpilkach, futrze i z papierosem, którego kazałam jej zgasić. Moja przyjaciółka była naprawdę niezwykłą kobietą.

– Dobra, mam dla ciebie faceta...

– Zobaczymy. Nie wiem, czy jestem gotowa.

– W porządku. W takim razie mam inny pomysł. Kiedy Tim zabierze Milesa do Londynu na weekend z okazji Dnia Kolumba, może polecisz ze mną do Vegas?

– Do Vegas? Oszalałaś? Nie ma mowy!

– Dlaczego? Zamierzasz siedzieć tu sama i użalać się nad sobą? Uważam, że powinnaś wyrwać się z rutyny i wyjechać na chwilę. Naprawdę wyjechać.

Zauważyłam boskiego faceta z aparatem, robiącego zdjęcia liściom w płomiennych barwach jesieni. Następnie pstryknął posąg z siedzącym Milesem. Mój syn trafi do albumu jakiegoś turysty.

– Czy ten posąg nie jest piękny? – zapytała Kiki stojącego teraz obok nas fotografa.

– Tak, bardzo mi się podoba – odparł z amerykańskim akcentem. Obie byłyśmy zaskoczone, nie wyglądał na miejscowego.

– Mam na imię Kiki, a to moja przyjaciółka, Holland – powiedziała z quasi-brytyjskim akcentem w stylu Madonny, starając się, abym wydała się bardziej egzotyczna, niż wskazywałyby na to moje włosy ściągnięte w niski kucyk i niewyróżniające się baleriny. Popchnęła mnie lekko do przodu. Zawstydziałam się.

– A ja mam na imię Elliot – przedstawił się i uściśnął nasze dłonie.

Nagle zadzwoniła jego komórka.

– Przepraszam, czekałem na ten telefon. – Usiadł na stojącej nieopodal ławce.

– Nie przejmuj się – rzuciła Kiki, gdy odwrócił się, żeby odebrać. Pochyliła się do mnie. – Boski, co? Poderwij go.

– Proszę cię. Nie podrywam facetów w Central Parku. A przynajmniej nie dziwnych turystów.

– Może nie jest turystą. Gada normalnie.

Wpatrywałam się w nią tępym wzrokiem, aby dać jej do zrozumienia, że zachowuje się jak wariatka.



– W porządku, więc jeśli chodzi o tego gościa, którego mam dla ciebie... – ciągnęła przerwany wątek – to znajomy znajomego. Bankier inwestycyjny. Wiem, wiem...

– Kiki, co ja ci mówiłam? Żadnych z Wall Street. Żadnych funduszy hedgingowych, brokerów, nikogo, kto choćby przeglądałby „Wall Street Journal"! Zrozumiałaś?

– Zrozumiałam. To jesteśmy w punkcie wyjścia.

Nie znosiłam tego powiedzonka. Czułam się jak pionek w grze planszowej cofnięty do pola z napisem „Start” po nieudanym rzucie kostką. Kiki wzięła Milesa za rączkę.

– Pościgamy się, ciociu?

– Wygram nawet na obcasach, potworku – przekomarzała się z nim. – Na mój znak. Gotowy? Start! – Pobiegli w górę wzgórza wiodącego do wyjścia na Piątą Aleję, a ja powoli poszłam za nimi. Przechodząc obok ławki przy ścieżce, zauważyłam Elliota, wciąż siedzącego z telefonem. Spojrzał na mnie. Pomachał na pożegnanie, a ja odpowiedziałam tym samym.

Tego wieczoru Miles i ja zrobiliśmy pyszną kolację. Razem kroiliśmy warzywa na frittate. Przypomniał mi się T-shirt, który kiedyś widziałam: „Prawdziwi mężczyźni nie jedzą quiche”, ale wiedziałam, że mój syn jest prawdziwszym mężczyzną, ze swoim wielkim sercem i czystą miłością, niż ta banda dupków kręcących się po świecie. Wspólne posiłki były naszą chwilą gadania. Tym razem opowiadał mi, czego się uczą w szkole. Na geografii omawiali kolejne kontynenty i teraz zajmowali się Afryką.

– Mamusiu, wiedziałaś, że w niektórych kulturach ludzie się żenią z osobami, których nawet wcześniej nie znają? Żenią się z obcymi!

– Tak, wiedziałam o tym Szaleństwo, co? – Nie miał pojęcia, że tu, w wolnym świecie, jest tak samo Tim okazał się obcym człowiekiem Ale dał mi mojego synka A nie mogłabym wymarzyć sobie bardziej rozkosznego dziecka

Poczytałam mu i utuliłam do snu Odsunęłam zmierzwiłone włoski z buzi, gdy zasnął Myśl o tym, że poleci samolotem beze mnie, zawsze przyprawiała mnie o ból serca, ale musiałam się do tego przyzwyczaić Gdy weszłam do swojej sypialni, zaczęłam myśleć o propozycji Kiki: o wyjeździe W domu pewnie tylko zamartwiałabym się bez końca o Milesa i wściekała na Tima, zastanawiając się, gdzie i z kim są. Może wycieczka mi się przyda. Ale Vegas? Nie. Nie potrzebowałam imprezować i świetnie się bawić. Nie byłam w nastroju do zabawy Lecz myśl o podróży zaciekała mnie, to nie była typowo wakacyjna pora roku, więc może uda się znaleźć coś tańszego Ponieważ wolałam mieszkanie od jakiegokolwiek ugody finansowej, a nie miałam żadnych nowych dochodów, nie mogłam ot tak wsiąść do samolotu i wybrać się gdziekolwiek, jak kiedyś Ale może wyjazd byłby dla mojej psychiki urlopem, którego tak potrzebowałam. Może mogłabym polecieć do krainy prawdziwych lodów Kilka minut później buszowałam po **Internecie**, a godzinę później stałam się dumną właścicielką taniego biletu linii Alitalia Dwie noce we Florencji, dwie noce w Wenecji Byłam tam z Timem w pierwszym roku małżeństwa i byłby to teraz nowy początek wybrukowanie ulic świeżymi wspomnieniami Wzmocniłoby mnie to wiele bardziej niż dzikie imprezy w Vegas Dobra okazja, by zmierzyć się i oswoić z samotnością To będzie krótka wycieczka, ale idealna dla mnie – zamiast świateł kasyn będą latarnie morskie, zamiast pustyni – woda A zamiast spoconych graczy w dresach i mokasynach stukających o

wykładzinę przy automatach usłyszę delikatny tupot własnych stóp na cichych, krętych, brukowanych uliczkach

## *Rozdział 19*

*W pierwszej dekadzie małżeństwa ogląda się telewizję po seksie. W drugiej dekadzie ogląda się telewizję w trakcie, a w trzeciej) – zamiast.*

Gdy samolot podchodził do lądowania na Starym Kontynencie, wykonując rundę nad miastem, z nosem przyklejonym do okna chłonełam całkiem nowe barwy i kształty. Małe, kolorowe dachy ułożone w przedziwną mozaikę, labirynt ulic, pozorny nieład narastający przez stulecia sprawiły, że Stany wydały się jak centrum handlowe zaprojektowane oraz wykonane z myślą o wygodzie i ekonomii. Każdy fragment tego pejzażu przeniesiony do Nowego Jorku natychmiast stałby się wyjątkowym punktem orientacyjnym. I chociaż ogarniała mnie coraz większa ekscytacja, już zaczynałam tęsknić za swojskim, lśniącym horyzontem Gotham.

Nieco rozklekotaną taksówką z gadatliwym kierowcą uważającym, że zna angielski, dostałam się do przytulnego hotelu, który kiedyś był siedzibą rodową. Fantastyczny, w dodatku noc kosztowała jedynie sto pięćdziesiąt euro. W Stanach za te pieniądze nie znaleźlibyście podwójnego łóżka w rozpadającym się pensjonacie! Uśmiechnięty od ucha do ucha boy zaprowadził mnie do pokoju.

Bez cienia przesady – cela mnicha wyglądałaby przy nim jak książęca komnata. Na dwunastu metrach kwadratowych stało maleńkie łóżko, jak dla lalki, obok miniaturowa komoda i... za cienkim przepierzeniem łazienka, z prysznicem umocowanym nad toaletą, więc mogłaś siusiać, myć się i

nakładać odżywkę do włosów w tym samym czasie. Było też malutkie okienko wielkości planszy do scrabble i oprawiona w ramki mapa *citta*. OK, pomyślałam, przecież nie zamierzałam spędzać czasu w hotelu.

Wysłałam zaliczyć pierwszy obowiązkowy punkt na liście powinności: zjeść prawdziwe lody. Zerknęłam na przeszklone lodówki w dwóch miejscach, aż znalazłam żyłę złota, kawowe lody w trzeciej lodziarni były ciemne jak espresso. Nigdy nie próbowałam czegoś tak pysznego. Smak na maleńkiej łyżeczce bił na głowę wszystkie desery w Stanach. Rozpłynęłam się.

Z lodami w dłoni (druga porcja, a co tam!) i torbą przewieszoną przez ramię wędrowałam krętymi uliczkami, stając oniemiała przed każdym kościołem, do którego weszłam. Przemierzyłam Ponte Vecchio, Most Złotników, aby nacieszyć się widokiem rzeki. Mroźny wiatr rozwiewał mi włosy. Przechyliłam się przez barierę, aby spojrzeć na drugą stronę miasta, i poczułam wielką dumę, że przyjechałam sama. Po latach rodzinnych wakacji z Black Falcon Club moja wyprawa miała intensywny smak przygody. Bałam się troszkę, że gdyby mnie porwano, nikt nigdy by się o tym nie dowiedział ani nie pamiętał stojącej nad rzeką Arno, ale z jakiegoś powodu poczułam przypływ odwagi, a moja niewiedza o złych dzielnicach Florencji pozwoliła mi zwiedzać przez wiele godzin jej ciemne zaułki. Nigdy nie snułam się bezcelowo krętymi szarymi uliczkami w domu, ale tu ciekawiła mnie przypadkowa fontanna na końcu kamiennej ścieżki, ukryty pałacyk lub schowana na obskurnym podwórku wspaniała mozaika. Niebo zmieniało barwę na ołowiany niebieski, potem ciemniejszy fiolet, a kamienie pod stopami miały połysk czarnej polityry. Starsza kobieta, jak statystka zatrudniona przez Central Casting, podlewała kwiaty w skrzynce

okiennej, podśpiewując radośnie. Zawróciłam słabo oświetlonymi uliczkami do hotelu, by przebrać się przed kolacją, na którą sama siebie zaproszę.

Skusiła mnie ścieżka wiodąca do wnęki, gdzie migotało pomarańczowe światło maleńkiej kafejki. Przy kilku stolikach, przy głośnej muzyce i dużych talerzach pełnych jedzenia radośnie biesiadowali miejscowi miłośnicy życia, teraz, gdy opuścili już swoje kramy, furgonetki, piekarnie oraz sklepiki, mogli oddać się ulubionemu *dolce far niente*. Palili jak lokomotywy, a dym papierosowy unosił się gęstą chmurą, ale w końcu byłam we Włoszech, więc uśmiechnęłam się do faceta, który zdawał się tu rządzić. Podszedł, a ja pokazałam uniwersalnym gestem. „Jestem sama, beznadziejna i potrzebuję stolika tylko dla siebie, bo nikt mnie nie chce na tym świecie” (palec wskazujący uniesiony do góry naprawdę wygląda jak sierota). W jego oczach dostrzegłam szczere współczucie i zauważyłam jak wymienia spojrzenia ze swoimi *amici*. Posadził mnie przy niezwykle uroczym miniaturowym stoliku w rogu.

Dwie godziny później otaczało mnie siedmioro przyjaciół. Dziesięć minut po tym, jak zajęłam miejsce, dwóch *uomini* odezwało się do mnie łamaną angielszczyzną.

– Dlaczego siedzi pani sama, signorina? – Kiedy odpowiedziałam łamanym włoskim, byli pod wrażeniem. Jakim cudem samotna amerykańska *ragazza* znała włoski?

– *Studiava all'universita*. – Najpierw odwrócili krzesła w moją stronę, a potem weszła urocza para ich znajomych, więc nas sobie przedstawili. Kobieta miała żywe niebieskie oczy oraz kruczoczarne włosy i ten rodzaj zmęczonej olśniewającej urody z ostrymi rysami, które kobiety uważają za piękne, a mężczyźni nie zawsze się z tym zgadzają. Opowiedzieli o miej-

scach, które warto odwiedzić, a nawet dali mi numery telefonów. Ubóstwiałam jednorazowych znajomych. Ucałowali mnie na dobranoc i zaproponowali, żebym przenocowała u nich, a ja mogłabym być przecież cholerną seryjną morderczynią. Fascynujące. W Nowym Jorku ludzie pewnie by szeptali i litowali się nade mną, a tu, we Włoszech, przysuwali krzesła.

Następnego dnia powędrowałam do Uffizi i czekałam w niekończącej się kolejce, aby zobaczyć *Wiosnę* Botticellego, którą oddzielała od widzów jakaś kuloodporna szyba, co uznałam za dziwne i nieco irytujące zarazem. Podobno jakiś wariat próbował ją pociąć. Co za ludzie?! Koczowałam przed obrazem i odpływałam, wpatrując się w suknię tańczącej dziewczyny, zahipnotyzowana lekką mgiełką. Kobieta emanowała takim spokojem, zatracona w mlecznej lekkości. Wkrótce i ja poczułam się lekka niczym wiosna, odnowiona, świeża.

Widok znanego obrazu przypominał spotkanie z dawnym znajomym. Szłam wzdłuż ścian galerii i patrzyłam na prace wielkich mistrzów jak na utraconych przyjaciół z dzieciństwa, odnalezionych na obcej ziemi. A ponieważ byłam samotną Amerykanką, łączyły mnie nie tylko z domem, lecz i z moją przeszłością.

Minęłam *Wniebowstąpienie*, na którym Chrystus ze świetlistą skórą płynął do nieba. Widziałam obrazy Tycjana z błękitem tak nasyconym, jakby malarz zmielił kamienie i rozsmarował rozdrobniony lapis lazuli na desce. Przeszywały mnie dreszcze, naprawdę poczułam dotyk historii.

Następnego dnia poszłam obejrzeć gigantyczny posąg Dawida. W ogromnej sali kręciły się setki studentów. Zabawne było widzieć ikonę światowej kultury traktowaną jak zwyczajne, nieistotne tło.

Nic nowego. Miles z kolegami często zimą bawili się w Świątyni Dendur, rzucając drobne, śmiejąc się, jakby byli na placu zabaw, i nie myśląc, że stąpają po kamieniach dotykanych stopą Kleopatry. Codziennosc nawet największy skarb odziera z powabu. A jednak wchodząc do wysokiej przeszklonej budowli, której wewnątrz stapało się z przepięknymi drzewami Central Parku, zawsze odczuwałam dreszcz emocji.

Usiadłam na podłodze jak niektórzy zwiedzający, a facet obok na wielkim kartonie szkicował doskonałą interpretację posągu z profilu, z naszej perspektywy. Było to dość imponujące.

– *Molto buono* — rzuciłam swoim zenującym włoskim.

– Dzięki – odparł z uśmiechem. Wiedział, że jestem beznadziejna, i oszczędził mi upokorzenia związanego z szukaniem właściwych słów.

Miał na imię Marcello i studiował kiedyś na wydziale artystycznym, ale ostatecznie został prawnikiem. Wychował się w Bolonii, a kilka lat temu przeprowadził się do Florencji ze swoją firmą. Zachwycałam się innymi fantastycznymi rysunkami z jego szkicownika, a on spytał, czy miałabym ochotę zjeść razem lunch. Był przystojny w cudzoziemski, ciemny sposób, rozmawialiśmy o Ameryce, sztuce, mojej wycieczce, aż w końcu doszliśmy do tego, dlaczego przyjechałam sama.

–Hm... Zaczynasz od początku? – spytał doskonałą angielszczyzną. – Włochy to najlepsze miejsce do tego.

Podczas randki z Mattem nie wspomniałam słowem o Milesie. Kiki powiedziała, że powinnam poczekać do drugiej randki ze zrzutem macierzyńskiej bomby.

– Nie ma powodu, żeby od razu go wystraszyć – powiedziała. – Zaczaruj go, a powiesz, kiedy już straci trochę głowę.

Jak wiadomo, nigdy nie dotarliśmy do tego punktu, ale idąc obok Marcello nie powstrzymywałam się i ciągle opowiadałam o Milesie, a potem o Timie, jakbym wyjęła korek z mojego emocjonalnego, musującego prosecco. Szliśmy wąskimi uliczkami i patrzyliśmy, jak zapada zmierzch, a on zapytał, czy chciałabym do niego zajrzeć.

Gdy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że zwariowałam, po prostu idąc za nim na drugie piętro, lecz wtedy wydawało mi się to dobrym pomysłem. Alternatywą była samotność, a nagle przestało mi się to podobać. Weszliśmy do mieszkania. Oczekiwałam, że będzie wyglądać jak po przejściu cyklonu, tymczasem okazało się zaskakująco urocze i czyste, z ogromnymi łukowatymi oknami wychodzącymi na skwer. W rogu stały puszki z pędzlami i sztalugi. Gdy zamykał drzwi, spanikowałam, przecież znalazłam się w domu całkiem obcego człowieka. Mógł być Gioffredo Dahmerem! Może poćwiartuje mnie, z mojej krwi i wnętrzości zrobi farbę, po czym, jak w *Purpurowych skrzypcach* – przeniesie mnie pędzlem na płótno!

Zamiast narzędzia zbrodni przyniósł z uśmiechem gazowaną wodę i usiadł na kanapie. A jeśli dorzucił do wody narkotyki? Truciznę? Przy tobie otwierał butelkę, Holly. Dobra, dobra, on jest w porządku. To nie Teodoro Bundy. Miałam paranoję. Gdy to zrozumiałam, uspokoiłam się. Ale wciąż czułam się nieco podenerwowana, myśląc o ludziach, którzy powiedzieliby tak jak ja: „Poszła do jego mieszkania? W takim razie jest kretynką i sama sobie winna, że ją zgwałcił i poćwiartował!”.

Przerost wyobraźni czasem przeszkadza.

Marcello, jak się okazało, nie był gwałcicielem–mordercą z nożem w dłoni. Ani Charlie'm Mansonem. Był uroczym, uczciwym mężczyzną, który



właśnie rozstał się z dziewczyną, więc przez kilka godzin gadaliśmy o życiu i różnych związkach między ludźmi. Próbowałam wyciągnąć od niego jakieś mądrości, ale wszystko, o czym mówił, w zasadzie już wiedziałam, tylko podał w nieco innej formie.

– Zaryzykowałaś i musiałaś wierzyć w swoje siły, odchodząc – powiedział. – Wiedziałaś, że nie możesz zostać ani uznać, że nic się nie stało. Zrywanie małżeństwa jest przerażające, ale gorsze byłoby pozostanie w nim i udawanie, że jesteś szczęśliwa.

– Trafnie to ująłeś – odparłam. – *Evero*.

Nie było między nami żadnego erotycznego napięcia. Wymieniliśmy jedynie uśmiech, wiedząc, że jakiegokolwiek *bacio* byłoby tylko plastrem na świeże blizny dwóch porzuconych dusz, nieco zagubionych i samotnych. To, że poznaliśmy się obok Dawida, nabrało symbolicznego znaczenia – on też sobie w końcu poradził, choć początkowo miał mocno pod górkę. Może my też damy radę... Ale nie razem.

– Dobranoc, Holly. Naprawdę miło spędziłem z tobą czas. – Ja z tobą też.

Uścisnęłam go na pożegnanie i wróciłam do swojego pokoju na ostatnią noc przed wyjazdem do Wenecji.

Zaczarowana Wenecja. Zupełnie inna, od gargantuicznej wizji zachowanej we wspomnieniach. Ileż razy rzeczywistość okazuje się lepsza niż wyobrażenia? Ludzie mówili, że tam cuchnie, wszędzie biegają szczury, jednym słowem – wielki ściek. Wszyscy się mylili (z drugiej strony to październik, powietrze chłodne i rześkie, a nie lipiec, gdy nos wykręca). Nie widziałam ani jednego szczura. Dobra, jednego, ale pływał w kanale, i

kierowca wodnej taksówki uspokoił mnie: „Nie martwić się, oni nie jeść *turtsti*”.

Dotarłam do hoteliku i natychmiast zadzwoniłam do Milesa, by powiedzieć mu, jak bardzo go kocham oraz tęsknię. I choć żołądek wywrócił mi się na drugą stronę, gdy usłyszałam w tle głos Avery, pokrzepił mnie radosny szczebiot całkiem szczęśliwego synka. Gdy zakończyliśmy rozmowę, rozpakowałam walizkę i rozgościłam się w pokoju, który był o wiele lepszy od celi zakonnej we Florencji – tym razem był *belissima*, a moje łóżko wystarczająco długie, aby zmęczone szlifowaniem bruku stopy nie zwisały poza krawędź. Duże jednolite okno lśniło czystością, a wyciszony plusk wąskiego kanału, który słychać było przez całą noc, ukołysał mnie do snu, jakbym znalazła się we wnętrzu olbrzymiej muszli. Przeszłam Wenecję wzdłuż i wszerz, chodziłam uliczkami niczym z malarskiego szkicownika pośród witryn sklepowych z przerażającymi maskami. Karnawał musi być naprawdę wielkim wydarzeniem, skoro opłaca się utrzymywać je wszystkie cały rok. Ponieważ panicznie bałam się mimów, klaunów, a najbardziej kukieł brzuchomówców, poczułam gęsią skórę, patrząc na białe, straszne twarze, mówiące „jestem mordercą”.

Następnego dnia odwiedziłam plac Świętego Marka i skręciłam się z obrzydzenia na widok stad gołębi (inaczej: uskrzydłych szczurów). Przypomniałam sobie fotografię mamy stojącej na tle cudownej kopuły bazyliki, dokładnie w tym samym miejscu, osiemnastoletniej, uśmiechniętej. Z oczu popłynęły mi łzy, ból po jej utracie nigdy chyba nie minie. Żałowałam, że nie przeprowadziła mnie przez ten okropny rok, że teraz mamy nie ma przy mnie, a przecież musiałam znaleźć w sobie jej siłę, zapewne tego oczekiwałyby ode mnie.

Ostatni dzień pobytu spędziłam w gondoli. Obserwowałam mężczyzn w pasiastych koszulkach, a kiedy uroczy starszy pan uśmiechnął się do mnie i powiedział *bella*, byłam zdecydowana. Wskoczyłam do chybotliwej łupiny zdumiona, z jaką wprawą manewrował maleńkimi kanałami, jakby gondola była kaczką. Rozsiadłam się na podwójnym siedzeniu i chłonełam widoki dachów oraz sznurów z suszącymi się ubraniami. Wenecja zawsze zajmowała uświęcone miejsce w mojej wyobraźni, teraz wydawało mi się cudem, że jestem tu naprawdę. Poczucie realnego spełnienia marzeń wywołało reakcję, której się nie spodziewałam: zrozumiałam, że nie mam w sobie goryczy. Że wszystko będzie dobrze. Nie czułam się zraniona i poobijana. Wyzdrowiałam, rany zabiłszy się, jakby mój przyjazd tutaj ostatecznie zamknął jakiś rozdział życia. A gdy Mario zaśpiewał nagle

*O sole mio*, kiedy przepływaliśmy pod mostem, poczułam wracającą nadzieję. Wiedziałam już, że pewne doświadczenia są lepsze, niż to sobie wyobrażamy, i nigdy nie wiemy zawczasu, czy spontanicznie rezerwując bilet lotniczy, nie ruszamy w podróż ku samym sobie. Przy burtach łodzi chlupotała woda, jakby obmywała mnie z resztek bólu i odświeżała.

## *Rozdział 20*

*Jestem wielką przeciwniczką rozwodów. Po co zostawiać znajomego świra dla całkiem obcego?*

**Loretta Lynn**

Wycieczka okazała się dokładnie tym, co zalecił lekarz – duchowym prozakiem. Czułam, że zrobiłam ważny krok. Z radością oprowadzałam rodziców

potencjalnych uczniów po stu pięćdziesięcioletniej instytucji, która nieco przypominała Hogwarts, tyle że bez czepków i różdżek. Była to niezwykle tradycyjna, wyjątkowo rygorystyczna szkoła, wraz z długimi białymi brodami nauczycieli, spektaklami Ionesco, szefem kuchni gotującym jedzenie z naturalnych produktów i mnóstwem tweedu. Szkoła otrzymywała rocznie tysiąc podań o przyjęcie na sześćdziesiąt miejsc. Dwa razy w tygodniu prowadziłam kobiety z szeroko otwartymi oczami przez wyłożone mahoniową boazerią korytarze, wskazując na tabliczki w stylu Vanny White z nazwiskami dwóch amerykańskich prezydentów, kilku znanych pisarzy, lekarzy i zdobywcy Oscara. Panie przechadzały się ramię w ramię, prawdopodobnie myśląc, jaką jestem szczęściarą, że moje dziecko już się tu dostało, i chyba padłyby, dowiadując się, jak dalekie od ideału było moje prawdziwe życie.

Uwielbiałam zaglądać do klasy Milesa, do laboratorium (gdzie stał w swoim białym fartuszkach i okularach ochronnych), sali gimnastycznej, pracowni przedmiotowych... Po szkole poszliśmy do parku, gdzie grał w piłkę, a gdy stałam, marznąc, na skraju boiska, zadzwonił do mnie znajomy Tima, Lars Hartstreich, z EdgeCreekCapital.

– Holly tak mi przykro... Kiedy usłyszałem o tobie i Ti-mie... – W jego głosie czułam szczery smutek.

–No cóż... Tak. Co począć? Nigdy nie sądziłam, że na mnie trafi, ale jeśli chcesz rozbawić Boga, opowiedz mu o swoich planach... zgadza się?

– Emma i ja myślimy o tobie. Jeśli moglibyśmy coś dla ciebie zrobić... daj znać.

–Dzięki... — przerwałam, dając mu do zrozumienia, że może już skończyć, najwyraźniej dzwonił w konkretnej sprawie. Lars był świetnym facetem, którego zawsze lubiłam. Ale wciąż działał potężny system obronny po rozwodzie: czułam niechęć do kontaktów towarzyskich z hedgingowym światkiem, który okazał się miałki i mały.

– Dzwonię, ponieważ wiem, że byłaś gotowa zostać wiceprzewodniczącą gali „Bankierzy dla dzieci” i chciałem potwierdzić, czy dalej jesteś w komitecie organizacyjnym...

Zaczerpnęłam powietrza, żeby odpowiedzieć kiepską wymówką i wyłgać się z tego zobowiązania, ale zanim zdążyłam się odezwać, ciągnął dalej:

– Holly, wiem, jak wiele ostatnio przeszłaś, ale zawsze tyle wnosisz do takich imprez. Mamy nadzieję, że możemy na ciebie liczyć. Wysłaliśmy zaproszenia kilka tygodni temu i nie odezwałaś się, a Emma i ja naprawdę chcielibyśmy, żebyś była naszym gościem. Przyjdź, proszę...

– Dobrze – wydusiłam, zanim zebrałam myśli. Cholera, po co ja się zgodziłam? Nie chciałam tam iść! Hedgingowi nudziarze i ich na wpół ogłupiałe żony... Przechodziłam przez to latami, ostatnio nawet udzielając się w komitecie organizacyjnym, a teraz chciałam zatrzaskać złocone wrota do całego tego światka. Przyjaźniłam się z Larsem i jego żoną od lat, więc

chyba automatycznie wciąż mnie brali pod uwagę, podczas gdy ja ostatnio czułam się wykluczona z „towarzystwa”.

– Fantastycznie. Przyślemy po ciebie samochód w przyszły czwartek wieczorem.

– Dzięki, Lars. Do zobaczenia...

Chociaż bałam się tego spotkania, wzruszyło mnie, że pamiętali o mnie, choć byłam teraz odrażającą ekszoną. Czyżbym funkcjonowała nie tylko jako „osoba towarzysząca” zdobiąca ramię Tima?

Tego wieczoru pracowaliśmy z Milesem nad makietą wszystkich planet Układu Słonecznego. Gdy rzekomo nietoksyczne farby modelarskie zasmrodziły całkowicie pokój, Miles sprawił, że pękło mi serce. Istny Big Bang.

– Mamusiu, wiem, że ty i tatuś już nigdy nie będziecie razem. .. Ale czy my ciągle jesteśmy rodziną? Nawet jeśli mamy dwa domy?

Strzał był celny.

Przełknęłam łzy, a gula w gardle dusiła mnie i uniemożliwiała oddychanie. Zebrałam siły, żeby powoli odpowiedzieć:

– Kochanie, twój tatuś i ja wciąż bardzo cię kochamy, tak jak zawsze, a to, że żyjemy osobno, nie oznacza, że nie masz rodziny. Jesteś całym naszym światem. Całą galaktyką... – Pocałowałam go w czoło i przytuliłam, zanim zdążył zobaczyć moje załzawione oczy.

## *Rozdział 21*

*Nieważne, kogo znasz. Ważne, jak dowiedziała się o tym twoja żona.*

**Joey Adams**

Pierwszy raz zostałam poderwana w kawiarni, gdzieby indziej. Zamawiałam pół funta mlecznych kuleczek o smaku espresso, kiedy usłyszałam zza pleców:

– To bardzo niebezpieczne kulki...

Odwróciłam się i ujrzałam starszego mężczyznę z czupryną siwych włosów, w kurtce z grubej kraciatej tkaniny i małych okularach o złotych oprawkach.

– Tak, niech pan to powie moim udom – zażartowałam, wyczerpana po nieprzespanej nocy i sprincie do szkoły Milesa na wczesne spotkanie matek przy śniadaniu, gdzie znowu stałam sama za niewidzialną ścianą, podczas gdy stadka wypielegnowanych mamuś omawiały plany na Święto Dziękczynienia i porównywały ceny tłoczenia liter oraz zdobień na świątecznych kartach między Printery w Oyster Bay a Mrs John L. Strong (roześmiałam się, gdy przypomniałam sobie, że rok wcześniej Mary wysłała życzenia bożonarodzeniowe z sercem wytłoczonym nad słowem „miłość”, a nad wyrazem „pokój” widniał symbol Mercedesa zamiast pacyfki. Klasyka!). Miałam zerowy apetyt, więc zjadłam tylko kilka kawałków owoców, czekając na sygnał do wyjścia, po czym ruszyłam biegiem do Oren's Daily Roast na Lex po codzienną porcję deseru, aby zaspokoić głód czekolady.

– Nie wygląda pani na osobę, która miałaby z tym problem – odparł, wciąż patrząc mi w oczy. – Ja za to jestem starszy od pani i te kuleczki są dla mnie zabójcze – dodał i puścił do mnie oko.

Gdy ruszyłam w kierunku drzwi, znalazł się kilka kroków przede mną i puścił mnie przodem. Podziękowałam grzecznie, a wtedy okazało się, że idziemy ramię w ramię, więc gawędziliśmy sobie: o pięknym chłodnym jesiennym dniu, o ozdobach bożonarodzeniowych, które pojawiały się coraz wcześniej, i o tłumie ludzi, którzy jedli śniadanie w pobliskiej knajpce.

– Kim są ci, którzy godzinami celebrują te leniwe lunche w dzień powszedni? — zapytał. – Nie chciałaby pani czasem, żeby ludzie nosili piętna mówiące, co robią?

– Wydaje mi się, że wielu z nich w ogóle nie musi pracować – odparłam.

Przyjrzeliliśmy się uważnie głównie dzianym Europejczykom w markowych ciuchach, skórzanych kurtkach, ze słuchawkami bluetooth w uszach.

– Ale nie chciałbym być na ich miejscu – stwierdził. – Muszę pracować, rozumie pani?

– Czym się pan zajmuje?

– Jestem artystą. Maluję.

– Och, fantastycznie – rzuciłam głupio. – Myślałam, że wszyscy artyści w dzisiejszych czasach mieszkają w centrum. Albo na Brooklynie.

– Cóż, przez całe lata mieszkałem w SoHo, ale teraz tu mi się podoba. Lubię spokój. Jestem już starym człowiekiem – powiedział, a jego brązowe oczy błyszczały. Siwe włosy mocno kontrastowały z ciemnoczekoladową



barwą oczu, a gdy popijał kawę z kubka i spoglądał na mnie, nagle zrozumiałam, że odrobinę ze mną flirtuje.

– Nie, nie jest pan stary... – zapewniłam. Przedwcześnie osiwiiał, twarz miał przystojną i młodą. Dość młodą. Mógł mieć czterdzieści kilka lat. Dobra, może był pod pięćdziesiątkę. – Co pan maluje? – zapytałam. – Pejzaże? Pocięte twarze jak Picasso? Czy „sztukę abstrakcyjną”? – dodałam pokazując palcami cudzysłów. Może to były kleksy w stylu Jacksona Pollocka. Albo kreda na tablicy u Twomblyego. Zastanawiałam się, co taki grzecznie ubrany facet w średnim wieku mógł malować. Wkrótce się dowiedziałam.

– A może sama pani zobaczy? Zainteresowana? – zaproponował, popijając kawę.

– Jasne...

– Świetnie, mam nową wystawę w galerii Lyle'a Spence'a w Chelsea. A tak przy okazji, nazywam się John Taplett.

– Holly Talbott.

Nawet ja znałam tę słynną galerię. Lyle'owi Spence'owi, jako jednemu z trzech największych marszandów na rynku, poświęcono ostatnio artykuł w specjalnym wydaniu „Vanity Fair” o sztuce. Umawiał się tylko z modelkami lub aktorkami i częściej gościł na łamach prasy niż twórcy, których reprezentował. Ale nazwisko John Tablett również brzmiało jakoś znajomo.

– Hm, poważna sprawa... Byłam tam na wystawie Michaela Bevilacqua kilka lat temu.

– Wernisaż odbędzie się za dwa tygodnie, dwudziestego trzeciego listopada, między szóstą a ósmą. Przyjdź. Będę na ciebie czekał.

– Dobrze, przyjdę.

Uśmiechnął się, spojrzał na mnie z chłodnym błyskiem w oku i ujął moją dłoń.

– Zatem do zobaczenia, Holly Talbott – powiedział i poszedł w stronę ogołoconych z liści drzew w Central Parku.

## *Rozdział 22*

*Gdy wychodziłam za mąż za swój ideał, nie wiedziałam, że on dla siebie też jest ideałem.*

Gapiałam się w Google, które wyświetliły **12324** strony z jego nazwiskiem, i szczeka mi opadła. Miał indywidualne wystawy na całym świecie, poznałam celebrytę! Był seksownym malarzem, i to starszym, co naprawdę zrobiłoby wrażenie na Timie. Wciąż mogłam być śliczną młodą kocią, a nie starą babą, którą się czułam przez ostatnie pół roku.

Zaczynałam mieć obsesję na jego punkcie. Holly Talbott Taplett brzmiało idiotycznie, owszem, ale on mógł być tym jedynym następnym rozdziałem mojego życia. Zadzwoiłam do Kiki.

– Działaj, dziewczyno, to świetna wiadomość! Wyrwać faceta w pieprzonej kawiarni... Mmm, podniecające!

– Robisz ze mnie puszczałką – zażartowałam. – To co, Kiki, obiecasz mi, że ze mną pójdziesz?

– Hm... Wiesz przecież, że nie znoszę tego pretensjonalnego towarzystwa od sztuki współczesnej. Pieprzyłam się z licytатorem z Sotheby's przez rok i bez przerwy gadał o tym, że ma więcej w jądrach, niż

można by się spodziewać. Mało podniecające. Poza tym stał mu na widok obrazów, do których przyklejono trupy motyli.

– Prooszę... Kiki, nikt nie doda tyle otuchy, co ty. A on będzie bohaterem wieczoru, więc i tak nie poświęci mi zbyt wiele czasu! Potrzebuję obstawy. Proszę...?

– Dobra. Chyba naprawdę cię kocham, skoro pójde z tobą na jakąś wydumaną imprezę z morzem czarnych golfów i białymi ścianami.

–Dzięki! Dzięki! Jestem twoją dłużniczką.

– Nie myśl, że o tym zapomnę.

Tydzień później zadzwoniła asystentka Tima z informacją, że mój eks wraca z Londynu i chciałby spotkać się z Milesem. Przypadkiem w wieczór imprezy charytatywnej, na którą wybierałam się z Larsem i Emmą, więc nie musiałam angażować opiekunki. Nadal czułam obawy, ale miło było wystroić się na oficjalną galę. Kiedy wszedł Miles, a ja spryskiwałam się perfumami zadzwonił dzwonek do drzwi.

– Holly! Wyglądasz... świetnie – skomentował Tim, gdy otworzył drzwi.

Ha. Patrz, co straciłeś. Ale mimo to, nawet gdybym na głowie stanęła, nie mogłam wyglądać na cholerne dwadzieścia pięć lat jak Avery.

– Dzięki. Odwiesz go jutro do szkoły?

– Jasne, nie ma problemu. –OK, świetnie, dzięki! Pa!

Pochyliłam się, żeby pocałować Milesa, i czułam na sobie uważne spojrzenie Tima. Wiedziałam, że kombinuje, dokąd się wybieram, ale nic nie powiedziałam, jakbym codziennie brykała wystrojona w obcisłą kieckę oraz szpilki, a nie wyciągnięty szlafrok i kapcie starej panny. Nie miał pojęcia, że wieczór, który miałam przed sobą, zapewne będzie koszmar

nudny, a impreza, która naprawdę mnie intrygowała, ma się odbyć dopiero za tydzień, w Lyle Spence Gallery. Ale czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Teraz przyszła moja kolej, żeby wyrwać się do świata, a jemu nie byłam nic winna.

## *Rozdział 23*

*Miłość to ogień. Ale nigdy nie wiesz, czy ogrzeje twoje serce, czy spali ci dom.*

### **Joan Crawford**

Przed domem czekał na mnie cadillac escalade z szoferem Larsa i Emmy. I chociaż siedziałam w pojeździe będącym właściwie opancerzonym miejskim czołgiem, czułam się bezbronna. Od czasu, gdy wyszłam sama z przyjaciółkami na szkolny bal, nie byłam tak wystrojona bez partnera u boku. Kiedy dotarliśmy do Ciprianiego na Czterdziestej Drugiej, moje serce oszalało, gdy wchodziłam do wspaniałej sali balowej – dawnej siedziby banku. Prawdziwa perła architektury tego miasta. Błyskały flesze, słynni darczyńcy dla organizacji charytatywnych – od Harveya Weinsteina przez prezesa General Electric po dyrektorów wszystkich ważniejszych banków inwestycyjnych i elitę funduszy hedgingowych – stawili się tłumnie i teraz szukali na stolikach kart ze swoimi wykaligrafowanymi nazwiskami.

Wprawdzie tylko jedno, ale za to pyszne bellini i kawior złagodziły nieco moje zdenerwowanie. Gdy radośnie popijałam pachnącego brzoskwiniami szampana, zauważyłam wpatrzoną we mnie parę zielonych oczu. Należały do znajomo wyglądającego faceta, chociaż nie miałam

pojęcia, któż to taki. Był niewiarygodnie przystojny – ale nie w typie ślicznego chłopca o zbyt kanciastych rysach, tak atrakcyjnego, że wszyscy natychmiast to zauważają: miał ten szczególny blask i ciepło, aż chciało się go przytulać.

– Hej – zagadnęłam w stylu szóstoklasistki.

– Witaj. Holland, zgadza się? Mam na imię Elliot...

– Ach tak, witaj, co słyhać? – Uścisnęliśmy dłonie. Wiedziałałam, że już się kiedyś spotkaliśmy, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć, gdzie. Miał zadziwiające zielone oczy, jak barwione szkła kontaktowe, co byłoby przerażające, gdyby nie miły uśmiech.

– Spotkaliśmy się przelotnie. W parku, z synkiem, pamiętasz? – wyjaśnił. – I twoja przyjaciółka Kiki?

– Ach tak... – Jak przez mgłę przypominałam sobie, że Kiki próbowała nawiązać z nim rozmowę. Był przeuroczy. Ale kolejny facet z Upper East Side? Nie ma mowy. Poza tym, skoro tu się znalazł, najwyraźniej należał do świata bankowości, więc za blisko mojej przeszłości, bym czuła się komfortowo. Nieważne, jaki byłby wspaniały.

To jeden z trzech głównych warunków. Gdybym miała zamieścić profil w internetowym serwisie randkowym, poszukiwanie niebankiera byłoby równie istotne jak wymóg, aby nie palił.

– Holly! – usłyszałam za plecami. Emma. W wyszywanej koralikami długiej sukni od Oscara de la Renty, w sam raz na galę oscarową. Dla niej dzisiejszy wieczór był może jeszcze ważniejszy, przecież wraz z mężem byli honorowymi przewodniczącymi, a sam Bill Cunningham z „New York Timesa” robił jej zdjęcia do niedzielnego wydania.

– Emma, Lars, witajcie! Bardzo wam dziękuję za zaproszenie. ..  
Cudowne!

Gdy Elliot odszedł, zaczęli przedstawiać mnie swoim znajomym, którzy także mieli zasiąść przy naszym stoliku, włączając pewnego starszego wdowca. Nie był w moim typie, a poza tym nie spotykam się z karłami. Biedny, nie sięgał nawet mojego biustu, więc nie było szans, abym stała się jego Katie Holmes, niezależnie od tego, jakie platformy od Johna Lobba by włożył. Świetnie, wiedziałam, że w zaproszeniu mnie był jakiś ukryty motyw. No cóż. Zapewne odtąd już tak miało być: należy wyswatać Holly z kimkolwiek, kto sam chodzi. Jest samotna, ma dziecko, więc może mówić o szczęściu, jeśli poderwie kogokolwiek w tej sali! Super.

Wieczór ciągnął się, wygłaszano kolejne mowy na temat korzyści płynących z przekazanych pieniędzy, aż w pewnym momencie, po raz kolejny rozglądając się po wielkiej sali tępym wzrokiem zombi, zobaczyłam piękną blondynkę bezwstydnie flirtującą z Elliotem. Właśnie wtedy, kiedy zamierzałam niezobowiązująco szturchnąć Emmę, żeby zapytać, kim on jest, światło reflektora padło na nasz stół i ona oraz Lars wstali, żeby wejść na podium, by przyjąć nagrodę za ich hojne filantropijne starania w mieście. Cała Wall Street klaskała na ich cześć. Najgłośniej wiwatował ten sam zestaw wystrojonych żon. Emilia d'Angelo i Mary Grassweather z połyskującymi diamentami na nadgarstkach; Posey Smith, w stroju od de la Renty, machała mi przez parkiet. Poczułam lekkie ukłucie żalu, że nie odezwała się w sprawie tego wyjścia na wino – tyle czasu spędzałyśmy kiedyś razem, ale widziałam, że teraz żyje już innym życiem. Zabawne, gdybym wróciła do domu z tym staruszką obok mnie i wyszła za niego, jak tamta rozwódka z naszej szkoły, natychmiast odzyskałabym pozycję

społeczną. Moja nowa zbroja z kolejnego zamożnego (choć starszego) męża przywróciłaby mi status wartościowej przyjaciółki, członkini komitetu, rady szkoły, muzeum czy szpitala. Stroje *haute couture* i błyszcząca biżuteria stałyby się pewną wejściówką z powrotem do społeczeństwa. Ale teraz, widząc okazały diamentowy naszyjnik od Freda Leightona, zastanawiałam się, czy ten prezent oznacza „wybacz mi”? A gdy mój wzrok padł na inną szyję ozdobioną diamentami w kolorze kanarkowej żółci, kupionymi u Graffa, myślałam, czy prezent towarzyszył pytaniu: „wrócisz do mnie”? Czy każda z tych kobiet była gotowa zostać dla tych cennych klejnotów, milcząco godząc się na złe traktowanie i kłamstwa, podczas gdy ich mężowie mieli swoje sprawy i pieprzyli, kogo chcieli? Wirowało mi w głowie, kiedy nagle usłyszałam sygnał SMS-a. Wiadomość od Kiki:

*Jak tam, impreza dla robotów, pewnie kiepska? Spotkajmy się w Marin's na Bowery.*

Ponieważ podawano deser i widziałam, że staroświeccy goście i młodzi rodzice dziękowali gospodarzom, żegnając się też z resztą towarzystwa przy stolikach, wystrzeliłam stamtąd jak z procy.

W sympatycznej knajpie atmosfera była całkiem inna. Z sufitu zwisało mnóstwo kiczowatych ozdób, huczała muzyka, podawano mocne drinki w barwach klejnotów mogących rywalizować z bellini.

– Holly! – wrzasnęła Kiki, gdy weszłam, sprawiając, że poczułam się, jakbym zawitała do pubu Cheers. Siedziała przy stoliku na tyłach sali, z koleżankami, które już kiedyś poznałam, modnie ubranymi i szalonymi, bez żadnych zahamowań, a la Kiki.

– Wyglądasz odjazdowo! – powiedziała uprzejmie Eliza, która pracowała u Very Wang. – I o wiele młodziej!

– Naprawdę?

– To dlatego, że zupełnie ją przebrałam, pozbyłyśmy się połowy nudziarskich ciuchów z jej szafy – chełpiła się Kiki, puszczając do mnie oko. – Wypełniłyśmy jej obrzydliwą torbę od Very Bradley tymi grzecznymi ciuchami i podpaliłyśmy ją.

Niezła laska się z niej zrobiła, co?

– Kociak – potwierdziła Carrie. – A skoro już o tym mowa... – Z łazienki wyszedł przystojny, lecz młodszy, o wiele młodszy facet. – Nick! To jest Holly, przyjaciółka Kiki – przedstawiła mnie Eliza.

– Cześć, jestem Nick. – Był uroczy, ale ile mógł mieć... Dwadzieścia sześć? Dwadzieścia siedem lat?

OK, wkrótce odkryłam, że miał dwadzieścia osiem. Ale dla mnie, trzydziestoczterolatki, po prostu dziecko.

– Co mogę ci przynieść, Holly? – zapytał. Zdjął bluzę, ukazując biały podkoszulek i przedramiona pokryte tatuażami.

– Hm... Ja... Właściwie nie piję.

– Nie każ mi pić samemu... Co powiesz na to, żebym zrobił ci niespodziankę?

– Noo... – Spojrzałam na Kiki, której oczy były rozszerzone, jakby chciała powiedzieć: *Nie bądź głupia, bierz tego drinka!* Zgodziłam się, choć następnego dnia powinnam być świeża jak orzeszek i tryskać energią, by od rana oprowadzać rodziców po szkole Milesa.

Chwilę później stukaliśmy się kieliszkiem z Nickiem i jego współlokatorami, a wszyscy trzej byli szefami kuchni w różnych restauracjach, o których w życiu nie słyszałam. I bardzo mi się to podobało.

## **RÓWNANIE NICKA**



**(VIGGO MORTENSEN) + PRYSZNIC + TATUAŻE + OLEJ TRUFLOWY  
NIEBEZPIECZEŃSTWO GRZECHU**

Gdy zatrzymałam wzrok na tatuażach, widział, że zauważyłam, że... no cóż... rzucały się w oczy. Ale w jakiś dziwny sposób też były atrakcyjne.

– Ten jest świetny prawda? Mój znajomy, Scott Campbell z Williamsburga, go zrobił. Pieprzony artysta, człowieku.

Zapytałam o gotowanie, myśląc, jak fajnie byłoby siedzieć u niego w kuchni, podczas gdy przygotowywałby coś pysznego, coś prowadzącego do namiętnego seksu, jak w filmie *Like Water for Chocolate*, no, wyłączając śmierć w pożarze.

Czułam, że się upijam. W starym stylu – na amen. Nie sędzę, żebym kiedykolwiek straciła kontrolę w ciągu dziesięciu lat z Timem – może od wielkiego dzwonu trochę za dużo szampana na jakimś weselu, ale nie tak jak teraz, w eleganckim stroju, rechocząc głośno z dwudziestoparolatkami, którzy nie mieli dzieci ani obowiązku dawania dobrego przykładu. Ale było to odświeżające. Wyzwalające. Cofnęłam wskazówki zegara. Przynajmniej do porannego kaca, który wydawał się oddalony o całe lata świetlne w mglistym zawirowaniu neonów, stukaniu kieliszków i rytmie starych piosenek Blondie.

## *Rozdział 24*

*Bóg obdarzył nas wszystkich penisem i mózgiem, ale ilość krwi wystarcza do obsługi tylko jednego z nich. Robin Williams*

Leżałam z zamkniętymi oczami, a w mojej głowie jeździł czterokonny dyliżans. Wiedziałam, że muszę wreszcie wstać z łóżka, ubrać się stosownie do okazji i pomaszerować do szkoły Milesa (o Boże, jak?) po raz nie wiadomo który oprowadzać rodziców przyszłych uczniów. Staralam się poskładać miniony wieczór, ale naprawdę nie mogłam sobie przypomnieć powrotu do domu. Czarna dziura w pamięci. Dzięki Bogu względnie szybko doszliśmy do porozumienia w sprawie rozwodowej, bo inaczej Sherry Von zatrudniłaby prywatnych detektywów i teraz miałaby niezłe używanie, bez trudu dowodząc, że jestem pijaczką i złą matką. Nie urzędnęłabym się tak, gdyby Miles był w domu. To raz. A po drugie, sama uważałam, że trzydzieści cztery lata to za poważny wiek, żeby się tak uwalić, nawet raz na sto lat.

Z trudem przypominałam sobie, jak wszyscy chwiejnym krokiem wyszliśmy na Bowery, Kiki całowała się z jakimś młodocianym szefem kuchni, a mnie obejmował Nick. Jego kurtka motocyklowa otaczała ciasno moje ramię i poczułam się bezpieczna. Pamiętałam, że niezbyt wyraźnie mamrotałam coś o braku taksówek, a on odparł: „Ja cię podwiozę”. W świecie Tima oznaczałoby to, że na ulicy czeka samochód z szoferem. Powiedziałam: „Super”, a Nick poprowadził mnie przez chłodne nocne powietrze do motocykla stojącego przed dawną siedzibą klubu CBGB. Zaczęło do mnie docierać: moja mama wpadłaby w histerię. Usiłowałam

wyperswadować swojemu opiekunowi ten nie najlepszy pomysł, wyobrażając sobie, jak leżę cała w gipsie, siusiając przez wyciętą dziurkę do kaczki.

– Chodź, Holly. Wyluzuj. Zabaw się. – Przynajmniej miał drugi kask, więc nie byłabym bezgłową matką z mózgiem rozbryzganym na Park Avenue. Nie kręci mnie ryzyko. Gdyby nie paskudne opilstwo, można swobodnie założyć, że wsiadłabym na srebrzystego potwora chyba po własnym trupie.

Ale stało się inaczej. Pędziliśmy Pierwszą Aleją. Choć mój mózg nie pracował zbyt precyzyjnie, pamiętam radość, że gdyby ktoś znajomy mnie teraz zobaczył, pewnie zemdlałby z wrażenia. A przynajmniej pomyślał, że nieźle zaszalałam. Holly Talbott z jakimś gościem na motocyklu? Ale numer!

Kiedy dojechaliśmy do mojej dzielnicy, nocny portier zaczął już swoją zmianę (czytaj: spał na kanapie w holu), więc nikt nie zobaczył mojego bardzo nietypowego dla przedmieść rydwanu. Nick pomógł mi zejść, sukienka podwinęła mi się wysoko na udach. Nieskromne, ale, odważę się powiedzieć, czadowe!

– Holly, świetnie się bawiłem...

Chwilę później całowaliśmy się mocno. Położył dłoń na mojej twarzy i oparł mnie o motocykl, chwytając za plecy, gdy jego usta poruszały się dziko na moich. To był dla mnie prawdziwie rockandrollowy moment. Zawsze byłam cnotką, czekającą na pierwszą miłość. A teraz wyrwałam kartkę z książki Kiki – małej czarnej książeczki – i chociaż Nick całował fenomenalnie, a delikatne skrzypienie skórzanych rękawów kurtki poruszających się wokół mnie dodawało smaku, sięgnęłam tylko po jedną

kartkę, a nie całą książkę. Mogłam się dziko całować na rogu ulicy, ale nie zamierzałam przespać się z Nickiem. Gdy w końcu wyplątałam się z jego objąć i spojrzałam w oczy, zrozumiał od razu, że na nic więcej nie może liczyć, ale zachował się naprawdę w porządku: uściśnął moją dłoń i wskoczył na motor.

Po wyjątkowo długim i ciężkim dniu oprowadzania zabrałam Milesa na wczesną kolację w naszej ulubionej staroświeckiej knajpce Three Guys, na Madison. Był podekscytowany jakimś meczem, na który Tim zdobył bilety, a ja próbowałam kiwać głową i cieszyć się wraz z nim, choć wiedziałam, że to początek wielkiego wyścigu, w którym z góry znajdowałam się na przegranej pozycji, ponieważ nigdy nie będę mogła zdobyć wejściówek za scenę na koncerty, tak jak mógł to zrobić Tim dzięki swoim koneksjom, czy pojechać na Super Bowl bądź olimpiadę albo Bóg wie co jeszcze. Podczas gdy mój eks oferował synowi LeBron James, ja mogłam jedynie zaproponować wędzony ser.

Kiedy szliśmy do domu, było zimno, ale migające światełka świąteczne, które wystrzeliwały zewsząd, ocieplały atmosferę. Do Święta Dziękczynienia został tydzień, a majestatyczny szpaler lśniących drzew wzdłuż Park Avenue rozgrzewał nas mimo arktycznego mrozu.

Po gorącej czekoladzie i odrobieniu pracy domowej Miles poprosił o bajeczkę, więc położyliśmy się na jego łóżku, między stosami pluszaków oraz miękkimi poduszkami. Miał na sobie ulubioną piżamkę ze Spider-Manem i oparł się na moim ramieniu, gdy czytaliśmy opowieść o psotnym kocie, który wyczyniał okropne rzeczy, na przykład odgryzał kawałek każdego ciasteczka na przyjęciu urodzinowym. Ale zawsze wywoływał uśmiech na mojej twarzy, ponieważ odzwierciedlał tę drugą, weselszą stronę

dzieciństwa, zwariowaną, mającą w nosie litanie dorosłych: umyj zęby, umyj ręce, maniery, maniery, maniery... W nowym świetle ujrzałam poprzednią szaloną noc, z radością wyłamując się z własnych sztywnych zasad decydujących, co jest do przyjęcia, a co wariackie. Może nie potrafiłam dać czadu, ale zdecydowanie, z wielką satysfakcją zanotowałam własną zmianę. Stawałam się mniej ugrzecznona.

## *Rozdział 25*

*Jedynym przypadkiem, kiedy moja żona i ja przeżyliśmy równoczesny orgazm, była chwila podpisania dokumentów rozwodowych przez sędziego.*

**Woody Allen**

Dwa dni później, gdy Miles położył się spać, zadzwoniła Kiki, aby oznajmić w stylu trzecioklasistki, że kucharz Nick powiedział swojemu kumpłowi, że chciałby się ze mną znowu spotkać. Samo myślenie o nim i fakt, że był przepustką do młodości, której nigdy nie miałam jako dwudziestokilkuletnia mężatka, sprawiły, że zaczęłam się inaczej poruszać.

W sobotni wieczór znów wszyscy się spotkaliśmy, kiedy o północy „mój” motocyklista wyszedł z pracy. Tim zabierał Milesa do siebie w każdy weekend, kiedy przyjeżdżał do miasta, więc byłam sama i mogłam wyspać się do woli w niedzielę, ale zanim zaczęłam cieszyć się na zapas, przypomniałam sobie, że zobowiązałam Kiki do pójścia ze mną w czwartek do Lyle Spence Gallery na otwarcie wystawy mojego drugiego absztyfikanta. Wydawało mi się zabawne, że między tymi dwoma facetami

jest dwadzieścia lat różnicy. Nick (którego Kiki pieszczotliwie nazywała „kucharczykiem”) i John (którego przezwała *l'artiste*) byli całkiem inni. Obaj mnie intrygowali. Żaden z nich nie przypominał Tima, więc wydawali się atrakcyjni choćby tylko z tego powodu. Zastanawiałam się, z którym zaczął się spotykać.

– Nie musisz wybierać – stwierdziła Kiki przez telefon w przeddzień wernisażu Johna. – Dopiero co wróciłaś na rynek! Kuj żelazo, póki gorące, i to niejeden kawałek.

– Co masz na myśli?

– Musisz sprawdzić różne możliwości. Być otwarta. Randkować, ile wlezie.

Choć uwielbiałam historie i programy telewizyjne o kobietach zonglujących facetami, nigdy nie rozumiałam, jak mogą sypiać z nimi równolegle. Zniknęłam z rynku, gdy miałam dwadzieścia cztery lata, i wciąż tkwiłam zamrożona w krainie erotycznych zakazów i randek, które nie musiały kończyć się pełnym seksem. Ale gdy miało się trzydzieści cztery lata, nikt nie wkładał ręki pod bluzkę po to, żeby zbadać numer biustonosza. To było całowanie się na rogu ulicy albo wyciągnięcie prezerwatywy. Po latach łykania pigułek zapomniałam, że teraz muszę kogoś zmusić do założenia gumki z obawy przed chorobami. Świetnie.

– Chyba nie należę do pańienek, które kują żelazo — wyznałam.

– Przestań, Holly. Faceci robią tak zawsze. Podwójne standardy.

– Ale to co innego. Kobiety są bardziej wybredne. Jak jajeczko i plemniki. My wybieramy, a oni rozsiewają nasienie wszędzie. Nie mogę się puszczać i zacząć sypiać z każdym spotkanym facetem.

– Puszcząć? Skąd ty się wzięłaś, z epoki kamienia łupanego? Coś mi się wydaje, że teściowa zajęła twoje ciało, tak jak Patrick Swayze wniknął w Whoopi Goldberg w *Uwierz w ducha*.

– Nie jestem Sherry Von. Nie oceniam ludzi, którzy tak robią – odparłam, kręcąc głową. – Nie o to chodzi. Po prostu ja nigdy... nie wskakiwałam facetom do łóżek na prawo i lewo.

– Z iloma spałaś?

Zamilkłam na chwilę, żeby policzyć. Na palcach. Jednej ręki. Tim był kciukiem u drugiej.

– Z sześcioma.

– Jasna cholera – roześmiała się Kiki. – Sześcioma?

– Bardzo cię przepraszam, zbyt nudne dla ciebie? Uważasz mnie za jakieś dziewczątko z kościelnego chóru?

– Nie, ale na pewno uznasz mnie za przydrożną dziwkę. Dodaj zero.

Oślupiałam. Nawet biorąc pod uwagę odwagę Kiki i jej różne przelotne romanse od czasu rozvodu, nie miałam pojęcia, że liczba ta będzie taka wielka.

– Sześćdziesięciu? – spytałam. – Nie gadaj.

– Dobra, może nie było ich aż tak wielu. Może czterdziestu. Sporo fajnych jednorazowych numerków, po kilku randkach. Albo bez żadnej, jak ten strażak z WTC, który stracił połowę załogi na drabinie. Naprawdę uważałam, że robię coś dobrego dla ojczyzny.

Postanowiłam włożyć prostą czarną sukienkę ze srebrnymi guziczkami wzdłuż jednego boku. Tim kupił mi ją (pewnie powodowany poczuciem winy) w Barneys w zeszłym roku. Leżała jak druga skóra, więc nosiłam ją jedynie w „szczupłe dni”, nigdy podczas miesiączki. Miles wybierał się do

Big Apple Circus z Sherry Von, a jej szofer Hubert czekał w holu. Wyszliśmy do czekającego przed budynkiem Bentleya.

Hubert spojrzał na mnie i uśmiechnął się, gdy Miles wsiadał do samochodu.

Z miny Sherry Von, gdy zobaczyła moje szpilki i płaszcz obszyty futrem, wyczytałam, że spodziewała się standardowych czarnych spodni z Theory albo džinsów Earnest Swen, balerinek Hollywood i włosów ściągniętych w kucyk.

– Proszę, proszę, Holland, a dokąd się wybierasz? – spytała, jakby zaskoczona, że w ogóle wychodzę z mieszkania. Pewnie sądziła, że tkwię nieustannie na kanapie pokrytej chusteczkami higienicznymi mokrymi od łez. Oczywiście zdarzało się i tak, ale białe ligninowe kulki obok mojego łóżka stawały się ostatnio coraz rzadszym widokiem.

– Do galerii w centrum.

– Och, jak miło – odparła kwaśno, zmuszając się do sztucznego słodkiego uśmiechu.

– Z Kiki! – dodałam ze złośliwą przyjemnością.

Kąciki jej rozciągniętych w uśmiechu warg powoli opadły, przyjmując żaloszny grymas podkreślony czerwoną szminką Estee Lauder. Nic nie powiedziała, – zauważyłam jedynie, że rozchyliła nozdrza, jakby dwie sylaby imienia Kiki w jakiś sposób wywołały przykry zapach.

– Baw się dobrze! – powiedziałam i posłałam Milesowi całusa. Z jej skrzywionej złością miny wnioskowałam, że wolałaby dowiedzieć się o moich kontaktach z dilerem amfetaminy.

– Panno Holland... – usłyszałam szept Huberta, który obszedł samochód z tyłu do drzwi kierowcy. – Wygląda pani bosko.



## *Rozdział 26*

*Czy istnieje lekarstwo na złamane serce? Tylko czas uleczy złamane serce. Tak samo jak czas uleczy jego ręce i nogi.*

### **Miss Piggy**

Dzięki Bogu Kiki, która zwykle spóźnia się pół godziny, stała przy drzwiach, kiedy dotarłam na Zachodnią Dwudziestą Siódmą. Na dworze był mróz i pół przecznicy pieszo od Dziesiątej Alei wystarczyło, żebym zapragnęła wczłogać się w strumień płynącej lawy i ugotować.

–Hej! Wyglądasz... No. Mogę zmienić orientację – zażartowała Kiki. – Właśnie przysłam. Zaczekaj, aż zobaczysz obrazy.

Byłam ciekawa. W Google znalazłam głównie martwą naturę, przedstawiającą przedmioty takie jak łyżka, rura i na wpół zjedzony kawałek ciasta. Ale na stronie internetowej galerii napisano, że po raz pierwszy wystawione zostały autoportrety Johna. Byłam więc zaintrygowana, ale nieprzygotowana na to, co miałam zobaczyć w hałaśliwej sali pełnej ludzi sztuki z ogolonymi głowami i ich modnie ubranych muz.

Jednym słowem: samiec.

Autoportrety – całkiem gołe autoportrety. Wybaczcie. Akty. Weszłam do sali, minęłam napis: „JOHN TAPLETT: AUTOPORTRETY” i ujrzałam osiem ogromnych podobizn Johna w pełnej krasie.

### **RÓWNANIE JOHNA**

**PROFESOR Z TWOJEGO WYDZIAŁU, W KTÓRYM SIĘ  
PODKOCHIWAŁAŚ**

**(CHRISTOPHER PLUMMER OKOŁO 1967)**

**X SPRACOWANE DŁONIE + PRZEDWCZESNA SIWIZNA  
+ POPLAMIONE FARBAMI DŻINSY**

Wysokie na sześć stóp płótna przypominały mi łagodniejszą wersję Kapitana Von Trappa, ale z kiełbaską rzucającą się w oczy. Szczeka mi opadła. Płótna były dobre, naprawdę dobre. Seksowne. Namalowane gorączkowymi, popędliwymi, lecz świadomymi ruchami, jakby szkicownik ożył w olejnych farbach. W naturalnych rozmiarach, czasem bezgłowe, tylko od szyi do łydek, każdy w innej pozie. Dręczyło mnie poczucie winy w związku z rosnącym podnieceniem, jakby to była artystyczna pornografia. Każdy mięsień w jego rozdartym, choć nie do końca, torsie był tam, każde załamanie i linia miednicy i, zgadza się, jego ptaszek. Nie wierzyłam własnym oczom. Nie wstydził się? Fascynowało mnie to.

Oczywiście nie minęło pięć sekund, gdy Kiki zaczęła się ze mną droczyć.

– Lepiej się do niego wprowadź, Holly. Jest tak hojnie wyposażony, że...

– Zamknij się, Kiki! – syczałam, rumieniąc się. – Nawet go nie znam!

Podeszła do, uhm, intymnego szczegółu, odwróciła się i spojrzała na mnie ze złośliwym uśmieszkiem.

– Powiedziałabym, że już znasz.

– Holly, tak się cieszę, że przyszłaś – powitał mnie John, biorąc za rękę. Podniósł wzrok i zobaczył, że czerwienię się jak pomidor.

– Ttto... moja przyjaciółka, Kiki — wyjąkałam.

– Miło mi panią poznać – rzekł i uściśnął jej dłoń. Wciąż miała na twarzy ten szeroki uśmiech kota z Cheshire. Bez wątplenia myślała o wymiarach. Bynajmniej nie płócien.

– Dołączy pani do nas na kolację po wernisażu? – zapytał.

Zanim zdążyłam rzucić jej błagające spojrzenie, żeby z nami poszła, zaczęła się już wykręcać.

– Bardzo bym chciała, ale idę dzisiaj na koncert Interpolu w Hammerstein. Tak mi przykro!

– No cóż, szkoda, ale mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy. ..

W tym momencie podszedł do nas przystojny mężczyzna z długimi włosami i jasnozielonymi oczami.

– Witam – wyciągnął rękę. – Lyle Spence.

– Witam. Holly Talbott. Miło mi pana poznać. Wspaniała galeria – powiedziałam, rozpoznając go natychmiast z niezliczonych zdjęć zamieszczanych w magazynach. – Gratuluję wystawy! Obu panom. Już widziałam czerwone kropki!

– Bardzo nam miło – dodał, patrząc na Kiki. – Kim jest to piękne stworzenie?

– Stworzenie? Nieźle. Zabrzmiało jak z Animal Planet – rzekła Kiki, splatając ręce na piersiach.

O mało nie zakrztusiłam się białym winem, które podał mi John. Oto najpotężniejszy człowiek w świecie sztuki, a ona od razu dała mu kosza. Każda dziewczyna w tej sali zrzuciłaby majtki, mogąc poflirtować z panem Casanovą, a jej najwyraźniej to nie obchodziło. Lyle'a Spence'a natychmiast to zaintrygowało.

– To Kiki Talbott – przedstawiłam przyjaciółkę, starając się zatuszować jej nieuprzejmość.

– Jakieś pokrewieństwo? – zapytał Lyle. – Może ten sam gatunek?

Kiki uśmiechnęła się z ociąganiem.

– A może dołączy pani do nas na kolację? Wynająłem Bottino na cześć Johna.

– Och nie, dziękuję – odparła Kiki spoglądając na zegarek.

– Mam bilety na koncert. Przykro mi!

Udało jej się wyrwać, ale Lyle podjął jeszcze dwie próby, błagając, żeby przemyślała propozycję. Nie chciała i odsunęła się od niego, żeby dać mi całusa na pożegnanie. Ruszyła w kierunku szatni po futro. Widziałam, że Lyle śledzi każdy jej ruch aż do wyjścia.

– Kiki, zostań! – szepnęłam przy drzwiach. – Lyle Spence się na ciebie gapi.

– E tam. Zbyt przystojny i pewny siebie. Zupełnie nie w moim typie.

– Nie osądzaj książki po okładce – odparłam, patrząc, jak się nam przygląda.

– Nie czytam książek. Czytam czasopisma. – Kiki puściła do mnie oko. – A czasopisma ocenia się wyłącznie po okładce

– dodała i wyszła.

Przy kolacji John siedział obok Lyle'a i jakiegoś superważnego kolekcjonera, którego nazwiska nie mogłam sobie przypomnieć, w każdym razie znanego gościa od funduszy hedgingowych z Greenwich w Connecticut. Jego żona Missy wyglądała znajomo, a jej biust dosłownie zaprzeczał sile ciężenia.

Prawie się roześmiałam w twarz tej biednej kobiecie, gdy przypominałam sobie komentarz Kiki w galerii na temat jej wyszywanej koralikami beżowej kreacji: *Gdybym potrafiła utkać rzygowiny, wyglądałyby jak ta sukienka.*

Tak więc Missy w beżach siedziała obok męża, który bez przerwy nawijał o rynkach przyszłości i Chinach. Plotka głosiła, że poznali się, gdy była stewardesą w jego samolocie wycarterowanym z Netjets.

– Przepraszam, kochanie – powiedział George, wołając kelnerkę. – Mógłbym prosić o świeży ser do rukoli? Ten parmezan jest jak wióry drewniane.

– Mój też – zawtórowała Missy. — Jest niejadalny.

Pięknie. Powstrzymując grymas, kelnerka szybko usunęła talerze uwłaczające wyrafinowanemu smakowi królewskiej pary. Czułam się okropnie, pamiętając niezliczone wieczorne wyjścia ze znajomymi Tima, którzy często w ten sposób traktowali kelnerki. W dodatku Missy sama kiedyś podawała precelki i orzeszki, więc skąd to wredne nastawienie?

Krzesło obok mnie pozostało puste, gdy podano sałatki, aż mężczyzna, którego natychmiast rozpoznałam, wysunął je i usiadł, przepaszając gorąco.

– Okropne korki. Przy ONZ jest koszmarnie, wybaczcie...

– Elliot? Niedawno się poznaliśmy, tak? – Facet od szmaragdowych oczu.

– Zgadza się. Holland?

– Dobra pamięć. – Zastanawiałam się, co robi na tej kolacji. — Ale wszyscy mówią do mnie Holly.

– Elliot! Witaj, kochanie! – zaćwierkała Missy, wstając, żeby go ucałować. Ogromne opalone piersi niemal wbiły się w niego, gdy jej mąż rozmawiał z Lyle'em i Johnem o kupnie płócien do ich domu w Amagansett.

Kiedy znów usiadł, zapytałam go o biuściastą znajomą.

– Jak Missy ma na nazwisko? Kiedyś poznałam ich przez swojego byłego męża.

– Missy i George Millerowie.

– Finanse?

– Tak. Fundusz hedgingowy Miller Ventures.

– No tak – powiedziałam. — Ale przynajmniej jeśli ich prywatny odrzutowiec się rozbije, jej biust pozwoli im przepłynąć przez Atlantyk!

Nie mogłam uwierzyć, że powiedziałam to na głos.

Nasiąkałam stylem Kiki, słynącej ze złośliwych, bezczelnych komentarzy. Cholera.

Ale ku mojej uldze i zdziwieniu Elliot się śmiał. Szczerze i głośno.

– Masz rację, ona na pewno nie utonie. – Roześmiał się znowu, pochylając się do mnie konspiracyjnie. – To dopiero postać. Siedziałem kiedyś obok niej przy kolacji, przez cały czas opowiadała o tym, jak to zatrudniła zastępczą matkę do urodzenia wszystkich trojga dzieci, mimo że sama mogła zająć w ciążę i urodzić – powiedział z niedowierzaniem. – Za bardzo się bała, że George straci zainteresowanie nią, jeśli będzie miała rozstępy Zatkąło mnie.

Czegoś takiego nie sposób wymyślić.

– Czyli również jesteś od funduszy hedgingowych, tak? Widziałam cię na tej koszmarnej imprezie w zeszłym tygodniu.

– Hm, ja...

Przerwał i pomachał do kogoś, kto do niego zawołał, po czym odwrócił się do mnie.

– Jestem doradcą do spraw sztuki.

A więc źle go oceniłam.

– Och... zatem to musi być dla ciebie dobry moment?

– W miarę.

– Pewnie pracujesz dla setki tych wypasionych dorobkiewiczów. Wszyscy oni mają za dużo pieniędzy i nagle stwierdzają, że zostaną kolekcjonerami dzieł sztuki, ale nie mają za grosz gustu, prawda? Niech zgadnę.– chcą tylko znanych nazwisk. Nawet jeśli to gówniany Picasso czy Warhol, są uzależnieni od etykietek, tak?

– Zdaje się, że sporo o tym wiesz – stwierdził Elliot.

– To fajne zajęcie – zastanawiałam się na głos. – Robisz zakupy za cudze pieniądze. Super. Mogłabym chodzić po pracowniach malarskich i galeriach przez cały dzień.

– Więc zróbmy to któregoś dnia – zaproponował.

Spojrzałam przez stół na Johna, zagłębionego w rozmowie z Lyle'em. Ale zanim zdążyłam nacieszyć się myślą o zonglowaniu wszystkimi potencjalnymi amantami, Elliot ostudził moje mrzonki.

– Nie na randkę... jako znajomi — dodał.

– OK, jasne – odparłam. Może był z kimś związany? Nie widziałam obrączki. – Bardzo chętnie.

–Świetnie!

– Masz wizytówkę?

– Nie. Niestety... – Szukał jakiejś kartki.

Na szczęście miałam swoje, które wydrukowałam, gdy zmęczyło mnie ciągłe szukanie długopisu. Wręczyłam mu kartonik.

W tym momencie John kucnął obok mojego krzesła.

– Może wyjdziemy stąd? – spytał.

– Jasne – odparłam, sięgając po płaszcz.

Ale zanim dotarliśmy do wyjścia, poczułam czyjąś dłoń na ramieniu.

– Holly, podoba mi się ta wredna Kiki – oznajmił Lyle Spence, błyskając oczami. – Jak mogę się z nią skontaktować?

Uśmiechnęłam się, wiedząc, że w jego tyłek trafiła strzała Amora. Po paradzie szkieletowatych modelek i aktorek, które może świetnie sprawdzały się na planie zdjęciowym, ale przyprawiały o mdłości następnego ranka, Kiki, która wparowała do jego galerii, wyglądając nieziemsko w satynowej sukience od Proenzy Schoulera, czarnym płaszczu od Mendel i wysokich czarnych kozakach, arogancka i pewna siebie, musiała zrobić wrażenie niczym przybysz z obcej planety. Z przyjemnością zapisałam jej numer telefonu i wyszłam z Johnem w zimną noc, trzymając go za rękę.

## *Rozdział 27*

*Kiedy mężczyzna przynosi kobiecie kwiaty bez powodu, musi być jakiś powód.*

Ach. O czym tu rozmawiać na randce po rozwodzie... Jak omijać miny przeszłości: bagaż rozczarowań, blizny po ranach, dzieci i dawnych partnerów? Czy od razu uraczyć Johna historią mojego życia? Z Nickiem była głośnie muzyka, otaczał nas tłum w barze, zamiast krępującej ciszy, którą trzeba było wypełnić intensywną rozmową, gdy zostałam z Johnem sama. Czułam, że tematy powinny być przemyślane, niemalże zaplanowane, by uniknąć odbezpieczenia granatu: rozwodu. Rozpad małżeństwa nadal dominował nad wszystkimi moimi myślami i nagła amnezja wydawała się



nienaturalna. Jednak jakoś trzeba było ten slalom wykonać, omijając przeszkody ostatnich dziesięciu lat. Wymyśliłam skuteczny sposób: skierowałam uwagę na mężczyznę i skupiłam się na nim.

— Twoje prace są... niesamowite. Masz ogromny talent. Bardzo mi się podobały twoje obrazy... – patrzyłam pod nogi niczym nieśmiała nastolatka zbyt skrepowana, by mówić o... jego klejnotach.

– Dzięki – odparł, patrząc mi prosto w oczy. – Zaskoczył cię temat? – zapytał śmiało.

Najwyraźniej wyczuł moją konsternację.

– No cóż... Trochę zaskakujące, ale naprawdę fantastyczne. Obrazy.

– Miło słyszeć. I cieszę się, że przyszedłeś, Holly. Gadając, dotarliśmy do przejścia między budynkami, a nad nami księżyc w pełni rozświetlał niebo.

– Boże, spójrz na ten księżyc – powiedziałam z zachwytem. —Jak na filmie.

– Dlaczego jak na filmie? – zapytał.

– Nie wiem... Po prostu idealny.

– Czy należysz do kobiet, które mają obsesję na punkcie filmów?

– Nie wiem – zacięłam się. „Jesteś, jesteś, kłamczucho”. –Chyba troszkę tak.

–Aha. – „Zła odpowiedź, Holly!” – Ja nie jestem znawcą kina.

–Ja też nie.

„Znawca kina” brzmi tak profesjonalnie, jakbym oglądała czterogodzinne koreańskie dramaty. Nie lubię ambitnych dzieł. Wolę zwykłe filmy. Drogie hollywoodzkie produkcje.

– Tak czy inaczej to tylko fantazja. Wolę prawdziwe życie. Jak można coś takiego zarejestrować na taśmie? Przyroda jest doskonała sama w sobie. Nie potrzebuje wiernych odwzorowań ani ulepszeń w sztuce.

Oho, pan artysta uznał, że powiedziałam coś dziwnego i dziecinnego.

– Nie wiem... Chyba zawsze tak robię. Fotografie czy film można zachować na zawsze, a przyroda jest ulotna, zmienia się. Chciałam tylko powiedzieć, że księżyc jest dziś taki duży i nabrzmiały, niemalże surrealistyczny. A jutro się skurczy i znów stanie się taki jak zwykle.– Nie jestem pewien, czy zrozumiałem – odparł.

– Po prostu czasem widzę coś, pewnie to zabrzmiało dziwnie, no, niemal boleśnie pięknego. I to przeminie, a nie istnieje maszyna do cofnięcia czasu.

– Wolałbym się nigdy nie cofać. Życie powinno iść do przodu.

– Aha – przyznałam bez przekonania. —Jak... teraz, na przykład.

John zatrzymał się, objął mnie, przyciągnął do siebie i znenacka pocałował. Zakręciło mi się w głowie. Jak z Nickiem. Pocałunek, poza trwającym dekadę małżeństwem, wciąż był dla mnie nowością. Poczulałam się młoda i pożądana. Oraz wystraszona. Trzymał mnie w mocnym, niepokojąco silnym uścisku. Chłopięca twarz i dłonie Tima były zupełnie inne – ręce Johna, seksownie poprzecinane żyłami, błędziły po mnie desperacko, i choć jego pocałunki oszałamiały, wyobraźnią odpłynęłam do obrazów jego ciała, naprężonego, choć zniszczonego. John, który nigdy nie był żonaty, pewnie miał mnóstwo doświadczeń i teraz czułam w jego dotyku te wszystkie kobiety, które pieścił swoimi dłońmi. Zapomnij o głupiutkich „bazach” i niezobowiązujących pocałunkach z facetem dobiegającym pięćdziesiątki – randki bez bzykania najwyraźniej nie wchodziły w grę na tym etapie życia. Chociaż czasem pragnęłam być jak Kiki, nigdy nie

poszłam z nikiem do łóżka bez poczucia, że łączy nas głęboka więź. Wymamrotałam, że jestem trochę zmęczona, zmarznięta i chciałabym wrócić do domu. Lekko zaskoczony, uprzejmie zatrzymał taksówkę. Zaproponował, byśmy po drodze wpadli do niego i znów pochylił się do pocałunku. To było miłe, ale nie oszalałam z pożądania na tyle, by nie zobaczyć bystrych oczu taksówkarza we wstecznym lusterku, co mnie trochę krępowało. John najwyraźniej niczego nie zauważył albo go to nie obchodziło. Jego dłoń zsunęła się po mojej szyi w dół, do górnego guzika płaszcza, zręcznie go rozpiął, drugą dłoń przesuwając w dół pleców, aż znalazłam się w istnych kleszczach. Całował policzki i szyję, łaskocząc podniecająco. Właśnie tego potrzebowałam. Drżąca i rozgrzana topniałam w jego namiętym uścisku.

– Powiedziałem: na szóstą! *Comprende?*

Warknął na kierowcę, przygryzając moją szyję. Ooo...

Facet nawet nie był Latynosem. Wybuch trwał sekundę, po czym usłyszałam, że jestem piękna.

– Holly... – wychrypiał i rzucił się na mnie.

Całowaliśmy się, ale dlaczego do Araba mówił po hiszpańsku? Wskoczyłam pod domem z taksówki i pobiegłam na górę prosto do łóżka. Czulałam się oszołomiona, myśli wirowały mi w głowie, gdy spojrzałam na telefon. Może Kiki już wróciła do domu?

– Dałaś mu mój numer!? Naćpałaś się czegoś!?

– Chodzi ci o Lyle'a Spence'a? Już do ciebie dzwonił?

– Dwa razy! Co ty sobie wyobrażasz? Zgoda, rozdaję numer na prawo i lewo, ale to ja decyduję komu. Ten koleś może być seryjnym mordercą.

– Nie przesadzaj. Może seryjnym uwodzicielem. Zrobiłaś na nim wrażenie.

– Właśnie taką nowinę zostawił mi na sekretarce. Drań. Jest zabójczo przystojny, to prawda, nie cierpię piękniśków. Jak ci się udał wieczór?

Zasypałam ją wszystkimi szczegółami o zapierających dech w piersiach pocałunkach i komplementach. Na koniec stwierdziłam, że jednak John Taplett, posiadacz mamuciego penisa, nie jest tym jedynym.

– A kogo to obchodzi? – odparła prawie ze śmiechem. – Nie potrzebujesz teraz księcia z bajki, Holly. Potrzebny ci facet na jedną noc.

– Wątpię. Przywiązuję się. Może nie w stylu Glenn Close, ale jestem uczuciowa. Poza tym pytam: po co tracić cenny czas, skoro nie daje nadziei na stały związek?

Kiki milczała przez dłuższą chwilę.

– Naprawdę nie rozumiem, jak chwilę po rozwodzie możesz tak beztrąsko mówić o więzieniu, jakim jest małżeństwo? Skąd ta pewność, że nie zostanie następnym twoim panem i władcą?

– Nie wiem. Jest seksowny, bardzo pewny siebie, ale nie czuję się przy nim tak swobodnie ani bezpiecznie jak z Timem.

– Holly, mam dla ciebie wiadomość: to dwaj całkiem inni faceci! Jednym z nich jest twój mąż, z którym przeżyłaś długie lata, a z drugim zaliczyłaś jedną randkę. Nie porównuj – mówimy o dwóch zupełnie różnych rzeczach! Nikt nie może po jednej nocy być ci tak bliski jak Tim.

Gdy leżałam w łóżku, próbując zasnąć, zrozumiałam, że miała rację. Modliłam się tylko, aby widmo mojego małżeństwa nie przeszkadzało nawiązać nowych więzi.

## *Rozdział 28*

*Każda kobieta powinna mieć cztery zwierzątka: norkę w szafie, jaguara w garażu, tygrysa w łóżku i osła, który za to wszystko zapłaci.*

**ZsaZsa Gabor**

Następnego dnia po szkole klasa Milesa spotkała się w domu Teddy'ego i Millicent Loganów. On był właścicielem Hexagon Capital. Nalewałam sobie właśnie grzany cydr, gdy podeszły Mary Grassweather i Emilia d'Angelo, podczas gdy mój syn dreptał z jakimś mieczem Nerf.

– Powiedz, Holly... Co słysząc? – spytała Mary dosłownie przypierając mnie do ściany. – Jakieś... randki?

„Nie twój interes”, chciałam powiedzieć, ale ugryzłam się w język.

– Och, jeszcze nieprędko... – skłamałam.

– Naprawdę? No wiesz, czas z powrotem dosiąść konia – droczyła się ze mną Emilia śpiewnym tonem.

– Powinnaś działać, póki czas! — dodała Millicent, puszczając do mnie oko. – Dziś faceci wolą dwudziestolatki! – Gdzie znaleźć któryś z kijów do polo jej nadętego męża, kiedy był mi potrzebny?

– Nie spieszy mi się. Świetnie sobie radzę.

– W porządku, tylko nie czekaj za długo! – poradziła mi Mary poważnie. – Znamy mnóstwo miłych facetów, z którymi pracuje Teddy w funduszu, więc możemy cię umówić. – To zabawne, z góry założyły, iż fundusz będzie dla mnie kocimiętką, podczas gdy w rzeczywistości był cyjankiem potasu,

– Dzięki... – Nie, dziękuję.

– Powiedz tylko słowo!

Nigdy.

Wyswobodził mnie pęcherz. Ruszyłam do toalety, ale zanim dotarłam do przedpokoju, Posey dotknęła mojej ręki.

– Cześć, Holly – powiedziała z nieco smutną miną.

– Cześć, Posey – odparłam ze stoickim spokojem. Wciąż czułam żal, że od rozstania z Timem Posey nie odezwała się do mnie ani słowem.

– Posłuchaj... Naprawdę źle się z tym czuję – oznajmiła ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Brakuje mi ciebie i zachowałam się nie fair...

— Nie rozumiem? – spytałam swobodnie. — Po prostu... Wiem, że spędzałyśmy kiedyś ze sobą mnóstwo czasu i że ta zmiana... Pewnie jest ci ciężko, a mnie przy tobie nie było.

W końcu to przyznała.

– Posey, wszyscy jesteśmy zajęci, nic się nie stało.

– Nie o to chodzi. Po prostu czuję się okropnie, ale powiedziałam mężowi, że chcę cię zaprosić, żebyś poszła z nami do teatru, a on odpowiedział, no wiesz, że robi interesy z Timem i twoim szwagrem, byłym szwagrem, nieistotne... W każdym razie stwierdził, że czułby się niezręcznie w sytuacji, gdybym przyjaźniła się z tobą, podczas gdy on jest tak... uwikłany finansowo z braćmi Talbott, i po prostu czuję się strasznie.

Ach. Zakazana przyjaźń! Jak ja i Kiki. Ale w przeciwieństwie do Posey zrobiłam to, co uważałam za stosowne, to, co dyktowało mi serce, a nie mój mąż.

– Postąpisz, jak będziesz musiała, Posey. Nie przejmuj się...

– Tak mi przykro. Jeśli chciałabyś kiedyś pogadać...

– Dziękuję – odparłam, zmuszając się do uśmiechu. Widzisz, laleczko – myślałam złośliwie – płaczesz się i nie umiesz skończyć zdania. A może

wprost powiedz.– *Jeśli chciałabyś kiedyś pogadać, nie dzwoń do mnie, bo mój mąż tak bardzo wlaź w tyłek twojemu eks i ubóstwia robić z nim kasę, że skazaliśmy cię na banicję za złamanie zasad!* Super.

Uśmiechnęła się, ściskając moje ramię. Poszłam do łazienki, starannie zamknęłam drzwi i wypuściłam powietrze. Stało się dokładnie tak, jak przewidywałam. Zostałam wyrzutkiem! Dziwne, możesz czuć coś instynktownie, ale zignorować jako paranoję, lecz gdy zderzysz się z zimnym twardym faktem, kiedy masz dowód, że ludzie uważają cię za zepsuty towar, ukłucie wraca. To jak w przypadku Sunny von Bulow, która doskonale wiedziała, że Claus pieprzy się ze swoją panienką, ale dopiero ich listy miłosne na progu jej domu sprawiły, że wpadła w szal.

Nagle w tej urządzonej z przepychem łazience dotarło do mnie: wszyscy w Nowym Jorku albo robili interesy z Timem i Halem, albo chcieli robić, więc już nigdy nie odzyskam wstępu do tego kręgu. Nie żebym tego chciała. Ale bycie hedgingową żoną pomagało zbierać pieniądze na cele dobroczynne, wypełnić socjetą wielką salę w St. Regis podczas balu na rzecz szpitala. Teraz nawet nie mogłam marzyć o działalności charytatywnej jak dawniej! No to co. Wykopali mnie z elity Wall Street. Prawdę mówiąc, nie miałam z tym problemu. Być może inne kobiety umarłyby na moim miejscu. Bez pieniędzy, wystawnych przyjęć, życia „na odpowiednim poziomie” uschłyby jak badyle! I właśnie dlatego, nieważne, co ich mężowie wyczyniali „na boku”, jak to określiła Sherry Von, nic nie widziały i nic nie słyszały w obawie, że zakłócą delikatną konstrukcję swojego życia „wprost ze snu”, jak głosiły nieraz tytuły kolorowej prasy.

Przyglądałam się tapecie Brunshwig & Fils i kinkietom z Hinsen na ścianie przede mną. Zapach świeczki Vie Luxe Palm Beach unosił się w powietrzu. Spojrzałam na ręczniki do rąk, ułożone niczym mali żołnierze w idealnym rzędzie, bez najmniejszej fałdki, ze starannie wyszytymi połączonymi literami monogramów. Naprawdę świetnie potrafiła wykorzystać hedgingową forszę.

Gdy wytarłam ręce, zastanowiłam się nad słowami Emilii. Czułam, że powinnam zabrać się do dzieła, tego wymagała strategia, ale z drugiej strony: czy miłości trzeba szukać? Czy nie powinna sama stanąć ci na drodze? Moja mama zawsze powtarzała: jeśli twoje życie będzie interesujące, ktoś zechce do niego dołączyć. A jeśli zostałam na swojej własnej ścieżce, zamiast podążać wytyczonym śladem, i tak będę szczęśliwsza. Wiedziałam, co muszę zrobić: znaleźć pracę. I jak najszybciej zwinąć się z tej imprezy. W tym momencie moja ścieżka wiodła od tych wszystkich sztywnych żon bankierów dokoła wprost do „kucharczyna”.

## ***Rozdział 29***

***Alimenty – łaciński termin oznaczający wyjęcie portfela mężczyzny za pomocą jego genitaliów.***      **Robin Williams**

Następnego wieczoru wybrałyśmy się z Kiki na kolację w II Buco na Bond Street. Jestem pewna, że zjadłam cały krążek sera. Zajęłyśmy przytulny mały stolik z tyłu sali i popijałyśmy pyszne bordeaux, śmiejąc się ze zwariowanych klientów Kiki, na przykład sklepu z bielizną przy Madison, gdzie sprzedawano wibratory po sześćset dolarów.



– Wyobraź sobie te żony gości od funduszy, które wchodzą obejrzyć koronkowe stringi i staniki, a wtedy ich wzrok pada na megafiuty. Depresja poporodowa znika bez śladu – genialne! – pisnęła i uderzyła w blat stołu.

Poczułam, jak serce schodzi mi do żołądka. Och, nie, oni szli w naszą stronę.

– Co się stało? – zapytała Kiki, marszcząc brwi. Podniosła wzrok i zauważyła Loganów oraz Grassweatherów zmierzających do stolika obok. No to cześć. Z głowy radosny wieczór i niecenzuralne żarciki.

– Och, dobry Boże! Holly Talbott! A co ty tu robisz?

Widać bywanie w centrum też wpisano na listę moich zakazów. Oni całkiem utknęli w świecie Upper East Side. Wyraźnie przekroczyłam ustalone zasady.

Teddy Logan nie odrywał oczu od Kiki, a Millicent patrzyła na nią z wściekłością. Po rundzie powitań stało się jasne, że nasz mały stolik dla dwóch osób musi pomieścić sześć, ku niezadowoleniu kobiet. Ich mężowie jednak nie ukrywali zadowolenia z obecności świeżej krwi, zwłaszcza tej krążącej w gorących żyłach Kiki.

–Świętujemy dzisiaj! – oznajmiła Millicent, promieniejąc. – Nasza córka Penny wygrała dzisiaj konkurs jeździecki! Jesteśmy obłędnie szczęśliwi! – dodała z dłonią na piersi. – Przez cały dzień byliśmy w Millbrook i patrzyliśmy, jak skakała –wprost niewiarygodnie zdolna.

– Gratulacje – powiedziałam potulnie. Spojrzałam na jej męża, który całkiem się wyłączył i najwyraźniej za cholerę nie interesowały go sukcesy Penny.

– Ten koń jest po prostu niezwykły. Jedna z koleżanek Penny ze Spence pomogła nam go wybrać. W przyszłym tygodniu lecimy do Argentyny na kolejną aukcję.

– Ile koni już macie? — zapytała Kiki, kopiąc mnie pod stołem ostrym szpicem buta.

– Pięć... wkrótce będzie ich sześć. Diamond Horseshoe, Shining Starburst, Gideon's Rainbow, Flaming Rubies i Mike.

Kiki wypluła czerwone wino z powrotem do kieliszka. – Mike!?

Millicent nic nie rozumiała

– Owszem. Na cześć zmarłego masażysty Shining Starburst.

Wierciłam się na krześle, ponieważ naprawdę sądziłam, że Kiki się nie pohamuje. „Nic nie mów, proszę. Nic nie mów...”. Bez szans.

– Przepraszam, ale czy właśnie powiedziałaś, że wasz koń ma swojego masażystę!?! – parsknęła Kiki. Śmiała się histerycznie. –Ja pieprzę! Wasz koń chodzi na masażu!

– No cóż... One naprawdę ciężko pracują.

– Jasna cholera, kucyk ma lepsze życie niż ja! – zawyła Kiki, podnosząc kieliszek. – Za Starburst Rainbow! Super.

Teddy Logan się uśmiechnął.

– To samo powtarzam Millie przez cały czas! – zakpił. – Rachunki za samą terapię Diamond Horseshoe są astronomiczne!

–Terapię? – zapytała Kiki, zaśmiewając się. – Dla konia? Uzależnił się od koniaku?

Świetnie. Teraz w zмовie z Kiki beczelnie drwili z jego żony.

–To była rehabilitacja po tym, jak się potknął – uściśliła zbulwersowana Millicent.

– Może powinniśmy coś zamówić – zasugerowała Mary, próbując zmienić temat.

– Dobry pomysł – dodała Millicent i zasłoniła twarz kartą.

– Powinniście spróbować pasztetu z koniny, wyborny – zaproponowała Kiki, dając dowód, że wypłała za dużo wina.

Panowie się roześmiali, ale ja zachowałam pokerową twarz, wiedząc, że za to wszystko zapłacę, kiedy w przyszłym tygodniu zacznie się szkoła.

Po kilku nieudanych próbach wreszcie zdołałam wyciągnąć Kiki z restauracji i uwolnić od niezręcznego towarzystwa przy kolacji. Zmęczona napiętą sytuacją wręcz ucieszyłam się na widok szczura przemykającego po chodniku Bond Street. Symbolizował środowisko, które niedawno mnie wypłuło – wstrętny gryzoń na najdroższej ulicy świata. Nic mnie to nie obeszło.

– Kiki, jak mogłaś mi to zrobić? Muszę się spotykać z tymi ludźmi codziennie!

– Oj przestań, wyluzuj – odparła ze śmiechem. – Boże, te żałosne kobiety mają kije w dupie. Nudziary. Zachowują się jak starsze panie! A ile mogą mieć, pod czterdziestkę? Wyglądają jak emerytki, w tych dzierganych ciuchach z St. John.

– Nieważne. Muszę mieć z nimi kontakt, a twoje komentarze ich nie bawiły.

– Ich mężów owszem – zaprotestowała i puściła do mnie oko.

– No cóż, to tylko pogarsza sprawę.

– Nie słyszały, co mówiłam – broniła się.

– Kiki, mam dla ciebie nowinę: Marsjanie na czerwonej planecie słyszą twój tak zwany szept.

– Przecież nie powiedziałam nic złego!

Nie miałam siły jej tłumaczyć. Cała Kiki. Bywała kłopotliwa, ale uwielbiałam ją. Czasem żałowałam, że nie mam dla niej gustownego knebelka, czegoś w stylu masek przeciwko SARS produkowanych przez Burberry, ale wiedziałam, że jej nieskrępowana szczerość jest darem, który wzbogacał moje życie, mimo że czasem chciałam ją wyłączyć podczas kolejnej głośnej tyrady.

Przeszliśmy w milczeniu kilka przecznic na północ, do Mermaid Inn, gdzie Nick był zastępcą szefa kuchni. W pustej restauracji tylko jedna głośna grupka rechotała na tyłach sali, więc usiadliśmy przy barze, czekając na zamknięcie lokalu.

– Przepraszam cię – powiedziała Kiki, kładąc dłoń na moim ramieniu, gdy siedzieliśmy obok siebie na tapicerowanych stołkach barowych. – Chyba mnie czasem ponosi, a to ty musisz potem bujać się z tymi nudziarzami.

Uśmiechnęłam się i wybaczyłam, jak zwykle. Podeszedł kelner.

– Mamy dzisiaj specjalną propozycję deseru: Jamaican Me Crazy – zaproponował żarliwie. – To ciasto budyniowe z anansem, kandyzowaną skórką pomarańczową i mrożonym kremem kokosowym.

– Nie, dziękujemy – odparła Kiki. – Już zamówiliśmy. — A gdy odszedł, dodała – Zrzygałabym się na sam widok.

Pojawił się Nick; wyglądał przeuroczo w białym kucharskim fartuchu.

–Jeszcze chwilkę – powiedział. – Przy tamtym stoliku jacyś zalani bankierzy dręczą naszą hostesę, musimy się upewnić, że wszystko z nią w porządku, zanim zamkniemy lokal.

– Yyy – skwitowała Kiki, zerkając, co się dzieje w tamtej części sali. Szybko odwróciła głowę. Za późno.

–NIE WIERZĘ! Kiki Talbott, to ty? – ryknął męski głos. Przyłapali nas. Mark Webb zbliżał się chwiejnym krokiem, zalany w trupa.

– Hej, czy to nie Holly? Suuuper!

– Znacie tych gości? – spytał szeptem Nick.

–W pewnym sensie – odparłam, marząc o tym, by dać nogę.

– Muszę iść do łazienki – oznajmiła Kiki, odsuwając się od Marka, i jeszcze dwóch balangowiczów z roleksami na nadgarstkach, którzy do niego dołączyli.

–Ja też... – Ruszyłam za nią.

Ale Mark chwycił mnie za rękę.

– Co ty tu robisz, Holllly?

Wyrwałam nadgarstek z jego dłoni.

– Spotykam się z przyjaciółmi.

–Aha... Dobrze ci się wiedzie? Stęskniłem się za tobą. –W pijackim geście pochylił się do mnie. Poczułam zapach wina z jego ust.

– Chodź, napij się z nami – zaproponował. – Mamy petrusa, pięć patoli za butelkę.

– Nie, dzięki – odmówiłam, kierując się do łazienki.

– Holly, wiesz, zawsze mi się podobałaś... – wykrzywił usta w uśmiechu i mrugnął porozumiewawczo.

– Sądziłam, że mój były mąż jest twoim najlepszym kumplem – odparowałam, cofając się. – Zresztą, podobają ci się chyba wszystkie kobiety.

– Au! – jęknął zranionym tonem. Po czym prychnął, wystawiając pazury jak kot. Potworność.

Kiki wyszła z łazienki.

– Wychodzimy – zakomenderowała.

Nick z kurtką w ręce ruszył za nami.

Zajrzeliśmy na chwilę do Marion's, gdzie przekrzykując hałas, wrzasnął mi prosto do ucha:

– Co powiesz na to, żebyśmy się zwinęli?

Aha. Nadszedł ten moment: do mnie czy do ciebie? Niestety nie było wyboru. Przynajmniej na razie „do mnie” odpadało. Sąsiedzi i portier ciągle widzieli we mnie żonę Tima. Nie zamierzałam dostarczać im sensacji.

Wylądowałam w Chinatown i wspinałam się teraz po zewnętrznych schodach sześciopiętrowego budynku nad restauracją, przed którą wisiały rzędem martwe kaczki pekińskie zawieszane błoniastymi łapami do góry. Chyba zauważyłam też prosiaka, ale odwróciłam głowę od wystawy zwłok, zanim zdążyłam się upewnić, że widziałam ryjek. Ulicę spowijał nieznośny smród.

***Nie jestem snobką. Nie jestem snobką.***

Chyba osiągnęłam Mount Everest, wędrując za Nickiem, i co chwila kiwnięciem głowy potwierdzając, że nie padnę zaraz trupem (co piętro pytał, czy wszystko w porządku, bo sapałam jak lokomotywa), aż wreszcie dotarliśmy do drzwi jego mieszkania.

– Współlokatora nie ma, więc mamy chatę dla siebie – oznajmił, otwierając drzwi. Kiedy pstryknął światło, zauważyłam karalucha wielkości hondy civic przemykającego po podłodze.

– Aaaa! – wrzasnęłam, wbijając paznokcie w ramię Nicka.

– Nie przejmuj się, nic ci nie zrobi.

Marna pociecha. — Wiem, że nic mi nie zrobi. Ale jest obrzydliwy.

– Nie martw się. On się bardziej boi ciebie niż ty jego.

Po tych słowach zdeptał go butem. Trzask pękającego pancerza słychać było chyba na Piątej Alei. Ohyda. Rozejrzałam się po pokoju, szukając innych. Jeśli pojawił się jeden, zapewne były ich miliony. Ani śladu. Tylko plakat Sex Pistols, fotel i kanapa w stylu Urban Outfitters, telewizor, pusta butelka po winie i porozrzucane buty.

— Chodź do mnie – mruknął Nick wyciągając ręce.

Pocałowałam go i wylądowaliśmy na kanapie. Przeczesał palcami moje włosy, gładził po piersiach. Gdy pieszczoty stały się odważniejsze, przeraziło mnie te sześć lat, które nas dzieliły. Czułam się jak starsza pani uwodząca młodego chłopaka, a jego gwałtowne pragnienie powinno kierować się do jakiejś gorącej laski tańczącej na rurze. Podniecony mamrotał czule słówka, a ja czekałam, kiedy zauważy białe poporodowe rozstępy na udach. W przeciwieństwie do Kiki, szczyłającej się najlepszym ciałem po tej stronie rzeki Hudson, byłam zniszczona, nie tylko przez ciążę, ale i przez życie. Chwilę później właśnie ściągano mi przez głowę sweter alice+olivia, więc zostałam całkiem wystawiona na światło lampy od Crate and Barrel.

Nick całował moją szyję i piersi. Łaskotało. Śmiałam się, gdy całował mój obojczyk. Moja skóra była nieprzyzwyczajona do takiego stylu gry wstępnej. Znów poczułam łaskotanie na piersi – och, ależ miał delikatny dotyk! – i chichotałam, a on całował mnie, aż... Zdałam sobie sprawę, że dotyk... nie przypominał palców. Otworzyłam oczy, uniosłam głowę i

spojrzałam w dół. To nie były palce na mojej lewej piersi, ale ogromny, spasiony karaluch.

Drąc się tak głośno, jakby budynek stanął w płomieniach albo jedna z kaczek u Chińczyka zmartwychwstała i zaczęła fruwać po restauracji na dole, zerwałam się z kanapy, w skrajnej hysterii skakałam, podrygiwałam, strzepywałam z siebie robactwo, jakby pełzało po całym moim ciele.

– Uspokój się... Uspokój, już dobrze... – prosił Nick z zimną krwią, że zrozumiałam od razu, jak często miewał takie sytuacje i radził sobie z nimi beztroskim machnięciem miotelki do kurzu, która zmaterializowała się pod fotelem.

– Nie jest dobrze... Wcale nie jest... Ja... – Musiałam stamtąd wyjść. – Naprawdę cię lubię, ale... Ja... Muszę już iść... Przepraszam cię.

Po tych słowach z prędkością bolida w Le Mans włożyłam sweter (uprzednio energicznie go otrzepawszy) i wybiegłam na mróz w poszukiwaniu taksówki pośród woni sosu sojowego wypełniającej nocne powietrze.

## ***Rozdział 30***

***Jedyna różnica między małżeństwem a więzieniem polega na tym, że więzień kiedyś kończy odbywanie kary.***

Przez kilka kolejnych dni Kiki była bardzo zajęta w pracy, ale gdy w końcu się do niej dodzwoniłam, opowiedziałam o zabawie z karaluchem na biuście.

– Chcesz powiedzieć, że zerwałaś z nim z powodu owada?



– Całego stada owadów. A poza tym nie byliśmy parą, więc nie mogłam zerwać...

– Wiesz, co mam na myśli. Kiedy Tim przyjedzie po Milesa?

– Za godzinę.

Byłam wrakiem człowieka. Wszyscy wokół powtarzają, że święta to sezon samobójstw. I choć nie planowałam w najbliższym czasie użyć stryczka, świadomość, że moje dziecko spędzi ferie z okazji Święta Dziękczynienia razem z ojcem, wyrwała mi głęboką dziurę w żołądku. Nie żebym naprawdę chciała uczestniczyć w koszmarze u Sherry Von, gdzie wszystkie posiłki przygotowuje służba, bez duszy, ciepła ani wyobraźni, a nastroju nudy i napuszenia nie zmieniają nawet piękne świece wotywno Huberta i kompozycje kwiatowe na stole – ale tęskniłam za Milesem. Szczerze mówiąc, nigdy nie byłam sama w Święto Dziękczynienia. Tata popłynął w rejs, a przyjaciele spędzali ten dzień jak wszyscy normalni ludzie z rodzicami, teściami lub dalszą rodziną. Na całym świecie chyba tylko Kiki i ja zostałyśmy same. Zamierzałyśmy wybrać się gdzieś razem i pobawić, a zarzuciła mi pętlę na szyję.

– Wiesz, jeśli chodzi o Święto Dziękczynienia... – zaczęła zabawnym tonem, którego nigdy u niej nie słyszałam. – Może byśmy zrobiły coś innego? Podkręciły trochę nasze plany?

– Ale w jaki sposób?

– Wiesz... Parę dni temu wróciłam z biura chyba o dziesiątej w nocy i zadzwonił telefon. Lyle Spence.

– NIE! Prześladowuje cię?

– Właściwie to nie bardzo. Najpierw usiłowałam go splawić, ale nic ciekawego nie było w telewizji, nawet na Skinemax, więc zaczęłam z nim rozmawiać. I tak przez trzy godziny.

–Naprawdę? Poważnie?

– Holly... On jest fantastyczny. Trudno w to uwierzyć. Jest naprawdę super – zauważyła niemalże nieśmiałym tonem. (Kiki nieśmiała? W życiu!)

– Spotkaliśmy się następnego dnia i cudownie się bawiliśmy... Przespałam się z nim. Było wspaniale. I naprawdę go lubię.

–Nie...

– Tak! Jestem równie zaskoczona jak ty. Przecież w ogóle go nie znam, a mimo to... lubię go. Wypytałam go o ten cały zwariowany świat sztuki, nienormalnych klientów z funduszy hedgingowych, o wszystko... Było super.

Nigdy nie mówiła z taką czułością,

–No i!?

– Mieszka w Central Park West, na trasie parady. Mówi, że Garfield zahacza nosem o jego okno. Co roku wpadają do niego różni ludzie. Podobno fajne towarzystwo. Znajomi, klienci, około pięćdziesięciu osób... I nas też zaprosił!

– Naprawdę? – Pomyślałam, że może być fajnie. Co roku oglądaliśmy z Milesem paradę w telewizji. Dołączące byłoby samotne patrzenie na Matta Lauera, skoro mogłam zobaczyć akcję osobiście. – Dobra, czemu nie.

Poszłam do pokoju synka i usiadłam obok niego, żeby pomóc mu spakować torbę. Rano zrobiliśmy razem naleśniki z czekoladą i pokaleczyliśmy dłonie, wycinając indyki z bristolu. Powiesiłam jego dzieło

na lodówce i podczas gdy chłonał weekendową dawkę kreskówek na Nickelodeonie, wzięłam swoją figurkę i napisałam na niej:

Mój najukochańszy Milesie!

Już za Tobą tęsknię, ale wiem, że czeka Cię wspaniałe Święto Indyka. Kocham Cię bardzo i dziękuję losowi, że mi Cię dał, moja miłości.

Całuję,

Mama

Włożyłam indyka do torby i zapięłam ją, a gdy usłyszałam dzwonek, zesliśmy na dół, żeby zostać razem do chwili, gdy odjedzie samochodem Tima.

W holu zauważyłam, że Tim zmieształ się na mój widok. Nie rozumiałam dlaczego do chwili, gdy wyszliśmy załadować worek żeglarski Milesa do bagażnika. Na siedzeniu pasażera rezydowała Avery. Niszczycielka rodzin. Uparcie wpatrzona w pokrytą kroplami deszczu przednią szybę, aby uniknąć nawet przypadkowego kontaktu wzrokowego z odrażającą byłą żoną, wyglądała jak figura woskowa z gabinetu Madame Tussaud. Udałam, że jej nie widzę. Choć wiedziałam, że nie zniknęła z życia Tima, to jej udział w tak rodzinnym święcie zabolął jak diabli. Pal licha, że sama szłam na jakąś przypadkową imprezę do obcych ludzi z łaski Kiki, ale przynajmniej Miles powinien być w centrum uwagi ojca, a nie ta zdzira. Dobra: oddychaj. Staralam się zachować spokój.

– Hej, kolego! – zawołał Tim i przytulił syna. – Gotowy na wspaniałą weekend?

Miles odwrócił się do mnie. Uklęklam obok niego, próbując powstrzymać łzy.

– Bądź grzeczny, cukiereczku – powiedziałam, ujmując jego buzię w dłonie.

– Kocham cię, mamó. Wesołych świąt. – Objął mnie i poczułam łzy wypalające siatkówkę moich oczu, ale powstrzymałam je. Gdy mały poszedł do samochodu, Tim, znał mnie przecież dobrze, zauważył zaczerwienione oczy i pochylił się.

– Holly, tak mi przykro. Myślałem, że wejdę po niego na górę.

– Nic się nie stało, naprawdę – odparłam, modląc się o zachowanie spokoju.

– Wiem, że to musi być dla ciebie trudne. Czuję się... okropnie, widząc, że ci przykro...

Świetnie. Ze wszystkich obciążeń, z którymi musiałam się uporać, jego współczucie było niczym plecak pełen ołowianych kul, za ciężki, by go unieść.

– Wszystko w porządku, Tim. Co się stało, to się nie odstanie, prawda?  
– Czułam narastające zniecierpliwienie i żal. – Bawcie się dobrze – dodałam szczerze, a Tim uśmiechnął się blado. W jego oczach widziałam poczucie winy, ale gdy odeszłam, wskoczył do samochodu, wcisnął gaz i zabrał mojego syna w wieczorny mrok. Poczucie straty, bo zabierano mi Milesa, od teraz miało być gorzką pigułką, do której przelknięcia będę musiała przywyknąć.

Wróciłam do windy, powolnej i ociężałej. Kiedy wreszcie dojechałam na górę, chwiejnym krokiem wróciłam do mieszkania i opadłam na kanapę.

Kilka godzin później, ledwo zasnęłam, zadzwonił telefon. To był John, który zastanawiał się, czy jestem wolna w następny wieczór. Ponieważ był to wtorek jak każdy inny i nie miałam nic innego w planach, zgodziłam się z nim spotkać. A po igraszkach wśród karaluchów z młodocianym kucharzem dorosły facet mógł się okazać dokładnie tym, czego potrzebowałam: antidotum na moje uciechy z młodzieniaszkiem i samotność po wyjeździe synka.

## *Rozdział 31*

*Wielu mężczyzn zawdzięcza sukces swojej pierwszej żonie, a drugą żonę – sukcesowi.*

**Jim Backus**

Następny dzień był wyjątkowo ciepły jak na tę porę roku, więc Kiki namówiła mnie na jeden z naszych szalonych spacerów po parku, gdzie często chadzałyśmy, gdy mieszkała na przedmieściach. Trzy razy okrążyłyśmy staw albo pokonywałyśmy ścieżkę do jazdy konnej, a potem szłyśmy na lunch tak obfity, że nadrabiałymy wszystkie spalone kalorie z nawiązką.

– Mam pomysł – oznajmiła z rozpromienioną miną. — Chyba znalazłam dla ciebie pracę.

– Naprawdę? – Byłam mile zaskoczona. – Jaką?

– Znów pisałaś o muzyce. Ale nie dla gazet: pracowałabyś z moją znajomą, Randy, która jest szefową działu PR w Celestial Records, pisze materiały reklamowe. Mogłabyś to robić przez sen. A poza tym to fajne zajęcie!

– No, no, Celestial Records. To firma tych dwóch braci, Noaha i Seana Greene'ów?

– Zgadza się. To Weinsteinowie przemysłu fonograficznego. Zbudowali firmę od podstaw w ciągu ostatnich pięciu lat i zdobyli chyba z milion nagród Grammy.

– Zaraz... Czy to nie im wytoczono proces o jakieś okropne molestowanie?

– Tak, są paskudni, ale to geniusze. Tak czy siak, Randy jest świetna, ale za cholerę nie potrafi pisać. Opowiedziałam jej o tobie. Potrzebuje kogoś na pół etatu, kto może przygotowywać materiały prasowe, przełożyć dźwięki na słowa.

– Umiem to robić! –Przecież wiem! Poza tym to tylko trzy dni w tygodniu, więc wciąż mogłabyś oprowadzać te hedgingowe trutnie po pustych korytarzach szkoły Milesa.

– Och, może właśnie tego mi trzeba – zastanawiałam się, wyobrażając sobie zajęcie inne poza macierzyństwem.

– To jak, masz dzisiaj randkę z tym przystojniakiem? – spytała Kiki łobuzersko unosząc brwi.

Kiedy mi o tym przypomniała, poczułam lekkie podniecenie na myśl o zbliżającej się randce z gwarantowanym seksem. Ale mdliło mnie też trochę na tę myśl, więc zaczęłam się zastanawiać, czy w głębi serca nie mam ochoty zostać w domu.

Usiadłyśmy z zaróżowionymi policzkami i rozwianymi włosami w małej kawiarence przy Siedemdziesiątej Trzeciej. Wiedziałam, że muszę wydobyć od Kiki, ekspertki od spraw seksu, pewną radę. Czułam się jak nieświadomiona Jennifer Jason Leigh w serialu *Bez troskie lata w Ridgemont High*, która uczyła się fellatio na marchewce od Phoebe Cates.

–Kiki, czy ja... Czy ja muszę... przespać się dzisiaj z Johnem?

– Nie... Jasne, że nie. Dlaczego?

– Dziwnie jest tak tylko całować się na rogu ulicy. Po prostu czuję presję, bo nie randkowałam od czasów szkolnych. Czuję się taka dziecinna. Co mam zrobić, zająć się nim ręką?

–Wiesz, myślę, że nie możesz w ten sposób pieścić pięć–dziesięciolatka.

– Sama widzisz. Dlatego tak się boję! A poza tym on ma czterdzieści siedem.

– Na jedno wychodzi. Ale nie uważam, że musisz się z nim przespać.

–Naprawdę?

– No wiesz, ja bym to robiła, ale jak powszechnie wiadomo, jestem puszczalska. A ty... Ty jesteś taka niewinna. Całuj się z nim, a potem sama zobaczysz, jak się sprawy potoczą. Improvizuj.

– Improvizacja prowadzi do ciąży i chorób wenerycznych. Ja chcę to przemyśleć. Już się z nim całowałam, a poza tym czy ludzie właśnie tego nie robią? Przecież idą do łóżka! Ty idziesz.

– Ale to ja, co nie oznacza, że ty musisz. Powiedz mu, że nie chcesz się spieszyć.

– Och... To brzmi tak kiepsko. Jakbym była dziewczicą z liceum albo nawiedzoną religijnie panienką, która chce, żeby ją tylko przytulać. Nie chodzi o to, że robię z seksu problem, tylko nie wiem, czy jestem gotowa. Wciąż czuję się zraniona. o matko, jakie to żałosne. Może jednak powinnam się puścić.

– Holly, nie możesz planować takich rzeczy. Poddaj się nurtowi. Jesteś mądra, znasz siebie, wyczujesz sytuację. Zdaj się na instynkt. Nie kombinuj.

Kiki odprowadziła mnie do domu, cmoknęła na do widzenia i życzyła powodzenia. Dziwnie się czułam sama w mieszkaniu. Byłam tak przyzwyczajona do tupotu Milesa, tęskniłam za odgłosem jego małych stopek i widokiem świecących adidasów, gdy szedł korytarzem. Aby stłumić poczucie samotności, włączyłam Radiohead tak głośno, że zagłuszyło suszarkę, i zaczęłam przymierzać różne ciuchy. Poczułam się troszkę lepiej po nałożeniu makijażu, ale w taksówce, jadąc do Johna, zaczęłam snuć niebezpieczne porównania: Tim kontra John. Gdybym poślubiła Johna, Sherry Von miałyby rację—. John nie jest „tak dobry” jak Tim. Ludzie widzieliby nas na ulicy, trzymających się za ręce, i myśleliby, że wyszłam za mąż za pacjenta z geriatryka. Ale z drugiej strony John był bardziej twórczy i nie tak przyklejony do NFL. Moment. Co ja robiłam!? Przecież nie wychodziłam za Johna! Zwolnij, Holly.

Kiki miała rację. Byli zupełnie różni. Tim zawsze czuł się zagrożony, że miałam fioła na punkcie starszych facetów. Pół żartem mawiał, że gdybym go kiedyś zostawiła dla innego, byłby to zażywny staruszek, a nie młody ogier, co wiązał z moją otwartą obsesją na punkcie Jeremy'ego Ironsa i Ala Pacino. (PS Nie miałam jakiegoś dziwnego kompleksu tatusia, po prostu uważałam, że mądrość płynąca z wieku jest seksowna, a superprzystojni chłopaczkowie byli kompletnymi głąbami. Albo ich mieszkania były pełne karaluchów).

Gdy przyjechałam do pięknej posiadłości, mieszczącej mieszkanie i atelier Johna, wpadłam w prawdziwą paranoję. Przebywanie w jego domu nagle wydało się takie intymne, łóżko zaledwie o kilka kroków od nas. Ale gdy wchodziłam po schodach, uspokoiłam się, czując orgię zapachów z



kuchni i delikatne brzmienie muzyki klasycznej. John wychylił się przez poręcz.

–Tutaj!

– Cześć! Fantastyczny dom!

Dotarłam na górę i uściskaliśmy się. Trzymał w dłoni drewnianą łyżkę umaczaną w czerwonym sosie. Mieszkanie wysokie na dwadzieścia stóp z sufitem zdobionym oryginalnym gzymsem, jak mi wyjaśnił, stanowiło kiedyś część posiadłości Pulitzerów, która później została podzielona na wiele lokali. Dźwięki klawikordu w sonacie Bacha płynęły w półmroku po mieszczenia jakby ze sceny. Gdy sos zabulgotał na kuchence, wypełniając powietrze aromatem ziół, usiedliśmy na stołkach przy nieskazitelnie czystym blacie pośrodku kuchni.

– Lubisz pasta puttanesca?

– Tak. Uwielbiam włoskie jedzenie. Pewnie zjadłabym ludzkie mięso, gdyby było z marinara.

– Apetyczne – uśmiechnął się z sarkazmem. – Pikantne czy nie?

Przecież żartowałam! Nie jestem Hannibalem Talbottem.

– Może być pikantne.

Rozmowa jakoś nam nie szła, przecież oboje wiedzieliśmy, że przechodzimy przez program obowiązkowy, zanim dopadniemy się, szukając swoich ust, i urzeczywistnimy właściwy cel mojej wizyty. Chciałam przeciągnąć ten stan zawieszenia, oczekiwania, niepewności. Słowem, bardzo mi odpowiadało powolne wchodzenie w nastrój.

Przenieśliśmy ceramiczne miseczki z rukolą i pappardellami na stół i jedliśmy powoli wyjątkowo smakowite potrawy, popijając wybornym czerwonym winem. Starał się uszlachetnić tę libację, opowiadając ze

znawstwem o najszlachetniejszych trunkach, ale przypominało to ścielenie łóżek w płonącym domu: za grosz nie znałam się na winach. Wiedziałam, że to akurat mi smakowało, ale przy mojej słabej głowie urznąłabym się jednym kieliszkiem, więc przestałam pić, aby zachować przytomność umysłu. Deser (ciasto czekoladowe) postanowiliśmy oszczędzić na później. Oprowadził mnie po ogromnym, choć dwupokojowym mieszkaniu i atelier z przeszklonym dachem, gdzie na sztalugach spoczywały dwa kolejne, niewykończone akty. Otoczona jego ciągłą uwagą i delikatną opieką czułam się wyjątkowa, wyróżniona, jedyna. Położył dłoń na dole moich pleców, gdy szliśmy przez kolejne części domu. Syciłam się poczuciem bezpieczeństwa, oryginalnym wystrojem wnętrza i próbowałam poskładać w całość szczegóły jego życia.

Wydawał się samotnikiem – żadnych fotografii, żadnych zaproszeń opartych o lustro, tylko książki, książki i jeszcze więcej książek. Na płytach CD jedynie klasyka lub opery, co teoretycznie wydawało się pociągające, mimo że zupełnie nie w moim stylu. Chociaż Bach okazał się świetną nastrojową muzyką. Kto wie?

Tak trafiliśmy do sypialni i przez okno patrzyłam na migoczące światła miasta. Oczekiwałam. Czułam, że niedługo podejdzie do mnie. Zobaczyłam jego odbicie w szybie coraz większe i większe, objął mnie w talii. Pocałował w kark, aż przebiegł dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Odwrócił mnie i pocałował, a smak wina zmieszał się z zapachem świeżo umytych włosów. Potykając się, przeszliśmy niczym czteronożne ślepe zwierzę na łóżko i padliśmy na puchową kołdrę, całując się wariacko. Zdjął mi bluzkę, chwycił gorączkowo za piersi i uwolnił ze stanika. Chciałam go, pragnęłam każdym nerwem, ale... nie miałam ochoty na seks.

Pieściliśmy się, a klawikord grał słodko. Moje myśli gnały z prędkością światła. Bliskość fizyczna może tworzyć więź, znieść zahamowania i pomóc dwóm osobom poczuć się swobodniej, ale jakoś nie umiałam, nie potrafiłam pójść na całość. W czym tkwił problem? Gdy zaczął majstrować przy guziku spódnicy, powstrzymałam jego rękę.

–John, ja...

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak, tak... Ja... Może byśmy mogli nie... No wiesz... Nie robić tego.

Już w chwili, gdy to mówiłam, przeraziłam się. Gadałam jak pokręcona uczennica dziewiątej klasy.

– To znaczy... lubię cię – ciągnęłam – ale po prostu... nie czuję się gotowa. Jeszcze.

– Och. OK. Jasne.

Zgrzyt.

– Masz ochotę na deser?

–Uhm... Chętnie.

Przeszliśmy w milczeniu i nie wiadomo czemu, skradając się jak myszki, do kuchni. Włożyłam sweter bez stanika. Poszłam za nim i objęłam go na znak, że jest mi bliski, mimo że nie wskoczę z nim do łóżka. Ale on dalej nakładał deser. – Proszę.

– Dzięki! Wygląda bosko, John. – Wzięłam do ust spory kęs. –Pycha! Genialny kucharzu, ciasto jest fantastyczne!

– Dziękuję. – Widziałam, że moje komplementy są marną pociechą po ucieczce z wyrka. – Posłuchaj, John, przykro mi, jeśli dla ciebie to dziwaczna sytuacja. Naprawdę cię lubię i uwierz mi, ja... chcę... być z tobą i tak dalej, ale po prostu chciałabym się czuć gotowa, mam nadzieję, że ty...

– Jasne. W porządku. Też chciałbym, żebyś czuła się gotowa.

–Wspaniale. Dziękuję ci. Tak mi przykro. Po prostu... Szczerze mówiąc, minęło trochę czasu i chcę się czuć bezpieczna.

– W porządku... Oczywiście.

–OK.

– Masz ochotę obejrzeć film?

– Jasne...

Wróciliśmy do jego pokoju i zaczęliśmy skakać po kanałach, aż znaleźliśmy *Braveheart*. Przekonałam go, żebyśmy obejrzeli, mimo wpadek Gibsona w ostatnich latach. Długie włosy i barwy wojenne. Nie da się tego nie lubić. Zawsze moje dramaty życiowe wydawały się błahostkami w porównaniu z gwałtami *prima nocta* i krwawych pól bitew. Oto siła kina. Obejrzeliśmy cały film, rozmawiając trochę w trakcie. Właśnie miałam zasnąć (kiedy Robert the Bruce karał swojego chorego ojca z wielkim nosem za to, że ten zdradził Williama Wallace'a), kiedy John delikatnie poklepał mnie po ramieniu.

–Zadzwoń po taksówkę? Oczywiście możesz zostać tutaj...

Szczerze mówiąc, przerażała mnie myśl o wyjściu na mróz, ale wiedziałam, że wspólny poranek mógł być krępujący, więc wracałam taksówką do siebie. Ze stanikiem w torebce podeszłam do drzwi, a on pocałował mnie na pożegnanie, wsuwając mi dłonie pod sweter. Poczułam przyływ pożądania i o mało nie powiedziałam: „Chrzanić to, wracajmy do środka”, ale zamiast tego uśmiechnęłam się, pomachałam, po czym zeszłam na dół.

Dopiero w domu załapałam, że nie odprowadził mnie do taksówki. Tim zawsze wsadzał mnie do samochodu. Nie wypuszcza się nocą kobiety

samej w ten sposób! Na ulicy za każdym rogiem czyhają bandyci! Gwałciciele szwendają się grupkami uzbrojeni w noże sprężynowe i śrubokręty! Dobra, może nie na Upper East Side, ale mimo wszystko.

A poza tym: po jaką cholerę przeproszałam go za to, że nie poszłam z nim do łóżka? Miałam położyć się na plecach, bo dał mi jakąś pasta puttanesca? Czy pasta puttanesca nie oznaczała: „kurewski makaron”? Wiedziałam, że „puta” to po hiszpańsku „dziwka”. Jak on to zrobił, że musiałam go przeprosić za to, że nie rozłożyłam nóg? Nie ma powodu, żebym się z nim bzykała jak królicą, jest obcym facetem. Może nie jesteśmy stworzone do tego, aby kochać tak wielu mężczyzn? Czy to obowiązek ładować się w poważną więź, wynikającą z seksualnej bliskości? Zawsze czułam, jakbym z każdym zerwanym związkiem traciła część siebie, jakiś fragment niewinności. A teraz byłam zahartowana, brakowało mi czegoś, ale przerażała mnie myśl, że stracę kolejny kawałek. Z drugiej strony chyba trochę dziwaczyłam jednak, robiąc z d... kaplicę. Dookoła wszyscy bzykali się na potęgę i dawno minęły czasy, gdy kilku lub więcej partnerów seksualnych budziło przerażenie, popłoch i dawało kobiecie etykietkę dziwki. Czy potrafię sobie z tym wszystkim poradzić?

Nad ranem zasnęłam i obudziłam się w południe. Wyszłam do tej samej kawiarni, w której poznałam Johna, zamówiłam największe espresso i wróciłam do domu, gdzie czekała na sekretarce wiadomość od Johna.

Powiedział, że świetnie się bawił i że chciałby niedługo znów się ze mną zobaczyć: ..Mój brat ma farmę w Connecticut. Wspominałaś, że Miles jest u taty w tę sobotę, więc jeśli jesteś wolna, może pojechalibyśmy tam odpocząć. Daj znać. Cześć". Klik.

Słyszając jego głos tak szybko po spotkaniu, poczułam się trochę mniej samotna i pokrzepiona. Moja niecierpliwość... chciałam znów poczuć jego ręce na sobie, iskry i... spokojną miłość małżeńską. Jakieś brednie. Między dorosłymi ludźmi rzeczy nie dzieją się tak błyskawicznie, a scenariusz, który roił mi się w głowie, naprawdę był raczej z gatunku s.f. Byłam wolna w ten weekend. Kiki wspominała o jakiejś imprezie charytatywnej na rzecz szpitala w South Street Seaport, co brzmiało nawet zachęcająco, ale wieczorny wyjazd z Johnem nie mógł się z tym równać.

## *Rozdział 32*

*Mój mąż powiedział, że potrzebuje oddechu. To zamknęłam go na dworze.*

### **Roseanne Barr**

Poranek w Święto Dziękczynienia był tak mroźny, że rozpaczliwie chciałam wykręcić się od oglądania parady i brunchu z Kiki na West Side. Ale nie tylko zadzwoniła, żeby mnie obudzić, ale też odezwała się znów dwadzieścia minut później, żeby mnie zagnać pod prysznic. Zadzwoniłam do Milesa na komórkę, którą pożyczyłam mu na weekend (czułabym się dziwnie, kupując komórkę sześciolatkowi, mimo że pół jego klasy miało własne).

– Wesołego Święta Indyka, kochanie – powiedziałam, starając się być silna i nie płakać.

– Kocham cię, mamusiu. Wesołych świąt. Pieczesz dla siebie indyka?

– Nie, kochanie, wychodzę z ciocią Kiki. Będziemy o tobie myśleć. Nie mogę się doczekać niedzieli rano, kiedy cię zobaczę!

Przygotowałam się, włożyłam wygodny mięciutki sweter i kozaki, przeczesalam szczotką włosy i ruszyłam pieszo na West Side, wiedząc, że w całym mieście będą gigantyczne korki. Kiedy dotarłam do fantastycznego budynku przy parku, modliłam się, żeby Kiki już tam była, i na szczęście to jej twarz zobaczyłam jako pierwszą po wejściu do ciepłego, gwarne go mieszkania.

Dru ga należała do Elliota Smitha.

– Holland! Miło cię widzieć – powiedział i cmoknął mnie na powitanie.

– Wzajemnie! Zamarzłam na kość.

– Proszę. Mam tu kubek wrzącego cydru z twoim imieniem.

Wręczył mi napój z ciepłym uśmiechem, a ja tylko wpatrywałam się w jego ogromne zielone oczy, zastanawiając się, czy założył kolorowe soczewki.

– Zabawne, że nazywasz się Elliot Smith. Uwielbiam jego muzykę...

– Świetna sprawa. Posiadanie tego samego imienia i nazwiska co jakaś gwiazda ma swoje wady, ale jedną z zalet jest to, że nie da się mnie znaleźć w Google – wyskakują strony jego fanklubów.

– Ach... Ciekawe. Przynajmniej nosisz to samo nazwisko, co geniusz, a nie, dajmy na to, Michael Bolton.

– Zgadza się, jak ten w *Życiu biurowym*... Jeden z moich ulubionych filmów.

– Właśnie go znowu oglądałam. Fantastyczny. Ale skoro obracasz się w świecie sztuki, prawdopodobnie nigdy nie harowałeś jako bezmyślny urzędnik bez twarzy w jakimś smutnym boksie pod okiem szefa idioty, co?

Wzruszył ramionami.

– Zdziwiłabyś się.

– Holl! Chodź tu do mnie! Wyglądasz zabójczo! — powiedziała Kiki, oglądając mnie. – Seksowna mamuśka! — Dzięki. – Zerknęłam nieśmiało na Elliota. – Nic ci nie jest? – zapytała Kiki, popijając grzane wino.—Jesteś cała czerwona!

Położyłam dłonie na policzkach.

– Nie, wszystko w porządku. Troszkę mnie przewiało.

– Chodźmy coś zjeść – zaproponował Elliot. — Jest mnóstwo pyszności.

Zaprowadził mnie do ogromnej jadalni, z której okien rozciągał się widok na park, a ogromny nadmuchiwany pies Blue's Clues przystawił nos do gigantycznego okna. Pomieszczenie było pełne ludzi ze świata sztuki, były tam też długonogie żony kolekcjonerów dzieł sztuki, bardzo w stylu centrum, redaktor z „Artforum”, serbski rzeźbiarz, którego reprezentował Lyle, i jacyś kolekcjonerzy, grube ryby funduszy hedgingowych, których znałam z kręgu dawnych znajomych.

Lyle podbiegł i ucałował mnie.

– Holly, dziękuję, że przyszałaś – powiedział, czule gładząc Kiki po plecach, – W przeciwnym wypadku ta druga nigdy by się nie pojawiła.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Dziękuję za zaproszenie. Masz wspaniałe mieszkanie.

– Dzięki. Rozgość się, proszę...

Lyle wziął Kiki za rękę, a ona poszła z nim przez tłum do innego pokoju. Zauważyłam, jak zniknęli za drzwiami, które, jak się domyśliłam,



wiodły do sypialni. A więc moja rzekoma obstawa zniknęła na jakieś świąteczne bara–bara. Chrzanić to.

Dzięki Bogu był jeszcze Elliot, który został moją nową obstawą. Opychaliśmy się stosem bajgli, sałatką z wędzonej siei, indykiem, puree ze słodkich ziemniaków, a na końcu ciastem z dyni, oglądając kolejne platformy z tancerzami, maszerującą orkiestrę, a na końcu Shanię.

Obok toczyła się rozmowa na temat malarki Lisy Yuskavage, tego, gdzie zatrzymali się ci, którzy przyjechali na targi sztuki Basel w Miami, i co zmieniło się na rynku w związku z udzielaniem kredytów hipotecznych osobom, które wcześniej nie spłacały zobowiązań.

– Czuję, że świat funduszy hedgingowych karmi teraz świat sztuki. To miejsce jest pełne tych gości – powiedziałam, wyciągając szyję, żeby zobaczyć nowe modne cudowne dziecko, które otworzyło własną firmę w wieku trzydziestu jeden lat i teraz rzekomo zarządzało majątkiem wartym miliard dolarów.

– Zgadza się. Z pewnością te środowiska są powiązane –przyznał Elliot. – Sztuka jest na widocznym miejscu, gdy wchodzi się do biur tych facetów.

– Zabawne, potwierdziłeś, że ci faceci chcą znanych nazwisk. Jeśli artysta nie jest na topie, nie warto kupować obrazu. Tak samo jak ich żony chcą właściwych metek od uznanych projektantów mody.

–Właśnie.

– Chcą, żeby dzieła były rozpoznawalne, tak? Nie są nic warte, o ile nie wszyscy wiedzą, co to jest. Towar ma być markowy.

Elliot się uśmiechnął.

– Trafnie to ujęłaś. – Tak jak w piosence Shanii, którą przed chwilą śpiewała: „Nie robi to na mnie wrażenia”.

– W takim razie co robi na tobie wrażenie? – Uśmiechnął się, patrząc na mnie.

– Boże... Nie wiem. Poczucie humoru. Szczerłość. Ogólnie rzecz biorąc, nie bycie dupkiem. Kiedyś myślałam, że mili faceci są nudni, i bardziej ciągnęło mnie do tak zwanych dusz towarzystwa na imprezach. Moja koleżanka Jeannie i ja mawiałyśmy: *Łatwe równanie: miły + MetroCard = Seat na Subway czyli miły nie jest nic wart.* — Pokręciłam głową na wspomnienie własnej głupoty. – Ale teraz trochę dojrzałam i wiem, że proste wartości z Ulicy Sezamkowej mają w sobie coś nieprzemijającego.

– Wiem, co chcesz powiedzieć. Uśmiechnął się do ucha do ucha i wyjrzał przez okno, przypadkiem natykając się na balon z Ciasteczkowym Potworem. Przynęło się do nas dwóch gogusiów w modnych ciuchach, próbujących wyglądać luzacko.

– Sporo podróżujesz ostatnio? – zapytał jeden drugiego.

– No cóż, ostatnio liczy się tylko BRIC, wiesz, jak to jest. Pochyliłam się konspiracyjnie do Elliota.

– To znaczy Brazylia, Rosja, Indie i Chiny – wyjaśniłam mu.

– Rozwijające się rynki. Tim bardzo często latał do BRIC, chociaż gdy teraz o tym pomyślę, nie jestem już taka pewna. Może latał do tamtejszych burdeli na specjalne masaże.

– No, no – uśmiechnął się Elliot. – Sporo wiesz na ten temat.

– Cóż, po dziesięciu latach małżeństwa z właścicielem funduszu hedgingowego zdążyłam opanować żargon.

– Dlaczego się rozwiedliście? – zapytał łagodnie.

– W naszych papierach rozwodowych jest napisane „różnice nie do pogodzenia”. A tą różnicą była modelka z katalogu w ołówkowej spódnicy.  
– A niech to! Głupie usta. Rozgoryczenie? Och... Miałam nadzieję, że ten biedny facet nie zanudzi się moim bagażem. – A ty?

– Moja była żona i ja obudziliśmy się pewnego dnia i zrozumieliśmy, że nie pasujemy do siebie. Ja jestem Strzelcem, a ona zdradzającą mnie suką.

Parsknęłam śmiechem i zakrztusiłam się cydrem. Naprawdę był zabawny.

– Przepraszam. To zabrzmiało wrednie – pohamował się.

– Tak naprawdę nie mam jej za złe, tylko jej instruktorowi pilates.

– Przestań, nie przejmuj się! – odparłam. – Mój mąż biegle mówi językiem dupków.

Elliot się uśmiechnął.

– Zabawne, moja żona chyba była na kursie w Berlitzu. – Roześmiał się. – Dlatego popieram twoje wartości z Ulicy Sezamkowej.

– Miło mi to słyszeć. Elliot wskazał ręką za okno. – Zobacz!

Aleją zbliżał się olbrzymi Kermit wypełniony gorącym powietrzem, a obok niego lekka jak piórko bujała w obłokach Miss Piggy.

– To my! – powiedziałam. – Chociaż technicznie rzecz biorąc, to Muppet Show, a nie Ulica Sezamkowa.

– Ale też Henson – zauważył przytomnie. – Chociaż wcale nie przypominasz Miss Piggy.

– Żartujesz? Po tym brunchu?

– No dobrze, może masz jej apetyt, ale o wiele lepszą przemianę materii.

– Świetnie – rzuciłam sarkastycznie.

– To zaleta – stwierdził. – Nie ma nic gorszego od kobiety, która żywi się sałatą i popija wodę mineralną.

– Dzięki, Kermit. – Jak ma na imię twój synek? Pamiętam, że kiedy widziałem was razem w parku, wydawał się uroczym dzieckiem.

Poczułam ulgę, rozmawiając z facetem, dla którego moje macierzyństwo było równie oczywiste jak kolor oczu. – Miles. Ma sześć lat.

– Fajne imię.

– Masz dzieci?

– Niestety nie.

Rozmawialiśmy na zmianę o naszych rozwodach i o Milesie, ale było to oczyszczające, – funkcjonowaliśmy w bezpiecznej strefie podwójnego rozwodu i mogliśmy swobodnie rozmawiać.

Minęły prawie dwie godziny, więc fala parady stopniała do wąskiego strumyka, aż w końcu pojawiła się policja i w miejsce ogromnego Snoopy'ego na Central Park West wrócił zwykły ruch uliczny. Siedzieliśmy już bardzo długo, a Kiki nie wracała. Rozejrzałam się po mieszkaniu.

– Lyle sam to wszystko zrobił? Niesamowite.

– Nie, zatrudnił dekoratorkę wewnątrz, Sheilę Davis. Zajęła się wszystkim. I jeszcze... hm. Nieważne.

– Mów!

– Powiedzmy, że bardzo zbliża się do swoich klientów – odpowiedział dyplomatycznie. Uniosłam brwi. – OK. — ciągnął. – Ona nie tylko ustawia ci łóżko, ale też do niego wskakuje.

– Rozumiem. Daryl Hannah w *Wall Street*.

– Dokładnie.

– A więc twoi klienci kolekcjonerzy to głównie faceci w typie Gordona Gekko?

Zawahał się. Może nie wolno mu rozmawiać o interesach? Ups. Nie chciałam być wścibska.

– Niektórzy – powiedział krótko z uroczym złośliwym uśmiechem. Wstał, żeby przynieść szklaneczkę grzanego wina, a w tym samym momencie otworzyły się drzwi do sypialni; stanęli w nich Lyle oraz Kiki, bezwstydnie rozchełstani, rozczochrani, w pogniecionych ciuchach, i szeroko uśmiechnięci.

Rzuciłam na Kiki karcące spojrzenie, a wtedy stało się coś, czego nigdy przedtem nie widziałam: zarumieniła się. Na różowo. Moja arogancka, bezczelna, wygadana przyjaciółka zareagowała jak panienka z powieści Jane Austen, promieniejąca radością i rozsyłająca wokół zaraźliwe fale dziewczęcego zadurzenia.

– Holly, kochanie, zostanę tu dłużej, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Jasne, że nie! – zapewniłam, pochylając się do niej. – Baw się dobrze – dodałam konfidencjonalnie. Podziękowałam Lyle'owi za cudowne Święto Dziękczynienia w tak trudnym dla mnie czasie.

– Ja też się już zbieram. Odprowadzę cię do taksówki – zaoferował się Elliot.

– Mieszkam na East Side, po drugiej stronie parku. A ty dokąd?

– Kawał drogi – odparł. – Czyżby Staten Island?

– Dwie przecznice stąd – dodał ze śmiechem.

– Uwielbiam West Side – powiedziałam. – Te tajemnicze budynki z gargulcami i wymyślnymi nazwami – dodałam. – Jak z *Pogromców duchów* czy coś w tym stylu.

– Dokładnie tak.

Wyszliśmy z wielkiego holu na chłodne powietrze. – Wyglądają dość złowieszczo – powiedziałam, zerkając na ciemnoszare kłęby chmur, które zasłoniły słońce kilka godzin wcześniej.

– Chyba lunie. Mam nadzieję, że złapię ci taksówkę, zanim zacznie.

Nie mieliśmy tyle szczęścia. Gdy tylko wyszliśmy na chodnik spod daszku, zaczęło się oberwanie chmury.

Poranek był tak piękny, że żadne z nas nie wzięło parasola. Po kilku minutach, gdy nie pojawiła się ani jedna taksówka, zaczęły mnie męczyć wyrzuty sumienia w związku z jego rycerskim gestem.

– Cały jesteś przemoczony – powiedziałam na widok jego włosów ociekających wodą.

– Czuję się jak Dan Aykroyd w *Nieoczekiwanej zamianie miejsc* w mokrym kostiumie Świętego Mikołaja – stwierdził przemoczony Elliot.

Zawahałam się. Lubi kino.

– Myślałam raczej o Johnie Cusacku w *Pewnej sprawie*, kiedy utknęli na poboczu – powiedziałam.

– Dobrze. – Uśmiechnął się. Mokre kosmyki opadły mu na twarz, a oczy odcinały się od mokrych, zaróżowionych policzków.

–Jedź, Elliot, proszę. Nic mi nie będzie.

– Nie ma mowy, złapię ci taksówkę. Urocze.

Oczywiście kilka minut później w gęstej mgle zobaczyliśmy podświetlony numer i Elliot podbiegł, żeby w samą porę zatrzymać taryfę. Otworzył mi drzwi i wsiadłam, mocząc siedzenie ze skaju.

– Bardzo dziękuję!

– Cała przyjemność po stronie Kermita. Szczęśliwego Święta Dziękczynienia!

## *Rozdział 33*

*Kiedy dwie osoby po rozwodzie biorą ślub, to do łóżka idą cztery.*  
przysłowie **żydowskie**

Po odważnym spacerze do centrum miasta podczas najgorętszego dnia zakupów w roku położyłam się spać o ósmej, czego nie robiłam od czasu, gdy w telewizji leciał *The Muppet Show* w latach osiemdziesiątych. Rano miałam spakować się na wycieczkę z Johnem. Obudziłam się świeża i wypoczęta, ale nie myślałam o towarzyszu weekendowego wypadu do Connecticut, lecz uparcie wracało wspomnienie spotkania z Elliotem. Fajnie mi się z nim rozmawiało. Nie okazywał specjalnego zainteresowania, nie czarował, nie uwodził i nie obchodziło mnie to. Czułam się z nim bezpieczna, paplając swobodnie, a było to czymś zupełnie nowym. Randkowanie wydawało mi się niezręczne, czasem wymuszone. Ale cóż, jeśli nie rzucisz się między samochody, nic cię nie potrafi.

Po południu John podjechał pod mój dom i ruszyliśmy na wieś, dwoje obcych ludzi podróżujących w nieznanym ze swojskiego terytorium budynków i zgiełku. Hałas ucichł, zatłoczone ulice zastąpiły łagodne łąki i nagie drzewa odcinające się na tle nieba w ołowianym kolorze niczym w

filmach Tima Burtona. Niebo przybierało coraz ciemniejszą barwę, gdy mknęliśmy krętymi drogami. John nastawił radio na WQXR, w której muzykę klasyczną przerywał kojący głos spikera. Pomyślałam, że urodził się, by czytać bajki na dobranoc. Mroźne powietrze sprawiało, że szyby pokryły się szronem i w samochodzie zrobiło się przez to jeszcze przytulniej. Było to zniszczone volvo ze stosami pędzli i książek tańczących na tylnym siedzeniu, gdzie u mnie zamocowany był fotelik dla Milea. Zastanawiałam się, czy John potrafiłby nawiązać kontakt z Milesem, gdyby się kiedykolwiek spotkali. Po godzinie wjechaliśmy na podjazd między dwoma starymi kamiennymi słupami pokrytymi oszronionym mchem.

Miejsce było piękne, ale zaniedbane, w stylu „zużycia z miłości”. Rozgościliśmy się i rozpakowaliśmy zakupy, które John zrobił w Eli's, żeby przygotować pyszną kolację, a ponieważ nie było telewizora (skandal!), zostaliśmy skazani tylko na siebie, jedzenie i kominek w ramach rozrywki. Przyjechaliśmy w samą porę, w chwili, gdy wyjęłam ostatnią torbę z samochodu, niebo rozerwał przeraźliwy grzmot i lunęły strugi deszczu, sprawiając, że ciepłe wnętrze domostwa stało się jeszcze przyjemniejsze.

Po przepysznej sałatce z mozzarelli i pomidorów wyjęliśmy upieczonego kurczaka z piekarnika, a gdy zaczęłam go kroić, John odwrócił mnie i objął, żeby pocałować. Oddałam pocałunek, ale nieco zaskoczona jego ogniem podczas kolacji, wyplątałam się z uścisku, aby wrócić do drobiu.

–John...

Wyjął nóż z mojej dłoni i rzucił na podłogę. Zszokowało mnie, ale zdecydowanie podnieciło to niepohamowane, zwierzęce niemal pożądanie. Miałam nadzieję, że wczorajsze obżarstwo podczas Święta Dziękczynienia



nie przysporzy mi problemów i spełnię najdziksze oczekiwania mojego dzikiego mężczyzny. Zataczając się, wyszliśmy do salonu, i nie przerywając pocałunków, padliśmy na zakurzoną kanapę. Jednym szarpnięciem rozerwał mój kardigan, aż guziki strzelały na wszystkie strony, odbijając się od ścian i stolika delikatnym stukotem plastikowych krążków. Cholerny J. Crew. Chociaż przypuszczam, że zapięcia sweterków nie do końca były projektowane z myślą, o takim sposobie rozpinania.

–John... Spokojnie, chłopcze – roześmiałam się w głębi duszy trochę przerażona. Nie uśmiechnął się. Zamykał żelazny uścisk, całując mocniej, po czym ostro ugryzł w szyję. Au!

Byłam podniecona, ale w jakiś sposób zaniepokojona jego gorączkową i zakrawającą na przemoc seksualną agresję. Przyznaję, to wspaniałe uczucie wzbudzać w mężczyźnie aż takie pożądanie, ale już czymś zupełnie innym są krwawe malinki. Teraz, gdy położył się na mnie, przez spodnie poczułam jego twardego penisa. Próbowałam go uspokoić kojącymi, czułymi ruchami, przeczesując palcami jego włosy, powoli wodząc palcami w górę i w dół pleców, ale on tylko pochrząkiwał z dziką niecierpliwością. Mignęła błyskawica i huknął piorun, gdy sięgnął między moje uda. Byłam rozgrzana po gorącym pocałunku i dałam się ponieść chwili, a on trzymał palce we mnie, drugą ręką rozpinając pasek z gorączkową pasją. Wyciągnął gwałtownym ruchem pasek ze szlufek i rzucił przez pokój. Zdjął spodnie i znów położył się na mnie, po czym chwycił tak gwałtownie, że zaboląły mnie ręce, i przekręcił twarzą w dół. To było dziwne. Na pieska za pierwszym razem? Czasem to może kręcić, jasne, ale nie teraz – niezupełnie tak wyobrażałam sobie naszą wyjątkową intymną premierę. Nie, to było niezrozumiałe, niezręczne i dość obrzydliwe, równie dobrze byłoby mu z

dmuchaną lalką albo Pamelą Anderson czy też, jak Andrew Dice Clay elokwentnie powiedział w latach osiemdziesiątych: *dwoma cyckami, dziurą i bijącym sercem*. Nie chciałam go.

– Przepraszam cię, ale zwolnijmy trochę..

Nie zrobił tego. Poczułam, jak próbuje posunąć się dalej, jakby dostał zielone światło, podczas gdy ja wyraźnie błyskałam żółtym.

– John, przestań.

Nie słuchał. Pchał mocniej, ignorując moje prośby. Wtedy naprawdę się przestraszyłam.

– Przestań! Przestań! Czerwone światło. Natychmiast ze mnie wyjdź! Szarpnęłam biodrami i zepchnęłam go z siebie.

– John, co ty do cholery wyprawiasz? Przykro mi, ale tu coś nie gra. Nie jestem gotowa! Dlaczego nie przestałeś?

– Po co tu przyjechałaś? – zapytał wściekły, miotając błyskawice z oczu.

– A co, nie mogę przyjechać, żeby cię lepiej poznać? Muszę rozłożyć nogi na każde żądanie?

– Nie wyjeżdża się z kimś, jeśli nie wchodzi w grę zbliżenie.

– Przepraszam cię, ale to nie miało nic wspólnego z bliskością. .. Rzuciłeś mnie na kanapę twarzą w dół jak przedmiot i zniszczyłeś mi sweter!

Schyliłam się, żeby pozbierać guziki. .

Podniosłam wzrok i wtedy to zobaczyłam: czystą, nieskrywaną wściekłość. Wyglądał, jakby chciał mnie zabić. Przez sekundę naprawdę myślałam, że jest w stanie to zrobić. Znalazłabym się w nagłówkach gazet.

Miles nie miałby matki. Facet we Włoszech okazał się miły, ale może to John malował płótna krwią. Jasna cholera.

– Wynoś się!!! — wrzasnął ochryple.

– Co? – Dobra, może nie obetnie mi głowy. Ale co on chciał powiedzieć... Mam wyjść?

– Powiedziałem, wynoś się, do cholery!

Drżąc ze strachu, pobiegłam po torebkę. – Wynoś się, prowokatoroko! Ty suko! Wszystkie jesteście takie same!

Byłam przerażona i powstrzymywałam łzy, biegnąc po swoje rzeczy do kuchni. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć; on ciągle krzyczał, z nabrzmiałą twarzą i wielkim, sterczącym penisem. Włożyłam buty, zarzuciłam swoją weekendową torbę na ramię i wybiegłam. . . . .

Prosto w strugi lodowatego deszczu.

## *Rozdział 34*

*Adam i Ewa mieli idealny związek On nie musiał słuchać o wszystkich facetach, z którymi spała, a ona nie musiała słuchać o tym, jak gotowała jego matka.*

**autor nieznany**

Utknęłam na absolutnym pustkowiu. Jakaś kręta szosa bez pobocza. Boczna droga. W rodzaju tych, gdzie szalenie w narciarskich goglach schodzi z drzewa, dzierżąc piłę łańcuchową w rękach. Byłam martwa. Przemokłam do suchej nitki. Nawet moje kości zmokły. Teraz zrozumiałam, dlaczego wszyscy mówili, że powinnam kupić Milesowi telefon – nie

tkwiłabym w średniowieczu bez komórki. Słyszeliście kiedyś o płynięciu w górę strumienia wypełnionego gównem bez wiosła? To byłam ja. Nie miałam też łódki. Po prostu tkwiłam zanurzona w gównie. Do dupy! Dobra, Holly. Uspokój się. *Braveheart, Braveheart, Braveheart*. Nic wielkiego. Moja droga — niestety nie masz racji. Moje żyły zamarzły. We krwi pewnie miałam okruchy lodu. Nie widziałam żadnych samochodów, było wpół do ósmej wieczorem, a ja – mokry szczur, stałam na skraju szosy i dygotałam z zimna. Szczerze mówiąc, sytuacja była tak cholernie dramatyczna, że aż zabawna. Tyle że wcale nie było mi do śmiechu. Pojawił się jakiś samochód i próbowałam go zatrzymać, ale pojechał dalej, dokładnie tak, jak ja postąpiłabym, gdyby przemoczona, wyglądająca na obłąkaną kobieta próbowała mnie zatrzymać, bez wątpienia chowając maczetę albo inne równie praktyczne narzędzie w weekendowej torbie od T. Anthony.

Po dziesięciu minutach samotnego spaceru pustą drogą zaczęłam panikować, przekonana, że sobie nie poradzę. Spojrzałam na ciemnoszarą chmurę nade mną, jakbym chciała zapytać: „Co jeszcze mi dasz?”. Gdyby nie myśl o Milesie, modliłabym się, żeby trafił mnie piorun i wybawił od nieszczęścia. Minęły mnie kolejne dwa samochody, mrugając czerwonymi światłami ginącymi w mokrych ciemnościach. Kilka minut później pojawiła się ciężarówka i zahamowała obok mnie. Siwawy kierowca we flanelowej koszuli wyglądał jak portret pamięciowy seryjnego gwałciciela albo mordercy. Nie żeby John – rzekomo wrażliwy artysta – okazał się lepszy. Zadarłam głowę i spojrzałam odważnie na zniszczoną twarz mężczyzny. Miał potarganą brodę i przekrzywioną czapkę z daszkiem. Jakby żywcem z *Fargo*. Ale ziąb, zamarzające strugi wody na ciele i kompletna bezradność

zrobiły swoje, gorzej być nie mogło – zdesperowana wyszczerzyłam zęby w uśmiechu.

– Przepraszam pana, muszę dostać się do miasta. Czy mogłabym skorzystać z pańskiego telefonu?

– Wskakuj, słonko.

Miał na imię Mo (przysięgam) i nie jechał do Nowego Jorku, ale uprzejmie podwiózł mnie na dworzec kolejowy, za darmo, i tam znalazłam budkę telefoniczną. Muszę powiedzieć, że zawsze daje pociechę spotkanie kogoś bezinteresownie serdecznego. Miałam szczęście, kto wie, co mogło mnie spotkać po tym, jak John, kochający Bacha malarz, okazał morderczą nienawiść, bo nie dałam mu dupy. Niezbyt mądre było wskakiwanie do trucka siwego Mo. Dzięki Bogu nie pobił mnie, nie zgwałcił ani nie poćwiartował. Sztywnym, przemrożonym palcem wybrałam numer pozwalający zadzwonić na koszt rozmówcy.

– Kiki? – zabeczalam nie swoim głosem.

– Holl!?! Gdzie jesteś? Miałas być w Connecticut. Wybuchłam płaczem i opowiedziałam w skrócie cały ciąg zdarzeń.

–Jasna cholera. Pieprzyć tego psychopatycznego dupka. Powiem Lyle'owi, żeby nigdy więcej nie organizował mu wystawy. Ten facet to świr! Dobra, zostań tam, gdzie jesteś, jadę po ciebie.

– Nie, Kiki, wszystko w porządku. Chyba niedługo przyjedzie pociąg, więc po prostu podjadę do Grand Central. Ale mogę do ciebie zajrzeć? Co robisz? Och, nie, masz dzisiaj imprezę!

– Oczywiście, że masz do mnie zajrzeć. Dziś wieczorem jest impreza charytatywna w South Street Seaport. Miałam się tam spotkać z Lyle'em, ale chrzanić to, moje dziewczyny są tam i wszystkim się zajmą. Zostaniemy u

mnie. Przygotuję ci gorącą kąpiel i piżamę, a potem obejrzymy filmy z Molly Ringwald. Nic ci nie będzie. Czekam tu na ciebie.

– Nie, Kiki, nie odwołuj randki.

– Przestań. Faceci nigdy nie są ważniejsi od przyjaciółek. A zwłaszcza od ciebie, *chiquita*.

Była cudowna. Chciałam jedynie zanurzyć się w gorącej kąpeli i opijać wrzącą czekoladą. Na szczęście pociąg podjechał po kilku minutach i choć nie działało ogrzewanie, a młodzi balangowicze z przedmieść jadący Metro–North do wielkiego miasta patrzyli na mnie podejrzliwie, poczułam się dużo lepiej, jak rozbitek na pokładzie kutra ratunkowego. Opłakiwałam w głębi serca katastrofę, którą okazał się weekend z Johnem, i chaos ogarniający moje życie. Co ja narobiłam? Może powinnam posłuchać Sherry Von i zostać w małżeństwie, zamiast borykać się z samotnością. Tim miał wady, jasne (był pracoholikiem, słuchał matki wiedźmy, czasem trochę za dużo pił, zbyt intensywnie angażował się w sport i pieprzył panienki na boku), ale nie trzymał żadnych trupów w szafie, jak psychotyczne jazdy w stylu Johna. Z Timem nie było mi w końcu tak źle, poza tym że prowadził podwójne życie. Nie wiedziałam, czy sobie teraz poradzę. Moje ciało tak przemarzło, że sprawiały mi fizyczną przyjemność gorące łyzy płynące po policzkach. Zamknęłam oczy, a monotony turkot i kołysanie pociągu wprawiły mnie w stan smutnego oszołomienia.

Godzinę później wysiadłam na Grand Central, mokre włosy i ubranie kleiły mi się do skóry. Kiedy dotarłam do mieszkania Kiki, otworzyła drzwi z kieliszkiem wina w dłoni. Przypominałam wyglądem szczura ze ścieków, więc roześmiała się na mój widok, ale śmiech szybko przerodził się we współczucie, gdy pomogła mi zdjąć przemoczony płaszcz.

– Wejdz, kochanie! – Przytuliła mnie i musiałam się uśmiechnąć; sytuacja z burleski: zabawna, okropna i żałosna.

– Posłuchaj, Holly, to tylko koszmary sen. Wszystko będzie dobrze – zapewniła mnie Kiki. – Idź do łazienki, przygotowałam ci relaksujące akwarium.

–Hm?

– Właż do wanny. Samo patrzenie na ciebie sprawia, że robi mi się zimno – rozkazała mi. Poszłam do przestronnej, wyłożonej marmurem łazienki, którą Kiki nazywała „hotelową”, i zostałam przyjemnie zaskoczona. Kiki przygotowała wrzącą kąpiel z bąbelkami, a w ramach niespodzianki ustawiła na wannie świece. Poczułam się niewyobrażalnie wzruszona.

– Nie spiesz się – powiedziała, sącąc wino. – Na wannie stoi kieliszek pinot noir dla ciebie. Zobaczysz, jak się będziesz czuła, kiedy wyjdiesz. »

– Nie mogę w to uwierzyć. Dzięki!

Po raz pierwszy od śmierci mamy ktoś się o mnie naprawdę troszczył. Tak bardzo chuchałam na Tima i Milesa przez te wszystkie lata, że rzadko przystawałam, by zadbać o siebie, i co gorsza, uznawałam ten stan za całkiem normalny. We wrzącej lawendowo–lanolinowej kąpeli zmyłam koszmar ostatnich kilku godzin i cieszyłam się prostą radością z gorącej wody. Ciepło sprawiło, że rozczarowanie, upokorzenie i strach uleciały gdzieś, z wdzięcznością myślałam, jakim błogosławieństwem była dziewczyna za drzwiami.

Chociaż pragnęłam w spokoju zwinąć się przed telewizorem, żeby obejrzeć Andrew McCartyego i jego bandę, wiedziałam też, ile harówki włożyła Kiki w organizację imprezy dobroczynnej, a moja nieplanowana

wizyta nie powinna jej powstrzymać przed pójściem. Około wpół do jedenastej wyszłam z łazienki, gotowa.

– Dobra – zaczęłam zdecydowanym tonem. – Jedziemy na imprezę do Seaport. Chcę pojechać.

– Nie ma mowy – zaprotestowała Kiki, kręcąc głową z burzą idealnie uczesanych lśniących włosów, aż zabrzęczały długie wiszące kolczyki. – Sporo dzisiaj przeszłaś, walniemy się na kanapie.

Powiedziałam jej, że chcę iść na imprezę i nie potrzebuję terapii złożonej z popcornu i babskich filmów z lat osiemdziesiątych. Potańczymy do *I Will Survive* albo innego hymnu *girl power* i od razu poczuję się lepiej. Po co użalać się nad sobą, jeśli można wytrząść z siebie smutki?

Zaczęłam przeszukiwać jej niesamowitą, wypchaną po brzegi szafę pełną zdecydowanie za krótkich dla mnie sukienek i spódniczek, które wywołałyby rumieniec wstydu na obliczu samej Paris Hilton. Z głośników ryczało Duran Duran, gdy suszyłam włosy i malowałam oczy. Przez chwilę podczas *Rio* poczułam się naprawdę dobrze, oddalona lata świetlne od miejsca, gdzie zaczął się mój dzisiejszy wieczór. To Kiki przywróciła mi poczucie bezpieczeństwa.

Pojechałyśmy taksówką do Seaport i po chybotliwych deskach przeszłyśmy na odgradzony metalowymi barierkami teren imprezy która, jak zdążyłam natychmiast zauważyć, była sukcesem. Tuż przy wejściu stali Lyle z Elliotem.

– Cześć, Holly! Co ty tu robisz? Myślałem, że zaplanowałaś romantyczny weekend – powiedział Lyle, całując Kiki w policzek na powitanie i obejmując jej wąską talię. Zauważyłam ich splecione palce, gest



nietypowy dla Kiki. Lubiła publicznie okazywać uczucia, ale raczej kładąc władczo dłoń na udzie partnera, niż czule trzymając go za rękę.

– Długa historia – rzuciła krótko – nie ma o czym gadać, zamierzamy się teraz zabawić.

– Koszmarne popołudnie – wyznałam Elliotowi, gdy Kiki i Lyle ramię w ramię poszli przed nami. – Duży drink na pewno je przyćmi!

– Co ci przynieść? Może wiaderko absyntu? – zapytał z uśmiechem. Wyglądał całkiem jak Harrison Ford w *The Mosquito Coast*.

– Hm. Wiesz, na co mam ochotę? – Chyba spodziewał się jakiegoś wydumanego babskiego drinka w trzech kolorach, ozdobionego palemką. – Na colę.

– Dwie colę, poproszę!

Stuknęliśmy się szklaneczkami z musującym brązowym płynem, a Kiki pomachała do nas, żebyśmy mogli przejść przez bramkę dla VIP-ów do ogromnego namiotu nad wodą, w którym znajdowały się lampy grzejne, choinki, szklane bary, a dwadzieścia stóp wyżej boks dla DJ-a. Ludzie tańczyli na każdym skrawku powierzchni, na barze, stołach, krzesłach, nawet na podnóżkach.

Kiki i Lyle podeszli z dwoma zielonymi drinkami przypominającymi płyn do chłodnicy.

– No, Kiki, gratulacje, fantastyczna impreza! – zachwyciła się.

– Holly, weź...

– Co to za eliksir?

– Martini zielone jabłuszko. Pyszne. – Wychyliła łyk, po czym mi podała. Spróbowałam, obawiając się smaku płynu do naczyń, ale przypominało raczej płynne landrynki. Nie, dziękuję.

– Och! Holly! To moja znajoma Randy, z Celestial Records!

Odwróciłam się i zobaczyłam uśmiechniętą kobietę w okularach z grubymi czarnymi oprawkami.

– Witaj! – powiedziała i mocno uściśnęła mi dłoń. Pogadałyśmy o latach, które przepracowałam w magazynach muzycznych, a nawet o praktyce studenckiej w Artista. Wręczyła mi swoją wizytówkę, prosząc, żebym przesłała jej mailem próbki tekstów. Zawstydzona wyjaśniłam, że miałam przerwę w pracy.

– Przez ostatnie lata moim głównym zawodem było macierzyństwo – powiedziałam z nadzieją, że nie uzna mnie za całkiem straconą. W końcu teraz, gdy Miles poszedł do podstawówki, zaczynałam wracać do świata popkultury. Znałam nowe zespoły, modnych pisarzy i filmy, które trzeba obejrzeć.

– Zróbmy tak – zaproponowała, przekrzykując Joy Division. – Wezmę twój adres od Kiki, prześlę ci płytę CD i notkę biograficzną naszej nowej kapeli, Candygram, z którą Noah właśnie podpisał kontrakt. Zobacz, czy uda ci się napisać zachęcającą notkę do prasy o ich nowej płycie, i prześlij mi ją mailem.

– Zgoda! – przyrzekłam z nadzieją, że pamiętałam jeszcze, jak to się robi. Wyglądała na potencjalnie fajną szefową, mimo opinii twardzielki; instynkt podpowiadał mi, że umiała walić prosto z mostu. I bardzo dobrze.

– Nie mogę się doczekać – powiedziała z uśmiechem i zasalutowała w wojskowym stylu.

Gdy Randy poszła, rozejrzałam się w poszukiwaniu Kiki. Tańczyła i całowała się na parkiecie z Lyle'em. Wirowała bez wysiłku w swoich szpilkach od Louboutina, jak uczestniczka *Tańca z gwiazdami*, i to nie z

listy rezerwowej. Chwilę później poczułam czyjaś dłoń na swoim nadgarstku. Elliot obrócił mnie i poprowadził do Kiki i Lyle'a, spleceni ciasno jakby stanowili jedno ciało, kołysali się, zataczając szerokie koła w rytm lambady. Patrick Swayze i Jennifer Grey (przed operacją plastyczną) splonęliby ze wstydu. Elliot popatrzył, przewrócił oczami i oboje wzruszyliśmy ramionami. Cóż robić, wzięło ich mocno. Zajęliśmy się sobą. Tańczyliśmy non stop przez godzinę. Śmialiśmy się i śpiewaliśmy kolejne hity lat osiemdziesiątych. Gdy Elliot idealnie recytował wszystkie teksty piosenek, zrozumiałam, że choć fantazje na temat starszych facetów w stylu Ala Pacino zawsze będą we mnie żyły, uwielbiałam przebywać z kimś w moim wieku – wspólne doświadczenia, dzieciństwo w latach osiemdziesiątych i te same hity. Po kolei leciały *Come On, Eileen, Karma Chameleon, TooSby, Shy*, a my hasaliśmy jak szaleni. Gdy puścili *Hungry Like a Wolf*, Kiki chwyciła mnie i szepnęła: – To piosenka dla Johna!, pękałam ze śmiechu, ciesząc się, że wylądowałam tak daleko i w zupełnie innym miejscu niż kilka godzin wcześniej.

Elliot przeprosił i poszedł do łazienki, więc tańczyłam na doczepkę z Kiki i Lyle'em do Blondie. Po dwóch godzinach porządnego skakania byłam spocona i drżałam, uda mi się trzęsły z braku treningu. Gardło bolało mnie od wrzasku i wiedziałam, że obudzę się z chrypą, bo zdarłam struny głosowe, ale wyśpiewanie, wykrzyczenie bólu z serca było tego warte. Spojrzałam na Kiki, która pomachała do mnie, a Lyle pocałował ją w szyję, obejmując w talii.

Nagle uśmiech zniknął z twarzy mojej przyjaciółki. Szeroko otwartymi oczyma patrzyła poza moją głowę i gwałtownie nabrała powietrza.

– O co chodzi? – przeniosłam wzrok w tym samym kierunku.

Dwa metry dzieliły mnie od Tima.

Lizał się ze swoją szmatą. Kiki chwyciła mnie za rękę, ale było za późno. Nie mogłam uwierzyć, że wrócił do Nowego Jorku, a w dodatku bezczelnie obnosił się ze swoim nowym związkiem. Czułam się jak zwierzę zagonione w narożnik światłami reflektorów. A konkretnie ogromnych opalonych sterczących reflektorów Avery. Wyglądała jak kij z cyckami zwieńczony strzechą blond kłaków, w sukience tak ciasnej, jakby ją nałożono sprejem. On, mój pluszowy miś, całował ją z zamkniętymi oczami. Gapiłam się na nich w bolesnym transie, aż w końcu ona się odessała, a on otworzył oczy i zobaczył... mnie.

Rzucił pokorne „O, cześć”, uśmiechając się blado przez zaciśnięte usta, a ja wykonałam zwrot i pobiegłam przed siebie. Kiki pognęła za mną do bramki i dalej trapem. Obcas buta zaklinował mi się między deskami i złamał. Plask! Leżałam obolała, jak ofiara wypadku, niczym wielki znak X, z krwawiącym kolanem. Pozbierałam się i szlochając, pokuśtykałam do postoju.

– Zaczekaj, Holly... – wołała Kiki.

–Jadę do domu, zadzwonię jutro – odkrzyknęłam z ręką na klamce drzwi taksówki.

Wsiadłam do środka i odjechaliśmy z piskiem opon. Wyjrzałam przez tylną szybę i zobaczyłam Kiki z bezradnie rozłożonymi rękami. Z tyłu podbiegał Lyle, spoglądając nerwowo na nią i na mnie. Gdy wyjechaliśmy w stronę FDR, poczułam, że wpadam w otchłań zazdrości, żalu i paniki, uwięziona we wspomnieniach i niepewności, czy wystarczy mi sił do życia, które wybrałam.

Wracały obrazy szczęśliwych chwil spędzonych z Timem, niczym mgliste urywki czarno-białych domowych filmów: długie spacery z trzymaniem się za ręce, kibicowanie na meczach piłki nożnej w zimie, tańce na imprezach, uściski w Nowy Rok. Widziałam skąpane w słońcu popołudnia i śniadania w łóżku, uśmiechy, które wymienialiśmy, gdy Miles był malutki. Ale to wszystko znikło, rozplynęło się w rzadkim zimowym powietrzu. Zaskoczona jego widokiem, tak bardzo dławiałam się szlochem, że poczułam kłujący ból w szyi. Chciałam, żeby Tim do mnie wrócił. Bardziej niż kiedykolwiek pragnęłam cofnąć się w czasie. Może lepiej dbałabym o jego potrzeby. Albo udawałabym, że nic nie widzę. Albo zmusiłabym go do konfrontacji i przekonała, że musimy spróbować uratować nasze małżeństwo. Pójść na terapię małżeńską. Cokolwiek. Gdzie popełniliśmy błąd? Westchnęłam, ocierając łzy. Za późno. Odszedł, żeby całować zdziwę w kiecce z lycry.

Umęczona czarną rozpaczą, położyłam się do łóżka i łkałam w poduszkę, z nadzieją, że dotarłam do dna i od tego miejsca może być już tylko lepiej. Siedziałam w bardzo głębokim dole, ale najgorsze, że na powrót do Tima naprawdę było za późno. Zbyt wiele się wydarzyło podczas tego roku, jaki spędziliśmy osobno – pewnie już nawet się nie znamy. Po katastrofalnym rozstaniu jest tyle leczenia i przebudowy życia, że odrastają zupełnie nowe elementy tam, gdzie były rany, mocniejsze i niedostępne. To właśnie mnie przerażało. Miałam na sercu kuloodporną kamizelkę. Może już nigdy nie będę umiała kochać. Byłam zgorzkniała, zbyt zmęczona i chora, aby przechodzić przez podstawowy kurs na temat Holly. To było takie wyczerpujące. Przyjaciele, zainteresowania, ulubione potrawy, filmy, historie z dzieciństwa. Tyle trzeba się od nowa nauczyć. Chciałam, żeby

ktoś po prostu mnie znał, żebym nie musiała zaczynać wszystkiego od początku. Wyczerpujące.

Ale jak wymazać przeszłość i równocześnie zachować dobre wspomnienia, zachować siebie?

Nie mogłam zasnąć. Patrzyłam, jak niebo staje się granatowe, a potem prawie czarne, zabarwione pomarańczową łuną Manhattanu. Myślałam o facetach, do których mogłabym zadzwonić po dawkę nostalgii, żeby ktoś powiedział, że jestem wyjątkowa. Tylko tego potrzebowałam: poczucia, że ktoś mnie pragnie i że ja pragnę go tak samo, poczucia, że pasujemy do siebie, że nie jestem sama na świecie. Przypomniała mi się kwestia z *Our Town: Ludzie są stworzeni do życia w parach*. Brzmiało to jak przesłanie z Arki Noego, jakbyśmy byli hipopotamami albo gęśmi, ale tej nocy czułam, że to prawda. W swoim bólu byłam zdesperowana, by znaleźć tę drugą połówkę – nie tylko, żeby mieć obok siebie kogokolwiek, ponieważ to już zaliczyłam, a dwie przypadkowe połówki nie tworzą całości. W głębi serca wiedziałam, że w tej chwili każdy wydawałby się sztucznie przytwierdzony zszywaczem, najpierw sama musiałam się odbudować.

Zrobiłam to, co zawsze w takich chwilach: włączyłam swojego terapeuta, Woody'ego Allena, na nocny seans. Tym razem wybrałam swój ulubiony film wszech czasów *Hannah i jej siostry*. Doskonała łyżeczka cukru do obrzydliwego lekarstwa na terażniejszość. Zaśmiewałam się do łez, odbywałam terapię z Michael'em Caine'em, marzłam na jesiennym chłodzie ze zmieszaną Barbarą Hershey, a w ostatnich momentach filmu zrozumiałam ostateczną prawdę końcowej kwestii Woodyego Allena. Jego fantastyczna postać przechodzi od bliskiej śmierci przez pełnię życia, dalej przez skłaniającą do samobójstwa depresję i w końcu do euforycznego

szczęścia. Całując nową żonę w szyję, po roku rozpaczy, bohater dochodzi do wniosku, że jednak serce jest bardzo wytrzymałym mięśniem. Miałam nadzieję, że się nie mylił.

## *Rozdział 35*

*Po piętnastu latach małżeństwa mąż mówi do żony-. „Czuję, jakbyśmy byli małżeństwem zaledwie pięć minut”. „To urocze” — odpowiada żona. „ Pięć minut pod wodą” — dodaje mąż.*

Następnego dnia Tim odwiózł Milesa, który podbiegł do mnie i przytulił się najcudowniejszym na świecie, natychmiast odwracając moją uwagę od poprzedniego wieczoru i namiętych pocałunków mojego byłego męża z gówniarą w przyciasnej sukience.

– Myślałam, że pojechaliście do Locust Valley na cały weekend. Nie spodziewałam się zobaczyć cię w mieście wczoraj wieczorem — powiedziałam cicho.

– Tak, pojechaliśmy, ale przyjaciółka Avery współorganizowała tę imprezę dobroczynną...

– Uhm. – Uklękłam i rozpięłam torbę Milesa.

– Mamusiu, możemy zrobić rice krispies? Proszę!

– Oczywiście, kochanie. Dobrze... Na razie — rzuciłam zwięźle do Tima. Nie powinnam mu okazać, że mnie to dotknęło. A bolało jak diabli.

– Holly, jeśli to ma jakieś znaczenie... — rzekł łagodnie. — Przepraszam.

Widziałam, że naprawdę mu z tym źle. I dobrze. Wazeliniarz. Przez cały czas sądziłam, że właśnie tego chcę: żalu i skruchy z jego strony, wcale mi nie pomogło.

Wzruszyłam ramionami, uśmiechnęłam się i cicho rzuciłam „do widzenia”, a Miles w podskokach popędził do kuchni.

– Super, w tym jest nagroda! – Miles rozerwał górną część pudełka i torebkę w środku, rozsypując płatki na podłogę. Zaczął grzebać w opakowaniu, jakby nakładka na ołówek ze SpongeBobem była zaginioną arką.

–Mam! – Odkryciu towarzyszyły zniszczenia w postaci płatków Krispies rozsypanych po podłodze, ale jego uśmiech sprawił, że warto było posprzątać.

–Jesteś najcudowniejszy na świecie! – roześmiałam się, przytulając go mocno. – Ubóstwiam to, jak kolekcjonujesz te śmieci jak skarby.

– Mamo, mogę ci coś powiedzieć? – zapytał z uśmiechem. – Kocham cię. Bardziej niż Avery. Nie martw się.

Zachichotałam.

– No mam nadzieję! W końcu przez dziewięć miesięcy cię nosiłam! – droczyłam się, przytulając go.

–Mamo?

– Tak, słoneczko?

– Jesteś dobrym człowiekiem.

Roześmiałam się głośno, ale chciało mi się płakać. Może na razie powinnam sobie odpuścić randki. Po co mi kolejny mężczyzna w życiu, skoro wychowywałam tego?



– Dziękuję, skarbie. – Pocałowałam go w czoło. – Ty też. Tego wieczoru, po słodkiej uczcie, godzinie czytania bajek oraz utuleniu do snu, zamknęłam drzwi do pokoju Milesa i zasiadłam przed telewizorem. Gdy sięgałam po pilota, zadzwonił portier z dołu.

– Tak, Tony?

– Dobry wieczór, pani Talbott. Przesyłka z Zabar's.

– Słucham? Niczego się nie spodziewam. Nie robiłam tam zakupów. Jest pan pewien, że to dla mnie?

– Pozwoli pani, że sprawdzę jeszcze raz – odparł, odkładając słuchawkę. — Zgadza się, to dla pani.

– Dziwne... Dobrze.

Może przysłał ją tata, który zadzwonił, żeby sprawdzić, co u mnie. A może Kiki? Kilka minut później otworzyłam drzwi i zobaczyłam ogromną torbę przy nogach naszego portiera. Wystawały z niej różowe peonie, przewiązane brązową wstążką, i była pełna zup: z dyni piżmowej, jabłek, owoców morza i grzybów leśnych, był też krem z brokułów oraz rosół z kury, który Kiki nazywała żydowską penicyliną.

Wtedy zobaczyłam liścik i otworzyłam go.

Odjęło mi mowę. Przesyłka nie była od taty ani od Kiki

Droga Holland!

Bardzo mi przykro, że Twój wieczór tak się potoczył. Kiki powiedziała, że źle się poczułaś, więc przesyłam Ci coś, co sprawi, że poczujesz się lepiej. Daj znać, jeśli będziesz chciała spotkać się na coli.

Cóż za mężczyzna! Wydawał się blisko związany z Lyle'em, ale nie potrafiłam go rozgryźć. Wiedziałam, że rozwiódł się niedawno, jak ja, więc

pewnie unikał związków, ale jako przyjaciel był wyraźnie jak Kiki, jeśli chodziło o troskliwość.

Zadzwoiłam do Kiki, żeby wydobyć szczegóły przesyłki.

– O, Zabar's! Już mi się podoba — ucieszyła się. – To fantastyczne. Faceci nigdy nie robią takich rzeczy.

– Powinnam zadzwonić i podziękować? Możesz zdobyć jego numer?

Kiki zapytała Lyle'a, a ja nie pomyliłam się, wstukując cyfry, tak to jest, kiedy ktoś zrobi dla ciebie coś miłego. Ale gdy usłyszałam sygnał połączenia, nagle z niewyjaśnionych przyczyn zdenerwowałam się. Dlaczego? Przecież byliśmy tylko znajomymi! Nie było śladu romantycznego napięcia. O co mi chodziło?

– Cześć, Elliot! Mówi Holland. Holly Talbott.

– Nie znam żadnej innej Holland – powiedział i zaśmiał się krótko.

– Nawet nie wiem, jak ci dziękować. To najbardziej urocza rzecz... te zupy. Naprawdę się wzruszyłam. Miło, że o mnie pomyślałeś.

– Wiesz, wyszedłem do łazienki, a kiedy wróciłem, już cię nie było. Kiki powiedziała, że źle się poczułaś i pojechałaś do domu.

–Właściwie to nie do końca tak. Owszem, zrobiło mi się niedobrze. Wpadłam na swojego byłego. Zobaczyłam go na parkiecie z panienką dwa razy młodszą ode mnie i trochę mnie to ruszyło.

– Tak mi przykro. Ciężka sprawa.

– Zgadza się. Dobre czasy.

Opowiedział mi, jak to jego eks zaszokowała go, pokazując się na przyjęciu kilka miesięcy temu, złączona w godzinnym pocałunku z aktualnym przydupasem, i demonstrując wszystkim brylant wielkości psiej budy na palcu.

– W ten sposób dowiedziałem się o jej zaręczynach. Po prostu podetknęła mi pierścionek pod nos. To było dość szokujące.

– O mój Boże. – Okazuje się, że szczęściara ze mnie, Tim przynajmniej się nie żeni. Może kiedyś weźmie ślub z Avery, ale znając obyczaje jaskiniowców wykopujących swoje kobiety z pieczary, czułam, że nie zwiąże się z nikim zbyt szybko.

– Muszę pojechać w tym tygodniu do Milwaukee na dwa dni, ale może spotkalibyśmy się po moim powrocie?

– Milwaukee? A dlaczego tam? Klient?

– Hm... tak – odparł. – Kolekcjoner. Nie bywam za często w republikańskich stanach od czasu rajdu przełajowego w college'u.

–Wiesz, zawsze żałowałam, że tego nie zrobiłam. Mogłabym naprawdę poznać Stany – zamyśliłam się. – Mam wizję rodem z Beavisa i Buttheada na temat tego, co leży między wybrzeżami.

– Jest fantastycznie – zachwycił się Elliot. – Przez całą podróż czułem tę rozpierającą radość, jak z piosenek Johna Mellencampa.

– Brzmi świetnie. Zawsze chciałam wybrać się na taką krótką wojowniczą wyprawę, jak z *Thelmy i Louise*. No, bez skakania z urwiska. Chociaż bywają dni, że mam ochotę zrobić to samo – zażartowałam.

– Lepiej, żebyś tego nie robiła – zbeształ mnie. – To by była duża strata.

– Wiesz, Elliot, szczerze mówiąc, kilka ostatnich miesięcy dość mocno zbliżyło mnie do pomysłu wciśnięcia gazu do deski na skraju kanionu.

– Tak mi przykro.

– Rozwód to nie piknik, sam się przekonałeś – westchnęłam.

– To był dość... nieprzyjemny okres.

– Wiem coś o tym. Mimo że miało się tak wiele problemów w małżeństwie, po rozwodzie dręczy cię żal, kiedy tylko pojawia się samotność.

– No właśnie! – wykrzyknęłam. Wszystko rozumiał.

– Trzeba sobie przypominać, że istniały prawdziwe powody zerwania – dodał.

– O mój Boże, czytasz mi w myślach! – odparłam. W pełni rozumiał moje trudne położenie i schizofreniczną naturę rozwodu, gdzie mimo gniewu wciąż wspominasz najlepsze chwile.

Przegadaliśmy prawie dwie godziny. Opowiedziałam mu całą sagę Tima, włącznie ze wszystkimi paskudnymi szczegółami, i opisałam swój maraton szlochów, podczas którego Kiki sugerowała, żebym kupiła akcje Kleeneksu.

Nie wiedział, czy się śmiać, czy zapolować na moją byłą teściową, kiedy uraczyłam go opowieściami o jej szaleństwie, włącznie z umieszczeniem poprzedniego lata czterech pudli na dwa miesiące w szkole z internatem na wsi w Liechtensteinie, aby nauczyły się tam posłuszeństwa.

– Czy istnieje tam coś poza wsią? – zastanawiał się. – Nigdy nie słyszałem o jakiegokolwiek tętniącej życiem metropolii w Liechtensteinie.

– Nie mam pojęcia. Ale wiem, o czym mówisz. Może w całym kraju są tylko drogie szkoły posłuszeństwa dla pudli.

– Ta cała Sherry Von wygląda mi na wredną sukę, wybacz słownictwo – przeprosił.

– Przestań, ja przeklinam teraz non stop. Wcześniej nigdy nie przeklinałam, ale Kiki ma na mnie fatalny wpływ! Mam nadzieję, że nie uważasz tego za niekobiece. Skoro jesteś takim dżentelmenem i tak dalej.

– Jesteś bardzo kobieca.

– Staram się ograniczać niewłaściwe wyrazy. Zawsze mówiłam bogatszym językiem niż Kiki, która „pieprzyć” we wszelkich postaciach używała do określenia wszystkiego, chociaż jej zasób słów i tak mógłby śmiało rywalizować ze słownikiem Webstera. Obawiam się, że to zaraźliwe.

– Nie ma powodu do cenzury.

– Wspomniałeś, że wyjeżdżasz, ale może kiedy wrócisz, zajrzelibyśmy do paru galerii – odważyłam się zaproponować. –Mógłbyś nauczyć mnie, jak docenić „wschodzących artystów”, których prace kosztują więcej niż dzieła dawnych mistrzów, co zawsze było dla mnie zagadkowe.

– Uhm, jasne... – Nie brzmiał zbyt pewnie. Może nie chciał spędzać czasu w galeriach, skoro i tak musiał to robić codziennie.

– A jeżeli to jest zbyt bliskie pracy i byłoby uciążliwe, możemy zrobić coś innego.

– Nie, nie, w porządku. Bardzo bym chciał. Zaplanowaliśmy coś z kilkudniowym wyprzedzeniem.

– Nie mogę się doczekać – powiedział. – Mam nadzieję, że poczujesz się lepiej.

– Dzięki, Elliot.

– OK, dziewczyno z parku. Miłych snów.

– Wzajemnie.

## Rozdział 36

*Małżeństwo to wspaniała instytucja, ale tylko kiedy lubisz być , zinstytucjonalizowany*

Teraz, gdy rozpoczęło się oficjalne odliczanie do świąt Bożego Narodzenia, a migoczące światełka, choinki, czerwone i białe ozdoby eksplodowały w całym Nowym Jorku, na ustach wszystkich mieszkańców Upper East Side pojawił się nowy, gorący temat. Następnego dnia w szkole mówiono tylko o tym. Nie, nie o polityce czy ostatnim hollywoodzkim skandalu.

– Holly, dokąd się wybieracie w ferie? – zapytała Mary Grassweather.

Co roku, w chwili gdy powieszono pierwszą girlandę w witrynie sklepowej na Madison, rozpoczynało się totalne śledztwo. Wszyscy z gorączką w oczach planowali, porównywali hotele albo jeździli do sklepu Scandinavian Ski.

– Hm, jeszcze nie zdecydowałam – odpowiedziałam. – Ustaliliśmy z Timem, że podzielimy się czasem, ale nie jestem pewna, jak to wyjdzie.

Oho, za trudna odpowiedź.

– A my jedziemy do Nairobi, do sierocińca dla słońi! – wykrzyknęła Emilia d'Angelo. – Nazywa się Arnold Slutsky–Rosenblatt Trust; każde dziecko wybierze sobie słońiatko i je adoptuje, a oni będą później przysyłać nam zdjęcia. Czy to nie ekscytujące?

– Och, fantastyczne! – zagruchała Mary. – Pewnie kosztuje więcej niż osiemdziesiąt dziewięć centów dziennie, jak te dzieci w telewizji!

– Tak, trzy tysiące miesięcznie! Ale te biedne słońie są zagrożone wyginięciem! – powiedziała Emilia, robiąc przesadnie smutną minę, jak

małe dziecko albo maska teatralna. – Mary –ciągnęła, nagle rozpromieniona – a wy dokąd się wybieracie?

– Do Lyford. Już się nie mogę doczekać! – stwierdziła, jakby stała pod wulkanem z wrzącą lawą, z którego mógł ją wybawić tylko samolot. – Ci z Netjets zachowali się wspaniale. Tyle razy zmienialiśmy datę, ale w końcu doszliśmy do wniosku, że zabierzemy dzieci kilka dni wcześniej ze szkoły i polecimy!

Tego też nigdy nie rozumiałam. Moi rodzice zawsze uważali, że kalendarz szkolny jest absolutnie niezmiennym planem regulującym nasze życie, a nie plastyczną listą zmienianą pod wpływem nagłej ochoty na piasek i surfing. Nigdy nic nie zwalniało mnie z lekcji, chyba tylko wysoka gorączka. A klasa Milea kurczyła się z dnia na dzień przed wakacjami, bo dzieci wyjeżdżały do kurortów na całym świecie, aby wcześniej cieszyć się słońcem.

Gdyby egzotyczne miejsca, do których jeździła klasa Milea, zostały połączone czerwonymi liniami na mapie, z pewnością okrążyłyby ziemię, z największym skupiskiem na Wyspach Karaibskich i w ośrodkach narciarskich na zachodzie kraju.

Ciekawe, że wszyscy, których znałam, po prostu pytali, dokąd się wybieramy, a nie czy się w ogóle gdzieś wybieramy, z góry zakładali, że wszyscy wyjeżdżamy w różne strony. Chciałam odpowiedzieć: Abu Dhabi albo coś w tym stylu, żeby zobaczyć ich reakcję. Zgoda, byli uprzywilejowaną grupą z Wall Street, zgoda, większość ludzi podróżowała, ale niektórzy nie mogli. Przecież do szkoły chodziły też dzieci rodziców, których nie było stać na podróż albo nie mogli wziąć urlopu w pracy. Tak czy inaczej wiedziałam, że po raz pierwszy w życiu spędzę święta sama.

Tata zamierzał wpaść do mnie na kolację po drodze na coroczną wyprawę z kolegami od golfa, Miles wyjeżdżał z Timem, a sylwestra miałam spędzić z torbą popcornu, oglądając Dicka Clarka. Jednak w głębi duszy wcale nie czułam się samotna, raczej – niezależna. Nie byłam pewna, czy to pod wpływem Kiki postanowiłam częściej wychodzić z domu, czy po prostu dobrze wykorzystałam czas spędzony na rozmyślaniach i poskładaniu się do kupy, ale powoli odzyskiwałam spokój. Nie szamotały mną nerwowe przyływy energii, co zdarzało się wcześniej. Byłam odważniejsza, silniejsza, śmielsza – niczym szpieg CIA, programowo z nikim niezwiązany, – choć nie zamierzałam sypiać z szejkiem, by wydobyć od niego sekrety. Po prostu czułam się wolna i zaczynałam z przyjemnością dostrzegać nowe możliwości wynikające z mojej sytuacji. Nowy Rok zawsze odbierałam jako przełom i perspektywę przemian, a nie kolejny dzień w łańcuchu, tyle że z inną datą. Na minutę przed północą czułam dreszcz emocji, szykując się do skoku w nieznanne. Teraz kurczowo chwytalam się nadziei, że starczy mi sił, by bez szwanku przebrnąć przez tak nietypowe święta. Z drugiej strony, z ciekawością ich oczekiwałam, jakby z wybiciem północy miała opaść nie tylko ogromna świetlista kula na Times Square, ale i moje zahamowania.



## Rozdział 37

*Ślubu udzielał mi sędzia. Powinien był też poprosić o ławę przysięgłych.*

**Groucho Marx**

Nacisnęłam przycisk „play” na automatycznej sekretarce.

*Helesrid! Records Publicity, jak się miewasz? Dzwonię, ponieważ Randy przeczytała twoją notkę o Candygram, którą przesłałaś jej mailem, i naprawdę jest zachwycona twoim stylem! Z przyjemnością spotka się z tobą, by omówić szczegóły współpracy. Oddzwoń, proszę!*

Ta dziewczyna była prawdopodobnie najsympatyczniejszą osobą w okolicy. A może po prostu lubiła się podlizywać. Nie bez problemu znalazłam długopis i zapisałam numer. Celestial było modną wytwórnią, więc sprawa dla mnie ważna. Niedawno połowę udziałów kupiła Warner Music. Bracia Greene – Sean i Noah, zawsze podpisywali kontrakty tylko z najlepszymi zespołami, od new wave, przez chłopców grających hard rocka, wszechobecnych na MTV2, po gwiazdy rapu, wszyscy przynosili im furi pieniędzy. Ich biura mieściły się w przypominającej pałac, odnowionej fabryce czekolady na Lower East Side. Tam mieściły się własne studia i wnętrza biurowe urządzone zgodnie z najnowszymi trendami. Nie zamierzali wprowadzać

*Witaj, Holly, mówi Tristin Archer z biura Randy Simmons z Cerewolucji, ale dobrze się zapowiadali, jak wytwórnia Sub Pop w Seattle około 1990 roku.*

Ta praca pozwoliłaby mi połączyć miłość do muzyki i pisania.

Dwa dni później z łomoczącym sercem wkraczałam do legendarnych pomieszczeń, zaprojektowanych przez gwiazdorską ekipę architektów z 4Team, guru designu, którzy zawsze projektowali wnętrza najmodniejszych restauracji, galerii i biur w okolicy. Wiedziałam o nich nie tylko dlatego, że ich prace wzbudzały głośne komentarze i pojawiały się praktycznie w każdym magazynie wnętrzarskim, ale również z tego powodu, że Tim rozmawiał z nimi podczas remontu siedziby Talbott Capital (choć wybrał wtedy Gehry'ego). W poczekalni rozbrzmiewała muzyka, a wszyscy dookoła wyglądali interesująco i oryginalnie.

– Zaraz do pani przyjdzie – zaćwierkała słodko stylowo ubrana recepcjonistka lisica, gdy usiadłam na sofie od Corbusiera i zaczęłam studiować najnowszy numer „Billboard”. Kilka chwil później wyszła Randy, ubrana od stóp po czubek głowy na czarno. Czerń okularów, podkoszulka oraz legginsów łamał jedynie czerwony fular biegnący od ramienia i (auć!) czerwone buty z kolcami.

Podreptałam za nią do wielkiego narożnego gabinetu w stylu loftu, a ona opowiadała o artystach związanych z wytwórnią. Mówiła szybko i z pewnością nie pozwoliłaby sobie w kaszę dmuchać, ale polubiłam ją. Gdy rozmawiałyśmy o branży, wiedziałam, że pewnego dnia zdecydowanie będzie tu rządzić.

– Holly... Będę z tobą szczerą. Podobasz mi się. Zawsze lubiłam Kiki, więc przeczytałam twój tekst i spodobał mi się, piszesz z jajem. Ale martwisz mnie.

Co jest ze mną nie tak? Zanim zdążyłam zapytać, ciągnęła, pełną parą:

– Wiem, że jesteś twórcza i chcesz taka pozostać, i choć to stanowisko wymaga pewnej kreatywności, także w pisaniu, ja jednak potrzebuję

sprzedawcy. Będziesz sprzedawać prasie nasze zespoły. Musisz być przekonująca. Bezczelna. Krótko mówiąc, musisz być jak Kiki. Nachalna. Wydajesz mi się bardzo zrównoważona, jak klasyczna dziewczyna z przedmieścia. A ja potrzebuję, żebyś była jak wrzód na tyłku. Musisz być niezniszczalnym gumowym karaluchem jako PR-owiec. Nie jestem pewna, czy chcesz i potrafisz taka być.

Siedziałam przez dłuższą chwilę w milczeniu, ponieważ bezbłędnie mnie przejrzała – nie chciałam być gumowym karaluchem. Ale chciałam pracować i wiedziałam, że zdecydowanie potrafię coś sprzedać. Wiedziałam też, że od chwili, gdy weszłam do tych oszałamiających biur, poczułam rozpierającą radość. Mogłabym tu przychodzić codziennie, poznawać nowych ludzi i rozpocząć nowy rozdział życia. Kwintesencja idealnej pracy znajdowała się na wyciągnięcie ręki.

– Potrafię sprzedawać. Zaufaj mi, być może wydaję się uprzejma, ale potrafię również nękać – zapewniłam ją.

– Naprawdę? – uniosła brwi, pochylając się w moją stronę i patrząc z niedowierzaniem. Czułam się jak Sandy w *Grease*, kiedy Rizzo mówi: *Jest zbyt niewinna na róż.*

Musiałam ją przekonać, że umiem sprzedać materiał wydawcom, albo odeśle mnie z kwitkiem.

– Potrafię sprzedać wszystko. Zawsze świetnie mi szło przekonywanie ludzi do różnych rzeczy. Może dlatego, że mam mnóstwo entuzjazmu – powiedziałam z szerokim uśmiechem, na który odpowiedziała zmarszczonym czołem. – Czasem zapał bywa zaraźliwy.

– Albo bardzo irytujący, to zależy, jak jest podany – odparła. Spojrzałam po sobie. Oho. Nie powinnam wkładać bransoletki z wisiorkami.

Zdecydowanie wyglądałam zbyt mamusiowato i niemodnie z literkami tworzącymi imię „MILES” zwisającymi z łańcuszka na nadgarstku. Randy spojrzała na mnie, mrużąc oczy, i sięgnęła do puszki zupy Campbell z podpisem Andy'ego Warhola, wypełnionej przyborami do pisania. Wyjęła zwykły żółty ołówek HB i położyła przede mną na brzegu biurka.

– Dobra, Holly. Dam ci szansę – oznajmiła, odchylając się na krzesło i zaplatając ręce. – Sprzedaj mi ten ołówek.

Zerknęłam na ołówek i próbowałam wymyślić jakieś wyrefinowane hasło: *Oldschoolowy design!*

***Zapomnij o udziwnionych nowinkach, retro jest na topie! Najlepszy przyjaciel miłośnika krzyżówek! Idealny na każdy egzamin!***

Ale zamiast dziwacznych marketingowych sloganów przyszło mi do głowy coś, co miało ścisły związek z tym, że niewiele mnie to obchodziło. Chciałam dostać tę pracę, owszem, ale walnęłam już o dno i byłam dość silna, by sobie poradzić bez niej. Sięgnęłam więc do arsenału Kiki. W końcu zdobyłam się na śmiałość.

Wzięłam ołówek i trzymając w obu dłoniach, złamałam na pół, ku zdumieniu Randy, po czym położyłam oba kawałki na jej biurku.

– Potrzebny ci nowy ołówek. Cisza.

Gdy kącki ust Randy powoli się unosiły, wiedziałam, że wygrałam rzutem na taśmę, jak Dustin Hoffman podczas castingu w *Tootsie*. Wyciągnęła rękę nad biurkiem, a ja ją uścisnęłam.

Zaczynałam pracę za dwa tygodnie, od poniedziałku.

## Rozdział 38

*Moja żona świetnie dba o dom. Kiedy się rozwodziliśmy, zadbała, żeby przypadł jej.*

Kiki piszczała z radości, że udało mi się zdobyć tę pracę, i zachwyciła się odważnym zagranem z ołówkiem. – Masz jaja, dziewczyno – stwierdziła, promieniejąc z dumy jako trener, nakazujący, bym częściej mówiła „spierdalaj”. – Dobra, ja też mam dla ciebie nowiny...

– Opowiadaj!

Wybrałyśmy się na kawę do Via Quadronno. Wskazała na stolik, od którego wstały właśnie dwie damy po lunchu.

– Siadaj i trzymaj się krzesła – rozkazała Kiki. Posłusznie wykonałam polecenie, coraz bardziej zaciekawiona. Wzięła głęboki wdech i spojrzała mi prosto w źrenice, a w jej oczach migotały iskierki. – Lyle zaproponował, żebym poleciała z nim do Paryża!

– Coś ty...

– Oui, Madame! – krzyknęła radośnie.

Cudownie. Nie wierzyłam, że Kiki tak bardzo da się ponieść, a teraz chichotała jak uczennica przyłapaną na pierwszym pocałunku.

– Wczoraj wieczorem powiedział w łóżku: *Nigdy wcześniej nie czułem niczego takiego Nie chcę żyć bez ciebie*, i poprosił, żebym z nim pojechała! A w ten weekend jedziemy do Miami na ArtBasel.

– Och, Elliot pewnie tam się wybiera...

– Chyba tak. Lyle wspominał, że macie jakieś plany? – Tak, powłóczymy się po galeriach. Kiki, tak się cieszę!

Podróż to ważna rzecz. Ale podróż za granicę jest jeszcze ważniejsza.

– Wiem, to buduje więź, prawda? Pieczątki w paszportach z jedną datą cementują parę. Przekraczanie granic to jakby wkroczenie na wspólne terytorium, prawda? Naprawdę nie chciałam się z nikim wiązać! Ale wiesz, Holly... Chyba się zakochałam w Lyle'u.

– Zakochałaś? Naprawdę?

– Tak – odpowiedziała prosto. — Jest cudowny, dobry i zabawny. Co jeszcze mam dodać, do cholery... Ubóstwia mnie!

– I słusznie!

To, czego w tamtej chwili doświadczyłam, było oznaką prawdziwej przyjaźni: poczułam motyle w brzuchu, całkowicie odczuwając emocje Kiki. Jej szalona radość była moją radością. Nawet jeśli przez sekundę samolubnie pomyślałam, że opuszcza mnie na święta. Miłość w Paryżu, mieście marzeń. Byłam w ekstazie.

## *Rozdział 39*

*Naukowcy odkryli potrawę obniżającą popęd seksualny o dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Jest nią tort weselny.*

Dwa dni później spotkałam się z Elliotem, żeby połączyć po mieście. Zajrzeliśmy niemal do dwudziestu galerii i przekonałam się, że jego wiedza na temat sztuki współczesnej była ogromna, choć zrobiliśmy tylko szybką wycieczkę z stylu „Reader's Digest”, właściwie przebiegając przez kolejne wystawy. W kilku witał się pospiesznie z właścicielami, ale raczej nie wyglądało, żeby znał wielu z nich czy chciał z nimi porozmawiać. Nie byłam pewna, dlaczego był taki nieśmiały, ale pomyślałam, że może nie

chciał, by osoby, z którymi współpracował, pomyślały, że jest na randce. W dodatku to naprawdę nie była randka.

W jednej z galerii trafiliśmy na prace młodego artysty, Atlasa Jonesa, którego barwne płótna przedstawiające gigantyczne oczy obudziły we mnie paranoję.

– Kto chciałby żyć z czymś takim na ścianie? – zastanawiałam się. – Nie przesłabym nago obok nich. Jakby ktoś się na ciebie bezustannie gapił.

– Rozumiem. Ale uważam, że jest bardzo oryginalny – powiedział.

– Nawet nazywa się jak typowy artysta – stwierdziłam.

– Naprawdę? Myślałem, że raczej jak gwiazdor porno – odparł Elliot.

– Atlas Jones... Masz rację. Prawda. Atlas to fajne imię. Nieczęsto się je spotyka.

– Nie... Zdecydowanie za duża presja – skwitował, kręcąc głową. – Jakbyś nazwała dziecko Herkules albo coś w tym stylu. Z moim tragicznym imieniem mogłem już tylko iść w górę...

– Przestań. Naprawdę podoba mi się imię „Elliot”.

– .. .ale kiedy masz na imię Herkules, możesz tylko sprawiać ludziom zawód.

Coś w tym było. Dzieci w szkole miałyby używanie.

– Racja. A gdyby był chuderlakiem?

– Hej! Nie czepiaj się chudzielców! – zaprotestował, wskazując na własną drobną sylwetkę.

– Uwierz mi, nie czepiam się. Ubóstwiam wysokich chudzielców.

– Naprawdę?

– Jasne.

To prawda. Mocna budowa Tima i wyraźnie zaznaczony brzusek naprawdę nie były w moim typie, przed ślubem wszyscy faceci, z którymi się spotykałam, mieli szczupłą budowę szkolnych kujonów, która o wiele bardziej mnie pociągała niż napakowane mięśniaki. Z moją najlepszą przyjaciółką w liceum, Lisą, ciągle wymyślałyśmy różne powiedzonka o wspólnym upodobaniu do szczuplejszych chłopców.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć, patrząc na Elliota w ten sposób – zdecydowanie pasował do mojego obrazu idealnego chłopaka z tamtych lat. Gdy spojrzałam w jego zielone oczy, przypomniałam sobie, że ten rzadki kolor zajmował poczesne miejsce na mojej liście cech wymarzonego amanta, gdy jako nastolatka śniłam o swoim księciu z bajki.

W ostatniej galerii, do której weszliśmy, wisiał nie jeden, nie dwa, ale dwadzieścia obrazów przedstawiających klaunów. Gdy przerażona gwałtownie zaczerpnęłam powietrza, Elliot powiedział:

– Nienawidzę klaunów. Kto mógłby na nich patrzeć codziennie?

– Bingo! – dodałam ze śmiechem. – Wszyscy się nabijają, bo panicznie boję się klaunów, a gdyby coś takiego wisiało w domu, oka bym nie zmrużyła ze strachu, że koszmarny wesołek wyskoczy z płótna i udusi mnie we śnie.

– Spadajmy stąd.

Czuliśmy w nogach przydługi spacer, więc przysiedliśmy w maciupkiej kafejce rozgrzać się gorącą czekoladą, a potem wsiedliśmy do taksówki i ruszyliśmy w stronę przedmieścia. Wtedy mój kompan pewnym tonem zapowiedział: **Zatrzymamy się dwa razy**. Poczułam się głupio, bo nie wiadomo dlaczego przeszła mi przez głowę myśl, że coś się wydarzy. Problem leżał w tym, że Elliot zaczął mi się podobać. I to bardzo. W



taksówce ktoś zadzwonił na jego komórkę, a on natychmiast odpowiedział, że oddzwoni z domu. Był bardzo uprzejmy i nigdy nie rozmawiał przy mnie przez telefon, – miał urok i maniery w dawnym stylu, ale płynące z głębi serca i szczerze, w sam raz u kogoś, kto pretendował do roli prawdziwego przyjaciela. To te najdrobniejsze gesty sprawiały, że czułam się – nie chcę zabrzmieć jak antyfeministka z lat pięćdziesiątych – „zaopiekowana”. Dłoń delikatnie położona na moich plecach. Pytanie, czy nie zmarłam albo nie jestem zmęczona. Lekka uwaga na temat mojego stroju, który okazał się „bardzo paryski”. Wszystko to sprawiało, że przy nim doceniałam kojącą magię męskiego towarzystwa – platonicznego lub nie, – miło było otrzymywać pozytywne sygnały akceptacji i zainteresowania, czuć się kobieco, spędzać czas na swobodnej wymianie bez żadnej kalkulacji, czarowania ani gry.

Tego wieczoru Miles i ja postanowiliśmy zjeść kolację na mieście, ponieważ niedługo wyjeżdżał z Timem do Aspen, a ja musiałam przyłożyć się do nowej pracy i chciałam to uczcić. Umościliśmy się w Swifty's, które było nieco zbyt eleganckie dla dzieci, ale mój synek był jedynakiem przyzwyczajonym do różnych sytuacji i umiał zachowywać się jak miniatura dorosłego mężczyzny. W swojej brązowej sztruksowej marynareczce i granatowych spodniach oraz kurtce dzielnie dotrzymywał mi kroku, gdy wyruszyliśmy na mróz. Był to cudowny, choć słodko gorzki czas, ponieważ wiedziałam, że niedługo wyjeżdża aż na dziesięć dni. Odrzutowiec Tima zawiezie go, razem z Sherry Von i Halem, do Aspen, gdzie pójdzie do szkoły narciarskiej Powder Pandas wraz z licznymi potomkami innych hedgingowców, podrzuconymi przez mamusie, które nie wybierały się na stoki, lecz do designerskich butików w sobolach od Dennisa Basso, z

torebkami od Chanel. Jak w Nowym Jorku albo Los Angeles, tyle że pośród śnieżnego krajobrazu. Wyobrażałam sobie Sherry Von w Caribou Club, gdzie kilka razy jedliśmy kolację, jeśli akurat nie szliśmy do którejś z prywatnych posiadłości na imprezę z korytami kawioru, w którym można nurkować, pośród obłądnych dzieł sztuki i gdzie strach oddychać, nie mówiąc o korzystaniu z łazienki, bo wszędzie czuwają najnowocześniejsze systemy alarmowe rywalizujące z Quantico. Bywałam na tych samych dorocznych przyjęciach świątecznych przez bite dziesięć lat i co roku gospodarze pokazywali gościom najnowsze szaleństwo danego roku – nowy gabinet wyposażony w pięć komputerów z płaskimi monitorami a la *Kod dostępu*, wyglądający jak kryjówka doktora Zła, skąd można rozpocząć atak nuklearny. Były też prawdziwe wojskowe mundury z noktowizorami do paintballu, najnowocześniejsze skutery śnieżne produkowane na zamówienie i sprowadzane z Ukrainy, a także robione na zamówienie narty według eksperymentalnego projektu z wypalnymi laserowo inicjałami.

Spędzanie świąt w tym samym miejscu to dobry punkt odniesienia dla całego roku – ułatwia realne spojrzenie na mijające dwanaście miesięcy. Jak bardzo zmieniło się moje życie od ostatniego razu, kiedy otwieraliśmy prezenty pod majestatyczną choinką Sherry Von, wysoką na piętnaście stóp, ubieraną nie przez nią czy członków jej rodziny przy kominku, lecz przez służbę pod kierownictwem Huberta i florystów z Aspen Branch. Dom był przystrojony kwiatami, wieńcami i girlandami, ręcznie zdobionymi dmuchanymi bombkami lub srebrnymi ozdobami od Cartiera, Baccarata i Tiffany'ego. Hubert co rok z poświęceniem huśtał się na gigantycznej drabinie, aby własnoręcznie i z miłością umieścić świecidelka na gałęziach drzewka sięgającego do samego sufitu. Nasz mniejszy świerczek był zawsze

ozdobiony nanizany przeze mnie na nitkę popcornem i ozdobami z papier mache oraz wycinankami, które Miles własnoręcznie robił w przedszkolu. Kontynuowałam tradycję mojej mamy, która przez całe dziesięciolecia wieszła na choince reperowane z czułością ozdoby, które wykonałam jako trzylatka. Te anioły z wielkimi oczyma kolorowane kredką sprawiały, że nasze drzewko miało duszę i było naprawdę wyjątkowe. Każdy posiadacz czarnej karty American Express mógł bez trudu kupić kryształowe kule i srebrne płatki śniegu, ale nasz świerk migoczący niewinnie wszystkimi barwami tęczy, tworzył prawdziwą magię. Jak zawsze Kiki uparła się, żeby pomóc. Ubóstwiała brać udział w strojeniu drzewka.

– O mój Boże, to takie amerykańskie, cudnie! – piszczała w pierwsze Boże Narodzenie po ślubie z Halem. Wycięła gwiazdę z ozdobionej płatkami śniegu folii, którą kupiłam w Kate's Paperie. – Dobra, gotowe! Mam ją przyczepić na czubku?

Uśmiechnęłam się, gdy z dumą uniosła sześcioramienną Gwiazdę Dawida. Miles i ja do dziś umieszczamy ją na wierzchołku choinki. Zapytałam synka, czy cieszy się na myśl o różnych imprezach w Aspen.

– Konkurs na bałwana u Mitchellów jest super! W tym roku wygram!

Rob i Sugar Mitchellowie (on z Parallelogram Capital) byli miliarderami, którzy na stałe mieszkali w Londynie, ale latali po całym globie niczym James Bond. Ich syn August był w wieku Milesa i miał siostrę bliźniaczkę – Hazel. Rok wcześniej podczas konkursu dzieciom pomagali asystenci (rujnując aspekt twórczy, moim zdaniem), podający dekoracje do twarzy bałwanów: guziki, które odpadły od należących do Sugar różnych płaszczy Chanel, jako oczy, szaliki od Hermesa na szyje i cygara Cohiba jako nosy. Byłam nieco przerażona ostentacyjnym zbytkiem:

domowymi salami kinowymi, służbą składającą się z dwunastu osób, dom perignonem na brunch i setkach prywatnych odrzutowców stojących rzędem na lotnisku. Nie będzie mi tego brakowało, na pewno nie. Czułam tylko, że będę okropnie tęsknić za synem, aż rozboleło mnie całe ciało. Wysyłałam go do gniazda Sherry Von, siedliska bezmyślnej rozrzutności, snobizmu i niejasnych norm etycznych.

Następnego ranka włożyliśmy do jego walizki kombinezony śnieżne, czapki, szaliki z Turtle Fur oraz rękawiczki, zapięliśmy ją i znieśliśmy na dół. Z ciężkim sercem siedziałam obok niego w holu, aż w końcu podjechał Hubert i z samochodu wyskoczył Tim.

– Kocham się, słoneczko – wyjąkałam, starając się powstrzymać łzy.

– Kocham cię, mamusiu. Wesołych świąt. – Pocałował mnie w policzek, po czym krzyknął „Tata!” i pobiegł w ramiona ojca. Nad ramieniem Milesa Tim spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

– Wesołych świąt, Holly.

Wesołych świąt. A więc zostałam sama. Nadrobiłam zaległości w oglądaniu filmów na TNT, a nawet przeszłam się samotnie po mieście. Obejrzałam świąteczne witryny i choinkę w Rockefeller Center wraz ze wszystkimi chyba mieszkańcami Kansas.

Następnego wieczoru przyjechał tata i w przemiłej atmosferze zjedliśmy kolację w restauracji La Goulue, zwykle w porze lunchu pełnej pięknych dam, teraz cieplej i przytulnej, ponieważ większość stałych bywalców leżała pod palmami. Pośród mahoniowych ścian, pijąc czerwone wino i zajadając sery, czułam się szczęśliwa w towarzystwie swojego ojca.

– Jak się trzymasz? – zapytał, gdy wznieśliśmy toast za jego przyjazd.

– To ciężki okres. Mama zawsze tak pięknie ozdabiała dom. Dlatego zawsze

na święta wyjeżdżam z kolegami. Za ciężko mi zostać w pustym domu bez rozwieszonych skarpet, świec i wyjątkowych potraw.

– Rozumiem. Zawsze staram się udekorować mieszkanie tak, jak mama to robiła. Kiedy jest mi smutno, bardzo mi jej brakuje. Tęsknię za całą swoją młodością.

–Wiem, co chcesz powiedzieć, maleńka. Nie mogę uwierzyć, że niedługo stuknie mi siedemdziesiątka. To nierzeczywiste. Wpadłem ostatnio na dawnego znajomego – nie widziałem faceta pięćdziesiąt lat. Wyobrażasz sobie? Pół wieku!

– A ja jestem dwa razy młodsza od ciebie i już poszłam na zieloną trawkę.

– Nonsens. Jesteś młoda, mądra, znajdziesz kogoś, Holland. Wiem. Siedziałam w milczeniu i uśmiechnęłam się przebiegle.

– Poznałaś kogoś? – spytał nieśmiało.

– Może. Mam nadzieję.

Uścisnął moją dłoń.

– Byłby szczęściarzem, kochanie.

Wróciłam do domu i sprawdziłam automatyczną sekretarkę. Nic. Zastanawiałam się, kiedy Elliot się do mnie odezwie. Powinnam do niego zadzwonić. Tak naprawdę to mężczyzna powinien zadzwonić. Nie jestem staroświecka, ale biorąc pod uwagę mój stan emocjonalny, naprawdę brakowało mi odwagi, by wybrać numer, choć byliśmy tylko znajomymi. W dodatku wiedziałam, że dużo pracował... Jednak powinnam go przetestować. Tym razem żadnych gier: jesteśmy tylko kumplami i nie zamierzam wrosnąć w podłogę, czekając przy telefonie.

Dzień później, po dwusetnym odsłuchaniu milczącej sekretarki, zadzwoniłam do niego.

– Holly Talbott! Właśnie miałem do ciebie dzwonić!

– Naprawdę?

– Naprawdę. Z nadzieją, że może będziesz wolna dziś wieczorem. ..

– Hm... Nie wiem, co planujesz, ale zgoda.

– Fantastycznie. Co porabiałaś ostatnio?

–Wiesz... Nie było łatwo. To moje pierwsze święta bez synka, więc czuję się trochę... samotna. Ale postanowiłam zaliczyć wszystkie tandetne nowojorskie atrakcje dla turystów.

– Na przykład?

– Dwa przedstawienia na Broadwayu, wszystkie witryny świąteczne, obżarłam się jak świnia, choinka, muzeum.

– Zjadłaś choinkę i muzeum?

– Bardzo zabawne. Prawie – odparłam, uśmiechając się na myśl o jego dziwnej uwadze. – Ale poważnie mówiąc, zaliczyłam więcej wycieczkowych atrakcji niż Japończycy na czternastodniowym turnusie. Wszystko poza dorożką i Empire State Building.

– O której mogę po ciebie przyjechać?

Umówiliśmy się na ósmą. Miałam dość czasu, by wykapać się w pianie i bez pośpiechu zrobić na bóstwo. Słyszając jego głos, zupełnie się uspokoiłam i poczułam nieco mniej samotna po równoczesnym wyjeździe Milesa i Kiki.

Gdy zadzwonił portier, zastanawiałam się, czy powinnam zaprosić Elliota na górę, ale wciąż miałam poczucie, że to rodzinne mieszkanie. Nawet nie usunęłam jeszcze ślubnego zdjęcia ani fotografii z rodzinnych

wakacji, których nie miałam serca nagle zastąpić porozwodową wersją: „Mama i ja”. Zeszłam więc na dół, co okazało się dobrą decyzją, ponieważ Elliot musiałby płacić za czas oczekiwania... dorożkarzowi. Kiedy przyszedłam, siedział w dorożce!

– Co to jest? – zapytałam, rozpromieniona i zaskoczona. – Twoja karetka – odparł Elliot, wysiadając, by mi pomóc

ulożać się na staroświeckiej, miękkiej kanapie. – Wiem, że miałaś motyw przewodni w tym turystycznym zwiedzaniu.

– Ojej. Nie jechałam fiakrem od dzieciństwa, gdy przyjechałam tu na wycieczkę z rodzicami! — Nie wiedziałam, czy go uściskać, czy się opanować. Na szczęście nie musiałam podejmować decyzji, bo przytulił mnie i prawie podniósł.

– Hej, nie rób tego, wypadnie ci dysk.

– Masz rację. Ale faceci nie lecą na szkielety.

– Czyżby? W takim razie, dlaczego ślinicie się na widok modelek? Włącznie z twoim kumplem Lyle'em – droczyłam się, puszczając oko. – Widywałam go w gazetach z niejedną anorektyczną panią przez ostatnie lata.

– Zgadza się... Ale nie podobały mu się. Jest bardziej przywiązany do Kiki niż do którejkolwiek z tych dziewczyn.

Wsiedliśmy do powozu i Elliot przykrył nasze kolana kraciatym kocem, żeby ochronić przed lodowatym, choć cudownym powietrzem. Pojechaliliśmy Piątą Aleją wzdłuż parku, potem Płaza i dalej, mijając migoczące światełka butików wystrojonych na święta. Byłam w niebie. Za każdym razem, gdy musiałam iść pieszo przez centrum, czułam, że przedzieram się przez tłum ciał; próbując pozłatwić sprawy, pędziłam tu i

tam, walcząc z naporem tysięcy ludzi. Kiedy się dokądś spieszysz, nie masz czasu, aby przystanąć i chłonąć chwilę, teraz dostałam szansę nowego spojrzenia na swoje miasto. A także zrozumiałam, że Elliot swoim śmiałym i romantycznym gestem zdecydowanie rezygnował z roli przyjaciela, by zająć o wiele ważniejszą pozycję. Podejrzenie potwierdziło się, gdy podjechaliśmy pod budynek NBC.

– W Empire State Building nie podają kolacji – wyjaśnił. –Ale najlepszy widok jest tam z góry, z Rainbow Room.

Wpadłam w euforię.

– Nie byłam tu od wieków! – krzyknęłam, gdy prowadził mnie przez drzwi do przestronnego holu 30 Rock. Gdy weszliśmy, dwaj robotnicy nieśli długie lustro – przypuszczalnie na jeden z wielu planów zdjęciowych w studiach NBC. Elliot przystanął i postawił mnie przed lustrem. Stojąc za mną położył mi dłonie na ramionach.

–Widzisz? Spójrz na siebie. Wyglądasz, jakbyś połknęła wiaderko radu. Promieniejesz od środka.

Zauważyłam, że się rumienię, i wstydliwie spuściłam wzrok. Miałam to wspaniałe poczucie, że nadajemy na tych samych falach, i było mi z tym tak dobrze. Bellini na górze były pyszne, a widok z okna, przy którym stał nasz stół, zapierał dech w piersiach. Myślałam ciągle o tym, z jaką łatwością Elliot sprawił, że poczułam się piękna, pewna siebie i szczęśliwa. Zadurzyłam się! To było odkrycie roku. Tym razem – pomyślałam – doskonale umiem sobie wyobrazić, że idę z nim do łóżka. Nie byłam oziębła! Nie byłam przerażona, zdenerwowana ani rozedrgana. Chciałam tego, jak pragnie się wejść do oceanu w upalny dzień, i było to tak nowe doznanie, że poczułam niemal, jakby jakaś zasłona opadła mi z oczu.



Co dziwne, im więcej mówił, tym bardziej widziałam, że jesteśmy podobni do siebie. Te same ulubione smaki, te same zniechodzone potrawy. Ubóstwiał grzyby, nie znoził fenkułów i był uzależniony od kawy. Zjedliśmy na kolację przepyszne karczochy z cytryną, lekkie puszyste gnocchi w sosie z wódką i kawowe lody. Elliot zapłacił rachunek i zapytał kierownika sali, czy moglibyśmy szybko zerknąć do prywatnej części. Wpuścili nas do przestronnej sali, ciemnej i majestatycznej. Ogromny Empire State Building majaczył w gigantycznych oknach od podłogi do sufitu, a przed naszymi oczami rozciągało się całe miasto, ocean światła.

– To najpiękniejsza rzecz, jaką widziałam w życiu – szepnęłam zauroczona.

– Nie – odparł Elliot i ucałował moją dłoń. – Druga z kolei. I tak, jak mawiają, przepadłam.

Elliot odgarnął mi włosy z twarzy i delikatnie pieścił moją szyję aż do ramienia. Pochylił się i pocałował mnie tak namiętnie, że poczułam się naelektryzowana jak niezliczone drapacze chmur za oknami.

Objęliśmy się gwałtownie, a on całował moją szyję i ucho, sprawiając, że dreszcze przebiegały mi po plecach. Spletliśmy palce, a nasze oddechy stawały się coraz cięższe.

Nagle wpadł jakiś facet i zapalił wszystkie światła, rujnując nastrój. Wyglądaliśmy jak para nastolatków przyłapanych w szatni z wypiekami na twarzy. Elliot ujął moją dłoń.

– Chodźmy stąd.

Zatrzymaliśmy taksówkę i tym razem nie miałam żadnego problemu z tym, żebyśmy jechali do mnie. Całowaliśmy się szaleńczo przez całą drogę, a gdy samochód stanął przed budynkiem, w którym mieszkam, szofer musiał

nas o tym powiadomić, tak byliśmy sobą zajęci. Unikając wzrokiem portiera, pobiegłam do windy, ciągnąc Elliota za rękę. Jutro i tak z pewnością opowie o moich nocnych wybrykach wszystkim pracownikom. W mieszkaniu padliśmy na łóżko i wtedy zrozumiałam, że podnieca mnie mój partner, a nie nowa sytuacja. Czułam się bezpiecznie w jego ramionach, z kątów nie wylaziły żadne cienie przeszłości, nie musiałam nic udawać ani kontrolować, po prostu mogłam być sobą: prawdziwa i spokojna. I gdy myślałam, że już nie może mi się bardziej podobać, znów zachwycał mnie jakimś uroczym uśmiechem czy zabawnym gestem. O wiele silniejszy, niż sądziłam, przyciągnął mnie do siebie pewnym ruchem mężczyzny, który bierze to, czego pragnie. Ale ta siła mnie chroniła, zamiast wzbudzić obawy. Całowaliśmy się chyba godzinami. Dotykał moich włosów i pleców pod swetrem. Dlaczego nie robi kroku dalej? Może go nie kręcę? Dlaczego nie sięga po mnie całą? Pragnęłam go każdym milimetrem ciała. Wsunęłam ręce pod jego koszulę, aby poczuć skórę pod palcami. Jego brzuch i tors ciekawiły mnie. Badałam delikatny zarost na piersiach, przesunęłam dłonie w dół, kładąc się na nim. Wydał się trochę spięty.

– Nic ci nie jest? O co chodzi? – spytałam.

– Wszystko w porządku. Tylko... – Położył dłonie na mojej talii i pogłaskał po bokach. – Pomyślałem, że może nie powinniśmy się spieszyć.

Aha. Klapa.

– Och... OK – odparłam szybko.

– Uwierz, chcę się z tobą kochać. Naprawdę, po prostu pomyślałem. ..

– W porządku, jasne, nie ma problemu.

Nie ma, cholera, żadnego problemu, ale o co tu chodzi?

Myślałam, że wszyscy napaleni faceci zachowują się jednak podobnie. Chciałam go, ale też fajnie by było, żeby mnie błagał! Tymczasem poczułam się jak napastliwa nimfomanka. Jak drapieżnik ociekający estrogenem. Powinnam włączyć hamowanie? Boże, nagle do mnie dotarło: mężczyźni to nowe kobiety!

Zatonęłam w myślach o zmieniających się seksualnych obyczajach i feminizacji świata, a Elliot przyciągnął mnie znów i pocałował.

– Kochanie, co cię dręczy?

– Nie, nic... Po prostu nie rozumiem. – Mówił: „kochanie”, ale dlaczego nie rzucił się na mnie jak lew? Pieprzę, będę szczerą. – Po prostu nigdy przedtem żaden facet mnie nie powstrzymywał, tyle. Zwykle to ja naciskam na hamulec. Ale ty chcesz zwolnić, więc...

– Po prostu nie chcę niczego przyspieszać ze względu na ciebie.

– Jak to: na mnie? Nie widzisz, że cię chcę? – Byłam zażenowana tym wyznaniem.

– Posłuchaj, Holly – szeptał, obejmując mnie. – Jediną rzeczą, o której teraz marzę, to być z tobą.

No i...

– W takim razie, dlaczego nie...?

Objął dłońmi moją twarz.

– Chcę, żebyś wiedziała, że z tobą jest inaczej. Od pierwszego dnia jestem tobą urzeczony. A potem, kiedy się znów spotkaliśmy, naprawdę cię polubiłem.

Świetnie, jak mogłaby się nie podobać taka odpowiedź?

– Rozumiem... Ja ciebie też. Chyba.

– Chodź tutaj... – przygarnął mnie mocno i całowaliśmy się jeszcze bardziej namiętnie. Czułam się wspaniale, mogłam z nim rozmawiać otwarcie o wszystkim i to tylko wzmacniało pożądanie. Żadnych murów, im lepiej go poznawałam, tym bardziej mi się podobał. Odważnie ściągnęłam sweter przez głowę. Pocałował mnie w szyję i zszedł niżej. Wyraźnie zmieniał zdanie. Dysząc turlaliśmy się po kołdrze, splatając się z sobą, aż w końcu naprawdę zaczął mnie rozbierać i sięgnął do spódnicy. Tym razem ja go powstrzymałam.

– Masz rację, zaczekajmy – rzuciłam filuternie.

– Teraz ty chcesz czekać? – uśmiechnął się.

– Może miałeś rację. Poza tym już tyle o tym rozmawialiśmy, że byłoby niezręcznie... – ciągnęłam, parodiując zasadniczy ton.

– Niezręcznie? Ja się nie czuję niezręcznie. A ty?

– Nie, właściwie nie.

–Więc?

– Może naprawdę miałeś rację. Zaczekajmy. Do jutra.

– Do jutra wieczorem?

–Tak, obiecuję. Seks po randce. Nie robiłam tego, odkąd straciłam dziewictwo.

– Ja też nie. – Uśmiechnął się.

– Naprawdę? Jak to możliwe? – zapytałam. Może nie powinnam grzebać w jego młodzieńczym życiu miłosnym? – To zbyt osobiste?

– Nie ma zbyt osobistych spraw. Żadnych trupów w szafie.

Objął mnie i uścisnął.

– Kochanie, możesz mnie pytać o wszystko. – Podobało mi się, że mówił do mnie: „kochanie”. Nigdy w życiu nie czułam się tak szczęśliwa i

bezpieczna. – To było z moją dziewczyną z liceum. Uparła się, żeby puścić *In Your Eyes* Petera Gabriela, a wtedy nie było jeszcze pilotów, wiesz, więc musiałem przejść przez pokój, żeby włączyć magnetofon, ponieważ chciała stracić dziewictwo przy tej piosence.

– Ja przy Rolling Stonesach. – Hm. To nadaje całkiem nowy sens *Start Me Up*.

– Raczej *Let It Bleed*.

– No ładnie!

– Sam widzisz, Elliot, jak swobodnie się czuję przy tobie, skoro opowiadam o swoim krwawym pierwszym razie. Mam nadzieję, że nie przesadzam?

Pocałował mnie w czoło, położył dłoń na moim ramieniu i pogłaskał po rękę.

– Możesz mi mówić wszystko, co zechcesz.

Uśmiechnęłam się i pocałowałam go.

– Posłuchaj... – zaczął z poważną miną, a na jego czole pojawiły się zmarszczki. – Muszę ci o czymś...

Zadzwoił telefon. Rzuciłam mu spojrzenie mówiące, żeby zapamiętał tę myśl, i sięgnęłam po słuchawkę, zastanawiając się, kto mógłby dzwonić o północy. Miles.

– Cześć, mamusiu, to ja.

– Cześć, maleństwo! Tak się cieszę, że cię słyszę!

– Wiem, ja też za tobą tęsknię...

– Ale jest tak późno, nawet biorąc pod uwagę różnicę czasu...

Dlaczego jeszcze nie śpisz?

– Nie mogę zasnąć. Chciałem ci powiedzieć „cześć”. Tata i Avery gdzieś wyszli, więc zostałem z babcią. Siedzi w swoim pokoju i ogląda telewizję. Poszedłem do niej, ale kazała mi wracać do łóżka, więc zadzwoniłem.

Elliot wstał, a ja wskazałam gestem, że potrwa to tylko chwilę, ale on uśmiechnął się i bezgłośnie powiedział, żebym się nie spieszyła. Poszedł do kuchni. Długo rozmawiałam z synkiem zaśpiewałam mu kołysankę i utulałam go przez telefon.

– Przykryj się kołderką – poleciłam.

– Przykryłem się! – Chyba mu się spodobało takie usypianie na odległość.

– A–a–a... kotki dwa...

Gdy skończyłam, sennym głosem powiedział:

– Dobranoc, mamusiu.

– Dobranoc, kochanie. Kocham cię.

Choć nie chciałam, aby wyrósł na maminsynka, cieszyłam się, kiedy mnie potrzebował i myślał o mnie nawet w zaśnieżonym Kolorado. Dzięki Bogu, że wylądowałam w domu. Elliot wrócił z gorącą czekoladą. Nawet nie wiedziałam, że ją mam. Przytuliliśmy się jak mąż i żona.

– Dobrze – powiedział. – Ale wiesz, co jest jeszcze lepsze?

– Co takiego?

– Gorąca czekolada z automatu. Najlepsza rzecz pod słońcem.

Nie wierzyłam własnym uszom.

– Dokładnie! Ubóstwiam gorącą czekoladę z automatu. Wszyscy znajomi nabijali się ze mnie w college'u, bo wymuszałam spacer do Cumberland Farms na czekoladę!

– U mnie tak samo. Z najlepszym kumplem byliśmy tak uzależnieni, że zaprzyjaźniliśmy się z szefem kuchni i przemyciliśmy automat do swojego domu.

– Boże, to moje marzenie! Ale pewnie piłabym takie ilości, że wyglądałabym jak Roseanne Barr.

– Miałbym więcej do kochania.

Zgasił światło i pocałował mnie na dobranoc. Gdy zasnął, zapragnęłam zaskoczyć go i położyć się na nim naga, ale umówiliśmy się na następny wieczór, słowo się rzekło. Przyglądałam się mojemu mężczyźnie (na szczęście nie chrapał) i myślałam o Timie. Oczywiście eksmeża znałam o wiele lepiej – spędziliśmy razem tyle lat. Ale gdy patrzyłam na słodką twarz Elliota, czując na ustach jego pocałunki, bardzo pragnęłam poznać go lepiej i rozumiałam, że naprawdę stałam się inną osobą. Nawet gdyby Tim walczył, błagał, stawał na głowie, byśmy wrócili do siebie, nie byłoby to możliwe, ponieważ całkiem się zmieniłam. Koszmarne pierwsze miesiące po rozstaniu, cierpienie i ból złamanego serca rzeźbią nowego człowieka, tę Holly, która czule wpatrywała się w leżącego obok Elliota.

## ***Rozdział 40***

***To nieprawda, że ludzie zaślubieni żyją dłużej niż samotni... Po prostu czas się dłuży.***

Następnego dnia obudziliśmy się około południa, a ja natychmiast wymknęłam się do łazienki, żeby odtłuścić twarz. Patrząc w lustro gotowa

byłam się założyć, że na strefie T można usmażyć jajko. Myjąc zęby, poczułam bolesne ssanie w żołądku, zjadłabym wszystko, ale lodówka świeciła pustkami, jak zwykle, gdy Miles wyjechał. Wróciłam do łóżka (uczesana i z miętowym oddechem) i skoczyłam na Elliota, który uśmiechnął się i przytulił mnie jak niedźwiadek. Czułam się szczęśliwa i potrzebna, nie mogłam uwierzyć, jak łatwo jest budzić się obok niego i że to był nasz pierwszy wspólny poranek.

– Jestem głodny – oznajmił.

– Karm mnie, Seymour, karm mnie przez całą noc... – Zaśpiewałam fragment ze *Sklepiku z horrorami*.

Roześmiał się, spojrzął na mnie i poklepał delikatnie po twarzy.

– Masz ochotę na wielki pyszny brunch? – zapytałam.

–Nie.

– Przykro mi, ale muszę ci to wreszcie wyznać: nie potrafię podrzucać naleśników w stylu Betty Crocker.

– Nie ma problemu. Ja potrafię.

– Naprawdę?

– Tak. Masz naleśniki w proszku?

– Nie. Mam musztardę.

– Musztardę, powiadasz. Chyba trzeba coś zamówić.

– Mam lodówkę singielki.

– Chyba już nie jesteś singielką. – Czy to oznaczało, że jest moim... facetem? Chyba tak. Moje serce wykonało potrójny piruet. Podekscytowana podreptałam po plik ulotek restauracji dowożących jedzenie. Miałam ich setki.



– Jasna cholera, przejrzałaś Zagats i zażądałaś karty z każdej knajpy w mieście?

–Mniej więcej.

– Wiem. Martha Junior.

– To wygląda zachęcająco – powiedział, wyjmując dużą ulotkę ze słońcem. – Uśmiechnięta żółta buźka podpowiada mi, że to miejsce dla nas.

Wybrałam numer, a Elliot wykrzykiwał kolejne dania, aż w końcu zasłoniłam słuchawkę dłonią i powiedziałam:

– Przyhamuj, tym można by wykarmić rodzinę z dwójką dzieci!

Zanim się rozłączyłam, zdążyliśmy zamówić bez mała szwedzki stół. Przez chwilę całowaliśmy się namiętnie przed kreskówkami (Miles zostawił telewizor na kanale Nickelodeon) i dowiedziałam się, że Elliot jest fanem SpongeBoba, mimo że nie ma dzieci. Dziwne, ale urocze zarazem. Całowaliśmy się, oglądając kreskówki, aż zadzwonił dzwonek.

Rozłożyłam wszystkie pyszności, na końcu wyjmując z opiekacza grzanekę z jajkiem i keczupowym sercem. Coś ode mnie. Domowe jedzenie! Pani Brady, żona doskonała. No dobra, może nie całkiem. Ale przynajmniej postarałam się, żeby ładnie wyglądało. Nawet znalazłam tacę, którą dała mi mama. Położyłam na niej jedzonko, szklaneczki z sokiem pomarańczowym oraz kubki z kawą i zaniósłam mu do łóżka.

– Jesteś świetnie zorganizowana

– Ależ ze mnie szczęściarz. Jaki wybór!

Jedliśmy, oglądając telewizję: tańczące jak w transie rozgwiazdy, rozkołysane wodorosty, koralowce i gnające w górę bąbelki. Zabawne odgłosy prowokowały Elliota do wybuchów śmiechu. Wciąż był w środku małym chłopcem, co mnie zachwyciło. Byłe nie spotykał się z braćmi

Culkin, nie kupował wesołego miasteczka i kości człowieka–słonia. Po kolejnej godzinie wylegiwania się wyszłam z łóżka, żeby rozsunąć zasłony.

Oniemiałam z zachwytu.

– Chodź, musisz to zobaczyć!

Miasto przykrył biały puch. Szalała zamieć, płatki śniegu uderzały o szyby, a nasze gniazdo w pościeli wydało się jeszcze bardziej ciepłe, bezpieczne i oddzielone od reszty świata... Spędziliśmy cały dzień w łóżku, oglądając kolejne filmy z lat osiemdziesiątych. Zanim się zorientowaliśmy, nastąpiła czwarta po południu i zapadł zmrok.

Wskoczyłam pod prysznic, a gdy spływała po mnie gorąca woda, w duchu wyobrażałam sobie, jak Elliot wchodzi do mnie, żeby się przyłączyć. Nie zrobił tego jednak, więc włożyłam mięciutki kaszmirowy sweter oraz spódnice i zapytałam, na co ma ochotę.

Nic nie odpowiedział. Patrzył na mnie tylko. Usiadł i wyciągnął rękę. Najpierw pocałował mnie delikatnie, potem coraz bardziej intensywnie, aż w końcu zatraciliśmy się w objęciach do zawrotu głowy. Spokojnie rozpiął kardigan, który miałam na sobie. Jego powolne, metodyczne ruchy sprawiły, że o mało nie zemdlalam. Pocałował dekolt nad piersiami. Przyspieszał, a za chwilę znów zwalniał, doprowadzając mnie do szaleństwa. Delikatnie zsunął jedno ramiączko stanika i pocałował mnie w ramię. Całował mój obojczyk, aż dotarł do drugiego ramiączka, które opadło do łokcia, wtedy rozpiął stanik. Poczułam przepływające przez całe ciało fale gorąca, gdy wsunął dłoń pod spódnice i przesunął w górę uda. Wstrzymałam oddech, gdy mnie dotykał, czułam jednocześnie całkowitą wolność i straszne oczekiwanie. Ściągnęłam z niego T-shirt i gładziłam tors oraz brzuch, całując go, gdy leżeliśmy tuż obok siebie. Kochanie się z nim było rozkoszne i nieznośne,

bo przedłużał moje pragnienie. Oscylowałam pomiędzy żądaniem, by wreszcie rzucił się na mnie, a życzeniem, by dalej przedłużał cudowne oczekiwanie, abyśmy jeszcze i jeszcze cieszyli się chwilą.

Elliot przerwał pocałunki i zdjął gumkę z moich włosów, po czym przeczesał je palcami. Czułam dreszcze na rękach i plecach, a gdy rozpiął suwak spódnicy, zrozumiałam, co mieli na myśli autorzy kiepskich powieścideł, gdy ich bohaterki omdlewały. Zsunął mi majtki i spojrzał w oczy.

–Jeszcze wieczór nie nadszedł, czy dasz mi zielone światło? – wyszeptał, a ja poczułam dotyk jego ust na uchu.

– Zielone, najzieleńsze na świecie.

Roześmiałam się, a gdy zamknął mi usta pocałunkiem, wiedziałam, że lepiej już być nie może. Uniósł mnie jedną ręką, zsuwając kołdrę w dół. Wchodził we mnie powoli i czule, ale potem chwycił mnie mocniej, więc wiedziałam, że ma własny rytm, co jeszcze bardziej mnie podnieciło. Objęłam go mocno i patrząc sobie w oczy, ruszyliśmy w doskonałym rytmie, a ja gładziłam jego plecy, poddając się fali niesamowitej rozkoszy. Tulił mnie całym sobą i nie wstydził okazać, jak mu dobrze,– nic nie mówił, tylko oddychał ciężko, a gdy jego oddech przyspieszył, mocno uścisnął moją dłoń.

Czułam nadchodzący orgazm. Zbliżał się coraz bardziej. Całym moim ciałem, nawet koniuszkami palców wstrząsały teraz słodkie skurcze. Chyba krzyczałam. I zaczęło się uspokajać, jak po wielkiej burzy, zapadała we mnie cisza. Ukojenie, spełnienie, radość. Wydarzył się cud. Elliot był niesamowitym kochankiem. Ale to było znacznie więcej niż dobry seks. Zostałam przytwierdzona milionem niewidzialnych niteczek. A on?

O Boże, byle nie nastąpiła teraz paskudna cisza.

Nie zdążyłam dokończyć myśli, gdy Elliot chwycił mnie w ramiona i całował szybko w usta, potem policzki i czoło. Istne szaleństwo.

Tak, zakochałam się. Użyłam całej siły woli, żeby nie wykrzyczeć tego natychmiast. Bałam się własnej nadziei, że zostaniemy parą. Sięgnęłam po szklanekę wody, stojącą na szafce przy łóżku. Wpatrywałam się w jego zarumienioną piękną twarz i nie mogłam uwierzyć, że ten doskonały mężczyzna znalazł się tu nie przez przypadek, z nudów czy dla kaprysu, ale dla mnie samej, z wyboru. Całkiem oszalałam na jego punkcie. Wtedy pojawiło się nieuniknione pytanie, zadawane ze strachu przed ciszą po seksie, natychmiast zrównując mnie ze wszystkimi kobietami na północnej półkuli.

– O czym myślisz?

Kretynka. Idiotka. Fatalnie.

– Myślę... że jesteś bardzo... – urwał, szukając właściwego określenia.

Piękna? Seksowna? Cudowna?

– Tak...?

– Znajoma.

Uśmiechnęłam się.

– Mówię poważnie. Odnoszę wrażenie, jakbym znał cię od zawsze.

Dziwne.

Spojrzałam na niego i pogłaskałam po boku.

– Ale dziwne w pozytywnym sensie – dodał. Odgarnął pasmo włosów z moich oczu i popatrzył w nie, po czym znów mnie pocałował. – Nieźle narozrabialiśmy... – spojrzał na rozrzuconą pościel – został goły materac. — Uśmiechnął się i zaczął ścielić łóżko, co mnie zbiło z tropu. Tim nigdy nie

kiwnął palcem. To ja biegałam tam i z powrotem, wygładzając każdą fałdkę. Dwie pary rąk znacznie ułatwiały zadanie. Naprawdę czułam obecność partnera, a nie udawaną więź, po której i tak wraca samotność. Gdy białe prześcieradło zawisło nad łóżkiem, zanim je rozłożyliśmy, musiałam zamrugać powiekami, żeby powstrzymać cisnące się łzy. Sherry Von była w błędzie – znalazłam kogoś. Kogoś, kto wydawał się idealny. Nawet gdyby mnie teraz rzucił, dowiedziałam, że mogę znów kochać. Miałam tylko nadzieję, że nie rozbije mojego serca na miliard okruchów.

## *Rozdział 41*

*Dlaczego rozwód jest taki drogo Ponieważ jest wart każdych pieniędzy.*

Kiedy ubraliśmy się w wariackim pośpiechu i wyszliśmy na Piątą Aleję, odezwał się pager Elliota. –Jezu, myślałam, że artyści nie wstają przed południem! Kiki twierdzi, że Lyle zawsze jeszcze śpi, kiedy ona wychodzi o dziesiątej z jego mieszkania! – Wyciągnęłam rękę, modląc się, by nadszedła taksówka.

–Holly, zaczekaj chwilkę... Musimy o czymś porozmawiać. ..

W tej samej chwili obok kopca śniegu zatrzymała się taryfa i wyskoczyła z niej jakaś kobieta. Podziękowałam jej w duchu. Odwróciłam się, żeby pocałować Elliota na pożegnanie.

– Chciałeś mi coś powiedzieć?

– Niech pani wsiada! – krzyknął kierowca z wyraźnym wschodnim akcentem. Swój rozkaz podkreślił klaksonem. Nieźle.

–Wskakuj! – rzucił Elliot, całując mnie w policzek. – Później pogadamy.

W drodze do pracy byłam ciągle pod takim wrażeniem ostatnich magicznych czterdziestu ośmiu godzin, że zapomniałam o tremie debiutu w nowej roli.

Dopiero na miejscu poczułam lekki niepokój. W końcu zaczynałam zupełnie nowy rozdział życia, ale miałam nadzieję, że na informacji prasowej, dzięki której dostałam tę pracę, nie kończą się moje umiejętności pisarskie. Na powitanie wyszła Tristin w wąskim pasku zamiast spódnicy, po czym oprowadziła mnie po firmie i pokazała wszystko włącznie z automatem do kawy, który okazał się kluczowym miejscem po szalonym weekendzie, gdy przespałam może cztery godziny. Tak to już jest: boisz się zasnąć, żeby nie chrapać, nie mlaskać, nawet nie oddychać, że nie wspomnę o innych naturalnych odgłosach. Wypiłam trzy kubki kawy, by jakoś pokonać śpiączkę. Połowy pracowników nie było w firmie, a mijając gabinet Randy, pomachałam do niej, na co odpowiedziała promiennym uśmiechem, zajęta rozmową przez telefon.

Dotarliśmy do mojego biurka przy ogromnym oknie, tuż obok Tristin. Ogromny przezroczysty iMac prezentował się tak wspaniale, że z radości omal go nie przytuliłam – umiarkowanie ufałam ludziom preferującym pecety. Gdy dopiłam kawę, poszliśmy do pomieszczenia z przyborami biurowymi. Czułam podekscytowanie na sam widok ryz kolorowego papieru, notatników, setek kolorowych długopisów, pudełek ze skoczem i markerami. Zebrałam tak pokaźny łup, że trzy razy obracałam po aluminiowych schodach, zanim wszystko przytargałam na biurko. Robiąc

ostatni kurs, nie zmieściłam się obok faceta, który schodził po schodach, kiedy ja wchodziłam.

– Zapewne pani Holly Talbott – powiedział poważnym, czysto służbowym tonem. – Sean Greene.

– Dzień dobry, miło pana poznać – odparłam. Udało mi się podać mu rękę, mimo że targałam stos pojemników z różnościami. – Bardzo przepraszam, właśnie obrabowałam pański magazyn przyborów biurowych, czuję się jak podczas pierwszego dnia szkoły.

– Pozwoli pani, że pomogę – zaproponował i odebrał ode mnie trzy pudełka ze spinaczami do papieru we wszystkich kolorach tęczy, fluorescencyjne samoprzylepne karteczki oraz kalendarz biurkowy.

– Bardzo dziękuję... Jest pan prawdziwą gwiazdą — powiedziałam i od razu poczułam się głupio. – Chyba teraz będę musiała zmienić słownictwo, skoro pan zna prawdziwe gwiazdy rocka. Chciałam powiedzieć „fantastyczny”.

Dotarliśmy na miejsce i rzuciłam swoją zdobycz na blat biurka. Uśmiechnął się do mnie.

– Do zobaczenia – rzucił krótko i poszedł.

– Holly, za chwilę mamy zebranie. Dostaniesz wszystkich swoich artystów, włącznie z The Saints. To ta nowa genialna kapela z Brooklynu – powiedziała Tristin. – Na pewno ci się spodoba.

Po naradzie, która trwała wieczność, wyszłam z teczkami i stosami płyt demo moich trzech nowych zespołów i usiadłam przy telefonie, żeby obdzwonić wszystkich menedżerów, przedstawić się i umówić z nimi na lunch. Zadzwoiłam też do menedżerów zajmujących się planowaniem tras

koncertowych, żeby poznać daty koncertów w Nowym Jorku, zaprosić wszystkich znanych redaktorów i zacząć działać.

W tej chwili podszedł Noah Greene, *el pmidente* oraz współzałożyciel wytwórni i przystanął, żeby mi się przyjrzeć.

– Taaa... Więc jesteś tą nową panią z Dartmouth, którą zatrudniliśmy. Myślałem, że w New Hampshire są same stodoły! Kto mógł przypuszczać, że mądrale mogą być takie śliczne? – Odszedł, zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć. Byłam w szoku. To przecież zwykłe molestowanie! A przynajmniej zachowanie wyjątkowo nieprofesjonalne. Ale że nie usłyszałam nic na temat włosów łonowych w coli ani niczego z podobnych tekstów sędziego Clarence'a Thomasa, wróciłam do pracy, nieco zmieszana, choć także z poczuciem, że mi schlebił. Napisałam roboczą wersję komunikatu prasowego o The Saints. Ich album miał wyjść za trzy miesiące, ale jedna z piosenek wyciekła do Internetu i stawała się hitem, więc moje zadanie było bułką z masłem. Dzień minął błyskawicznie. Zadzwoiłam do znajomej, Maggie, która kiedyś pracowała ze mną z dziale produkcji „Paper”, a teraz przeniosła się do „Spin”.

–Magdogs!

– Holland? A niech mnie! Co u ciebie?

– Pracuję w dziale PR-u Celestial.

– Żartujesz!

–Wcale nie. Przeszłam na drugą stronę barykady. Wiem, że to przypomina prawników, którzy się sprzedają i zaczynają bronić gwałcicieli. Ale nie.

– Nie, chodziło mi o to, że w ogóle pracujesz. Czy nie wydałaś się za gościa od funduszy hedgingowych?



– Hm, tak, ale jestem po rozwodzie. Mój synek chodzi do szkoły, więc pomyślałam, że wrócę do pracy. To tylko trzy dni w tygodniu, więc naprawdę super.

– Fantastycznie! Ale czekaj... Jak ci się pracuje z tymi dziwnymi braćmi Greene?

– Są odpychający, ale znają się na rzeczy. Przegadałyśmy pół godziny, a pod koniec zgodziła się zamieścić notkę. Sukces!

Wróciłam do domu wykończona i zobaczyłam przepiękne kwiaty.

*Już się za Tobą stęskniłem. Zadzwoń po powrocie. Kolacja w piątek? Sobotę? Jedno i drugie? Elliot.*

Uśmiechnęłam się uradowana. Mimo pracowitego dnia w każdej sekundzie spokoju myślałam o nim i czułam na nowo przypływ szczęścia. Drżałam, wracając pamięcią do wspólnych chwil. Coś musiało się dzieć z moją twarzą, bo Tristin w pewnej chwili rzuciła zza biurka:

– Promieniejesz, Holly. To rzadkość w poniedziałek.

Szybciotko pochyliłam się nad klawiaturą.

Wieczorem Miles znów zadzwonił, żebym z nim porozmawiała, na odległość utuliła do snu i pośpiewała kołysanki.

– Chyba jesteś szczęśliwa, mamusiu! – On też zauważył! Przez kabel telefoniczny. Niesamowite.

– Naprawdę? Masz rację, jestem szczęśliwa.

Następnego dnia znowu rzuciłam się w wir pracy i poranek minął jak z bicza strzelił. Wczoraj nawet nie pomyślałam o lunchu i nie wierzyłam, że taki żarłok jak ja może documować do grona żalonych pracusiów zapominających o jedzeniu, ale naprawdę zapomniałam. Zdenerwowanie pierwszego dnia zelżało i o drugiej poczułam wilczy głód. Minęłam biuro

Randy – jadła drożdżówkę z serem (rzadko widywałam ją bez niej) i oglądały z Tristin zdjęcia na okładkę albumu Rotting Corpses, brazylijskiego zespołu deathmetalowego, którego singiel nosił tytuł *Dig Up (My Grave)*. Nerwowo skradałam się korytarzem. Obie podniosły wzrok i spojrzały, jakby pytając: „O co chodzi?”.

–Hm... Randy, czy mogłabym... Miałabyś coś przeciwko, gdybym... wyskoczyła na drugą stronę ulicy kupić kanapkę?

Zmarszczyły brwi, jakbym mówiła po chińsku. Poczulałam się głupio czy raczej, jak kiedyś pisała Kiki: „gupio”.

– Dlaczego po prostu nie pójdziesz na lunch? — spytała Randy.

Tak dawno już nie pracowałam, że zapamiętałam tylko czasy, gdy jako asystentka, nie odchodząc od komputera, pożerałam w pośpiechu jakieś buły albo głodowałam. Teraz, choć przez sześć lat zajmowałam się jedynie rodziną, moje stanowisko było dość ważne, żeby pozwolić sobie na prawdziwy lunch. Kupiłam falafel w chlebku pita i poszłam ulicami, zaglądając do uroczych małych sklepików, których nigdy przedtem nie widziałam. Rozmyślałam o Elliocie i jego uroczym liście, a zamiast po twardym chodniku stapałam raczej w chmurach.

Następnego dnia do mojego biurka podszedł Noah Greene i kładąc mi dłoń na ramieniu, powiedział:

– Hej, ty... Przyjdź do mojego biura. Zdenerwowana podążyłam za nim na trzecie piętro do jaskini szefostwa firmy.

–Ooo! Fantastyczne! – powiedziałam, przyglądając się obrazom Warhola i Liechtensteina na ścianach. – Wspaniały wybór!

– Dzięki. Zatrudniliśmy najlepszą konsultantkę. Potrafi zdobyć dla nas najlepsze sztuki – przechwalał się i gestem wskazał na cudownego

Motherwella za kanapą. Podszedł do drzwi łazienki i otworzył je. – Zobacz – zachichotał – Jasper Johns nad kibelem. Nieźle, co?

Wrócił do gabinetu, usiadł na fotelu od Eamesa i oparł buty z krokodylej skóry na podnóżku.

– Mogę pana skontaktować ze świetnym doradcą. Nazywa się Elliot Smith. Zna go pan? – zapytałam.

– Jak ten piosenkarz? Nie kojarzę. A znam wszystkich w branży.

– Naprawdę? Wiem, że sporo współpracuje z Lyle'em Spence'em.

– Kupiłem mnóstwo obrazków od Lyle'a. Ale Smith... Nic mi nie mówi.

No cóż. Pomyślałam, że Elliot ucieszyłby się z nowego dzianego klienta. Ale zanim zaczęłam go dalej urabiać, Noah zmienił temat.

– Dobra robota z tym tekstem do „Spin”. Jak ci się to udało? Poprzednia dziewczyna na tym stanowisku przez dwa lata nie zrobiła tego, co ty w ciągu trzech dni.

– Znam pewnego faceta... Matta Sevina. Podejrzywałam, że album mu się spodoba, i miałam rację. – Chociaż nic nie było między mną a modnym chłopaczkiem w złotych trampkach, bez problemu wysłałam mu piosenki, wiedząc, że na pewno wysłucha uważnie. – Świat jest mały, sam pan wie.

–Podobasz mi się. I potrafisz pisać... Komunikat prasowy zrobiłaś genialnie. Dziewucha z marketingu skopiowała dosłownie całe fragmenty do tekstów promocyjnych.

– Widziałam. To komplement.

– Ludzie cię lubią... Redaktorzy, inni pracownicy. Chcę, żebyś zajęła się kolejną robotą. Podpisujemy kontrakt z młodą laską, będzie naszą Britney, tyle że całkiem inną – taką anti-Britney. Ta panna myśli. Tak jak

ty. Nazywa się Casey Sinclair i jest naprawdę śliczna. Ma gorące ciało. Pomożesz nam zrobić z niej gwiazdę.

- Super. Bardzo dziękuję.
- Lepiej, żebyś dała czadu.
- Obiecuję, Noah, dam czadu jak cholera.

Następnego dnia wręczył mi niedokończony demo, trzymał je w swoich krótkich pulchnych paluszkach, przesunął ostentacyjnie po biurku, i bez słowa poszedł sobie.

## *Rozdział 42*

- *Dlaczego ludzie po ślubie tyją ?*
- *Ponieważ single, idąc do lodówki, nie widzą niczego, na co mają ochotę, i wracają do łóżka. Po ślubie ludzie idą do łóżka i nie widzą tam niczego, na co mają ochotę, maszerują do lodówki,*

Sylwestra świętowałam sama, ponieważ Elliot pojechał do swojej rodziny na północ stanu. Prawdę mówiąc, nigdy nie lubiłam tej imprezy, ta cała radość i pijaństwo zawsze wydawały mi się wymuszone i sztuczne. Jak sobotni wieczór – o wiele częściej świetnie się bawiłam, niespodziewanie wychodząc dokądś w „zwykły” dzień niż w te nieszczęsne, obowiązkowe soboty.

Miles wrócił do domu następnego dnia. Byłam tak podekscytowana jego przyjazdem, że chodziłam w tę i z powrotem od drzwi do okna.

– Mama! – Jak bomba wpadł w moje ramiona i nie poszliśmy spać do późna w noc, rozmawiając o nauce jazdy na nartach i oglądając prezenty, jakie tata oraz babcia podarowali mu pod choinkę: morze gadżetów ze

Spider–Manem. Zrobiliśmy popcorn, a potem graliśmy w czarnego Piotrusia zestawem kart z wizerunkami postaci z komiksów Marvela. Nie dawałam mu forów, a mimo to ograł mnie trzy razy z rzędu. Albo mój mózg zamieniał się w papkę, albo moje dziecko było wyjątkowo bystre.

–Jak tam praca? – zapytał.

– Uwielbiam ją – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Zatrudnienie w Celestial naprawdę dało mi poczucie sensu życia i cieszyło mnie. Zawahałam się na chwilę, zastanawiając się, czy powiedzieć mu o Elliocie. Z jednej strony chciałam go chronić, ale był przecież moim jedynym dzieckiem, dość dojrzałym na swój wiek, więc miał prawo znać wszystkie sprawy naszej dwuosobowej rodziny, a poza tym chciałam się podzielić swoją radością.

– Jest jeszcze coś, kochanie – odważyłam się. – A właściwie ktoś. Mój nowy znajomy, Elliot.

–Mogę go poznać? – zapytał z prostotą. Uff. Doszłam do wniosku, że skoro Avery była z nim na rodzinnych wakacjach, mogłam przynajmniej przedstawić mu Elliota.

– Oczywiście. Bardzo bym tego chciała. Mam bilety na *Dziadka do orzechów*. Chcesz, żeby Elliot z nami poszedł?

–Jasne.

Elliot zadzwonił do mnie po powrocie, a ja przekazałam mu wszystkie nowiny z pracy i prośbę Milesa.

– Będę zaszczycony – odparł. – I podekscytowany... Nie widziałem baletu od dzieciństwa.

– Doskonale. Tim nigdy się z nami nie wybrał. Twierdził, że prowadzenie syna na balet jest „pedalskie”. Nie chciał, by Miles „robił piruety na boisku”. Szkoda słów.

Elliot przyjechał po nas z drugiej strony parku, po czym wróciliśmy do Lincoln Center. Rezerwował czas na pogawędkę z Milesem przed podniesieniem kurtyny, więc gadaliśmy w samochodzie (Elliot miał zaskakująco szeroką wiedzę w kwestii Power Rangers) oraz zjedliśmy na spółkę kanapkę z mozzarellą i pomidorem, kupioną na modnym stoisku, przed zajęciem miejsc. Szeptaliśmy, gdy przygasły światła, i o mało się nie rozpląnąłam, gdy Miles poprosił, żeby Elliot usiadł między nami. Ogromna sala była ciemna, poza światłem skierowanym na dyrygenta. Elliot i ja trzymaliśmy się za ręce, gdy zabrzmiały pierwsze dźwięki uwertury Czajkowskiego, przed nami kurtyna ze śnieżnym krajobrazem lśniącem migoczącą bielą. Pochyliłam się, żeby spojrzeć na buzię Milesa. Był zafascynowany.

Dziewczynki i chłopcy odtńczyli scenę przyjęcia z rodzicami. Przyszedł groźny ojciec chrzestny w pelerynie, z dziadkiem do orzechów, a podczas sceny z myszami widownia chichotała z radości. Potem nastąpiła moja ulubiona część: taniec płatków śniegu. Tancerki podskakiwały z wdziękiem w puentach na stopach, delikatnie stukając o podłogę. Zawsze zadziwiała mnie precyzja i synchronizacja kroków baletowych, niezmiennie wywołując dreszcze, a gdy spojrzałam na Elliota i Milesa, mieli ten sam zachwyt w oczach, patrząc na wystudiowane skoki i obroty. Siedząc obok moich mężczyzn, byłam po prostu w niebie.

Podczas antraktu wyszliśmy kupić coś słodkiego, a Miles zauważył kolegę z St. Sebastian's.

–Wylie! – wrzasnął i pobiegł do kumpla. Zaczęli rozmawiać o feriach (Wylie był na safari w La Singhita). Zajęliśmy z Elliotem miejsce w kolejce do stoiska z łakociami. Z trudem hamowałam rosnące pożądanie, od tygodnia wyposzczona i tęskniąca do pocałunków i pieśczoł. Ocierałam się o jego ciało i przechodziły mnie dreszcze.

– To wyjątkowy dzieciak – powiedział Elliot. – Fantastyczny.

– On też cię polubił.

–I ma fantastyczną mamę – dodał.

– Tęsknię za tobą – powiedziałam, a on pogłaskał moją rękę tak, jak w poprzedni weekend.

–Ja też.

Westchnęliśmy równocześnie, żałując, że nie możemy teleportować się do wspólnego łóżka.

– Holly... – szepnął ochryple, a pode mną ugięły się nogi. Zamknęłam oczy. Chryste, wśród tłumu ludzi, nie dotykając się nawet, my... uprawialiśmy seks.

– Kocham cię, Elliot – wymamrotałam zawstydzona, przerażona i szczęśliwa.

Cholera. Samo mi się powiedziało.

Najgorszy błąd z możliwych. Wypowiedziałam słowa, po których mężczyźni uciekają z krzykiem. Zawisły w powietrzu jak balon. Elliot pocałował mnie w policzek. Poleciałam w otchłań upokorzenia i zażenowania, zastanawiając się, czy to wszystko nie było wytworem mojej wyobraźni. Może zwyczajnie sypialiśmy ze sobą jak dorośli ludzie i to wszystko. Czyżbym pomyliła własne fantazje z realnym życiem? Maska na

twarz, swoboda i luz. Nasza kolej przy ladzie, więc uśmiech, zamówienie, słodycze i napoje, reszty nie trzeba. Chcę do domu!!!

Pożegnaliśmy się przy fontannie na zewnątrz, w tłumie ludzi pędzących do taksówek. Wypatrzyłam jedną i szybko pobiegłam. Gdy dotarliśmy do domu i skończyłam opowiadać Milesowi bajki na dobranoc, drżącymi palcami wybrałam najważniejszy numer telefonu. Musiałam porozmawiać z Kiki.

– Cześć, mówi Holly. Wiem, że dopiero co wróciłaś z Francji i jeszcze jesteś padnięta po zmianie czasu, bo w Paryżu jest trzecia nad ranem, ale zaraz zwariuję.

W panice opowiedziałam szczegóły mojej królewskiej katastrofy.

– Nie! Nie zrobiłaś tego!

– Owszem, Kiki, zrobiłam. Nie denerwuj mnie jeszcze bardziej, proszę. Jezu.

– Przecież milion razy mówiłam, że nie wolno tego robić! — jęczała.

–Wiem, Kiki! Totalnie spieprzyłam sprawę. Po prostu pytam cię, co teraz zrobić!

– OK, OK. Trzeba minimalizować straty. Pomyślmy... Dobra, wiem. Może powinnaś mu pokazać, że mówisz to do różnych ludzi, jak Angole mówią: „darling”... Może powiedz: „kocham pana” do taksówkarza.

– Świetnie, wielkie dzięki – mruknęłam, przewracając oczami, jeszcze bardziej przekonana o własnej głupocie.

– Albo do mnie... No wiesz, kiedy będziesz z nami rozmawiać, mów: „kocham was!”. Po prostu wtrącaj to, jak przecinek, żeby zrozumiał, że to nic dla ciebie nie znaczy.



– Czy ja wyglądam na syndrom Tourette'a? Co ja sobie wyobrażałam? Tracę głowę. Jakbym na chwilę straciła świadomość. Naćpała się. Nie mogę w to uwierzyć. Widzisz? Działa na mnie jak narkotyki! Mam gąbkę zamiast mózgu.

– Naprawdę nie jest tak źle. Koszmar.

– Naprawdę, Holly, nie jest źle. Pomyśl: po prostu byłaś szczerą, a jeśli on nie potrafi tego docenić i ma problem, to widać nie ten facet. Jeśli nie umie się uporać z wyznaniem miłości, to pieprzyć go.

– Ale ja naprawdę go lubię – powiedziałam i rozpłakałam się. – Chyba go kocham.

– Słoneczko, on cię ubóstwia – zapewniła Kiki. – Widziałam, jak na ciebie patrzył w Seaport, kiedy powiedziałaś, że nie znosisz klaunów... Jego twarz rozświetliła się jak choinka, był tak urzeczony.

– No, nie wiem...

– Ten facet wpadł po uszy.

– Ja wpadłam po uszy. Nie mogę myśleć o niczym innym. Piszę teksty do pracy i nagle odpływam...

– To normalne...

– Ludzie zawsze mówią, że początek jest taki wspaniały i podniecający, a ja czuję się po prostu chora. Przez cały czas się zadreczam: Czy to przetrwa? Czy on za mną tęskni? Czy mnie kocha? Czy zostanie moim mężem?

– Dowiesz się. Niedługo. Zaufaj mi, jego list miłosny z wyznaniem „Kocham cię” już do ciebie idzie. – Tak myślisz?

– O, na pewno.

– *A Szaleję za tobą* to nie to samo? Powiedział tak w łóżku parę dni temu.

– Bądź cierpliwa. Już wysłał list.

## ***Rozdział 43***

*Mężczyźni poślubiają kobiety z nadzieją, że one nigdy się nie zmienią.*

*Kobiety poślubiają mężczyzn z nadzieją, że zmienią się całkowicie. Niezmiennie obie strony są rozczarowane.*

**Albert Einstein**

Listonosz się spóźniał.

wiadomość od Elliota na sekretarce. – Cześć, kochanie, to ja. Muszę wyjechać do Genewy na kilka dni. Spotkamy się po powrocie. Może zaliczymy to nowe przedstawienie na Broadwayu, o którym tak się rozpisuje „NY Times”. Bardzo za tobą tęsknię i ja też... muszę ci coś powiedzieć. Śpij dobrze.

Choć „kochanie” brzmiało obiecująco, wciąż czułam się jak ludzki wrak. Kiki wpadła na chińszczyznę zamówioną w knajpie za rogiem i żeby pobawić się z Milesem. Przyniosła torbę francuskich słodkich skarbów z Bonpoint i Collette. Po rozpakowaniu prezentów, usiedliśmy wokół dużej układanki z mapą Stanów Zjednoczonych i próbowaliśmy scalić części naszego wspaniałego wielkiego państwa, lecz udało się jedynie złożyć fragmenty kilku stref czasowych, unoszące się teraz na oceanie dywanu pod nimi.

– Jak myślisz, co to znaczy? – zapytałam, gdy Kiki odsłuchiwała wiadomość na sekretarce. – Potrzebuję wnikliwej analizy.

Po dniu męczącego dreptania po pokoju usłyszałam

– Spójrz, Miles, ten pasuje do Kentucky – powiedziała Kiki, ze znanstwem łącząc fragmenty układanki. – To urocze, że lubi Broadway tak jak ty. Tima musiałaś ciągnąć za uszy. A poza tym chyba obie wiemy, że on ci „to powie”. Nie masz powodu do zmartwienia.

– Naprawdę? – nie byłam taka pewna. – Raczej spuści gilotynę. Nieźle go przeraziłam.

– Nieee... Wyraźnie chce ci wyznać swoją nieśmiertelną *amore*.

Zadzwoił telefon. Może to on?

Niestety.

– Tak, słucham?

– Dobry wieczór, czy mogę rozmawiać z Holly Talbott? – zapytał męski głos.

– Przy telefonie – odparłam, pragnąc wytruć wszystkich telemarketerów.

– Mówi Dan Allen z serialu *Prawo i porządek*. Licytowała pani jakiś czas temu rolę trupa na aukcji dla Lancelota?

– Ach, tak! – Spojrzałam na Kiki z szerokim uśmiechem. Całkiem o tym zapomniałam.

– Czy to Elliot? – spytała.

Pokręciłam głową, szukając ołówka, by zapisać szczegółowe informacje. Scena miała być kręcona wieczorem, obok promu na Staten Island. Fabuła odcinka opierała się na historii zaczerpniętej prosto z pierwszych stron gazet, o katastrofie promu i tragicznej śmierci mnóstwa

pasażerów, ponieważ kapitan był naćpany kokainą i heroiną. Ja grałam jedną z ofiar. Mój rozmówca dodał na końcu, że „jak dobrze pójdzie”, to tryskając krwią i wrzeszcząc z przerażenia, wypowiem nawet kwestię: „Gdzie jest mój mąż? Nie mogę go znaleźć!”. Jak ułał pasowało do mojej sytuacji.

Odłożyłam słuchawkę, oszołomiona.

– Pamiętasz, jak Tim licytował udział w serialu podczas tej imprezy dla Lancelota wieki temu? Dzwonili ci z *Prawa i porządku!* Kręcimy pojutrze! Mogę pojechać po pracy. Zostaniesz z Milesem?

– Co ty na to, mały? Co powiesz na pizzę z ciotką Kiki? Obejrzymy Spider–Mana.

–Super!

Aby przegonić natrętne myśli o Elliocie, rzuciłam się w wir pracy, która okazała się doskonałym lekiem na skołatane nerwy. Dzień w Celestial, jak zwykle szalony, spędziłam w świetnym nastroju, ani przez sekundę nie przejmując się swoim życiem uczuciowym.

Waliłam w klawiaturę komputera ze słuchawkami na uszach, słuchając Casey Sinclair, która może i miała ciało Britney, ale dała mi ważną lekcję na temat pierwszego wrażenia, ponieważ jej gardłowy jęk przypominał bardziej Fionę Apple niż cukierkowy pop. Przedstawiłam ją bardziej jako zdolną autorkę tekstów piosenek niż pociągającą dupeczkę, podkreślając jednak jej wygląd, wygładziłam też notkę biograficzną i komunikat prasowy, uważnie spoglądając na zegarek. Dawno minęła piąta i zostałam ostatnią żywą duszą w budynku. Albo tak mi się wydawało.

– Hej, Dartmouth – usłyszałam przez dźwięki piosenki, którą sugerowano na singiel. Zdjęłam słuchawki i podniosłam wzrok. Obok stał

Noah. – Co ty jeszcze robisz w pracy? Wszyscy wychodzą o czwartej pięćdziesiąt dziewięć.

– Och... Chciałam jeszcze coś skończyć o tej Casey. Jest naprawdę dobra. Dziś wieczorem wysyłam to do jej menedżera.

– Randy przesłała mi nowy tekst na temat płyty Saintsów – powiedział przebiegle. – Niezły. Naprawę niezły. – Puścił do mnie oko. Odpowiedziałam powściągliwym uśmiechem i wróciłam do klawiatury. Jakaż to radocha zbierać pozytywne opinie! W głębi duszy wiedziałam, że wracam do formy, a kilkuletnia nieobecność na rynku wcale nie sprawiła, że wypadłam z obiegu. Macierzyństwo zapewniało mi właściwą perspektywę, – już nie wpadałam w histerię przy każdym tekście jak wtedy, gdy miałam dwadzieścia kilka lat. Miles rozsiadł się w centrum mojego życia bardziej niż cokolwiek innego, a teraz dodając do tego pracę i być może faceta, za którym szalałam, dochodziłam do całkiem sensownej całości.

Gdy skończyłam, pędem pognałam „na plan filmu”. To brzmiało wspaniale: spieszę się na plan filmowy. No, no. Wszystko było tu inne, niesamowite i bardzo efektowne – ustawione w rzędzie przyczepy, reflektory, ludzie ze słuchawkami na uszach biegający we wszystkie strony i namiot firmy cateringowej ze szwedzkim stołem pełnym cudownych przysmaków.

Najpierw zadzwoniłam do Kiki, żeby sprawdzić, co u niej i Mileśa, siedzieli w kuchni, czekając, aż zrobi się popcorn w mikrofalówce.

– Baw się dobrze! – życzyła mi Kiki. – Bądź świetnym trupozem! To chyba oznacza: nie ruszaj się.

–Dobra, nie jestem trupem... Mam nawet swoją kwestię, pamiętasz? To naprawdę ważna rola.

– Ale nie pisz jeszcze mowy na rozdanie Emmy, OK?

– Ha. Dasz mi Milesa?

Życzyłam mu słodkich snów, a on obiecał, że od razu po Spider-Manie pójdzie spać. Byłam szczęśliwa, żeby jeszcze Elliot dołączył do naszego małego kółka.

Doszłam do rogu Whitehall i Pearl, gdzie polecono mi zapukać do drzwi przyczepy z napisem „makijaż”. W środku czekali dwaj przystojni geje, którzy pomogli mi wejść do swojego ministudia.

– Zrobimy ci zachwycającą ranę, moja droga – zapewnił mnie jeden z nich ze śmiechem. Miał platynowe włosy uczesane w kolce i z dziesięć skórzanych bransoletek. – Usiądź. – Zastukał w oparcie krzesła, na którym posłusznie usiadłam i w milczeniu pozwoliłam, aby zmył mi makijaż z twarzy. Tylko po to, żeby dołożyć krew. Sądziłam, że ktoś mógłby po prostu nałożyć sprejem tę czerwoną substancję dla pseudowampirów albo nawet ketchup, ale poharatanie mojej twarzy okazało się skomplikowanym i starannym procesem, który trwał ponad godzinę.

– I gotowe, Holly! – Odwrócił mnie do lustra.

Roześmiałam się, ale był to nerwowy śmiech.

—Jesteś... Mój Boże, jesteś mistrzem. To fantastyczne! — Spojrzałam na przerażająco realistyczne cięcie na czole i strużkę czerwonego płynu spływającego po twarzy.

– Odświeżymy krew przed ujęciem. Zachwycałam się zmasakrowanym obliczem przez kolejnych kilka minut, aż przyszła grupka ludzi, wszyscy ze sztuczną krwią, na poprawki przed ujęciami. Asystent producenta zaprowadził mnie do przyczepy z napisem „garderoba”, gdzie

dostałam ochlapany na czerwono beżowy płaszcz, który miałam zarzucić na swoje ciuchy.

Zaprowadzono mnie na plan, oślepiająco jasny mimo tego, że kręcono w nocy, – wszędzie stały silne reflektory; było surrealistycznie i ekscytująco, dokładnie tak to sobie wyobrażałam. Przedstawiono mnie reżyserowi, a potem ustawiono razem z kilkoma statystami, którzy tak jak ja, kuśtykając z bólu, mieli iść w stronę karetek po katastrofie nieszczęsnego promu. – Dobra, zaczynamy! – rozległ się wrzask przez megafon.

Moim zadaniem było panikować, krzyczeć i szlochać, a potem dać się sanitariuszowi zawinąć w koc. Zrozumiałam. Zrobiliśmy tylko jedną próbę, po czym kazano nam zająć miejsca.

– I... akcja!

–Gdzie jest mój mąż? – zawodziłam przeraźliwie, obracając rozpaczliwie głowę we wszystkie strony. – Nie mogę go znaleźć\*

Sanitariusz zarzucił mi koc na ramiona i wsadził do karetki.

– I... cięcie! – wrzasnął reżyser. – Świetnie. Spróbujmy jeszcze raz.

– Było w porządku?

– Jasne. Po prostu chcemy zrobić kilka ujęć. Bardzo mi się podobała panika.

– OK. – Super. To była najbardziej ekscytująca rzecz, jaką w życiu robiłam! –Akcja!

Powtórzyliśmy dwa razy z różnymi technicznymi przerwami pomiędzy. Udział w ulubionym serialu był naprawdę podniecający. Sięgnęłam do studni swoich emocji i z każdym ujęciem byłam bardziej zaangażowana. Zdumiewała mnie ironia sytuacji, gdy stałam tu, posiniaczona i ochlapana krwią, a obraz ten idealnie ilustrował mój

piekielny ostatni rok tylko dlatego, że Tim mi go wylicytował w prezencie. To było naprawdę niewiarygodne, tak jak i moja kwestia. Podczas piątego i ostatniego ujęcia, naprawdę dałam z siebie z wszystko.

– Gdzie jest mój mąż? Nie mogę go znaleźć!

Nawet udało mi się wywołać prawdziwe łyzy! Gdzie ta nagroda Emmy?

–Cięcie! Rewelacja.

– Bardzo dziękuję, świetnie się bawiłam!

Po zakończeniu pracy pożegnałam miłych ludzi, z którymi spędziłam kilka niesamowitych godzin, i ruszyłam piechotą na północ z nadzieją, że po drodze złapię taksówkę. Zapomniawszy, że wyglądałam, jakby przejechały po mnie dwa wagony metra, niepokoiłam się, kiedy nieliczni przechodnie patrzyli na mnie zaszokowani i przerażeni. Ulice były puste, ponieważ dzielnica finansowa tętni życiem jedynie za dnia, ale niemal we wszystkich oknach wieżowców świeciło się światło. Pracowite pszczołki w środku wciąż harowały dla swoich rozmaitych banków inwestycyjnych.

Gdy przystanęłam na chwilę, spoglądając w górę na szklane szczyty pionowych budowli zdających się przebijać chmury, usłyszałam coś. Głos. Bardzo znajomy głos.

– Dobrze, Tracy, daj mi znać, OK.

–OK, Elliot...

Pomyślałam, że właśnie trafił mnie piorun. Albo stanęło mi serce. Albo naprawdę wpadłam pod pociąg. Schowałam się za gigantyczną rzeźbą.

Nie.

Nie!

Znowu?



Mój oddech przyspieszył, aż przerodził się w świszczącą syrenę straży pożarnej. Stałam bez ruchu, niczym wiewiórka pośrodku drogi oślepiąca światłami samochodu, świadoma, że za sekundę zginie. Ale nie zamierzałam stać się sprasowanym gryzoniem. Może nie zostawiłam dla siebie dziesięciu procent. Może straciłam wszystko, przedwcześnie wyznając miłość i wyrażając nieocenzurowane uwielbienie każdym cholernym uściskiem oraz cielejącym spojrzeniem. Tak właśnie robię. To jestem właśnie ja. Ale w przeciwieństwie do tamtego poranka, kiedy ujrzałam splecione ramiona Tima i Avery, teraz byłam silniejsza. Nie zamierzałam kryć się za rzeźbą ani chyłkiem pobiec do domu. Wyszłam prosto na Elliota.

– Genewa, co? – Stałam z płonącymi oczami, przełykając łzy.

„Tracy” spojrzała na mnie jak na wariatkę i poszła sobie, a ja trzęsłam się jak w febrze. Elliot zrobił krok w moim kierunku.

– Holly? O mój Boże, co się stało?

– Myślałam, że wyjechałeś w podróż służbową...

– Wyjechałem. Wcześniej wróciłem. Właśnie miałem do ciebie zadzwonić... Jesteś ranna?

– Co ty tu robisz, Elliot? – wrzasnęłam.

Przez chwilę milczał. Super. Przyłapałam go. Wziął głęboki oddech. Wyglądał na przybitego i wyciągnął do mnie rękę, ale cofnęłam się.

– Holly, próbowałem ci powiedzieć, ale ciągle coś nam przeszkadzało i nigdy nie było odpowiedniej chwili. Wezwać lekarza?

– Nie. To charakteryzacja. Brałam udział w *Prawie i porządku*. Nieważne. Długa historia.

– Co? O czym ty mówisz?

– Pozwól, że cię o coś zapytam — powiedziałam, powstrzymując łzy.  
– Jak wiesz, po tym wszystkim, co przeszłam, naprawdę nie jestem w stanie znieść kłamstw. Co tu jest grane?

Elliot wypuścił powietrze i wbił wzrok w chodnik.

– Holly, naprawdę dręczy mnie to od dawna...

Rozpłakałam się. Po prostu zrzucić bombę, Elliot. A może tak naprawdę nie był rozwiedziony? Może miał dziecko z super-modelką?

– Nie jestem doradcą do spraw sztuki – powiedział trzeźwo. – Pracuję w funduszu hedgingowym.

Zostałam ogłuszona egzemplarzem „BusinessWeek”.

–Co?

– Chciałem ci powiedzieć. Przysięgam. Tamtego wieczoru byłem w galerii, bo Lyle jest moim bratem. Wszystkiego, co wiem o sztuce, nauczyłem się od niego.

– Lyle jest twoim bratem!?! – Wpadałam w surrealistyczny obłąd. – Żartujesz?

– Nie, ja... Mamy różnych ojców, ale wychowaliśmy się razem. Mamy tę samą mamę, on jest moim bratem. Potem nastąpił ten zwariowany zbieg okoliczności. Po spotkaniu w parku nie sądziłem, że jeszcze cię kiedyś zobaczę, ale to, jak się zachowywałaś wobec synka, zrobiło na mnie wrażenie. Rozmawiałem przez telefon, ale usłyszałem niechęć twoją deklarację, że już nigdy nie umówisz się z nikim ze świata finansów, i pomyślałem sobie: cóż, to może być jedyna kobieta w tym mieście, która tak myśli – powiedział na jednym wydechu. – Potem zdziwiłem się, gdy obie pojawiłyście się w galerii mojego brata, a kiedy zacząłem z tobą rozmawiać,

polubiłem cię. Bardzo. Przypomniałem sobie, co powiedziałaś, i bez zastanowienia palnąłem, że zajmuję się sztuką.

- Nie mogę w to uwierzyć. Jesteś cholernym hedgie?
- Posłuchaj, Holly. Naprawdę nie chcę cię stracić...
- Zapomnij. Zapomnij o wszystkim. Jak mogłabym ci znowu zaufać?
- Zauważyłam przejeżdżającą taksówkę. – Za dobrze kłamiesz, jak na mój gust. Zaslugujesz na nagrodę Emmy za to przedstawienie, Elliot. To ty powinieneś zagrać w *Prawie i porządku*.

Po tych słowach zatrzymałam taksówkę i z piskiem opon odjechałam do domu.

## Rozdział 44

*Małżeństwo to nie jest słowo... To wyrok.*

Oczywiście moja fasada twardej twardzieli rozpuściła się jak aspiryna, gdy skręciliśmy za róg. Zaczęłam szlochać tak konwulsyjnie, że nie zdziwiłabym się gdyby kierowca zawiózł mnie prosto na pogotowie.

- Pani jest ranna? Zawieźć panią do szpitala?
- Och, nie, nie... To tylko makijaż – odparłam, zaryczana.
- Ale dlaczego pani płacze? Coś panią boli?
- Nic mi nie jest, naprawdę, dziękuję...

Wyjrzałam przez szybę na FDR Drive i obserwowałam łodzie wzdłuż East River na tle nocnego nieba, potem zauważyłam dawny dom wariatów sterczący na samotnej wyspie, opuszczony i zrujnowany. Ból złamanego serca, ostry i miazdzący, przepchnął się przez mostek do gardła i poczułam,

jakby ktoś wsadził mi piłkę tenisową do przelyku. Naprawdę sądziłam, że Elliot był wszystkim, czego kiedykolwiek pragnęłam.

## **RÓWNANIE MARKA**

### **UZALEŻNIONY OD NETFLIX**

### **+ AKCENT COLINA FIRTHA**

### **TT (MAŁE ZŁOTE OPRAWKI OKULARÓW)**

### **/IDENTYCZNE UPODOBANIA SMAKOWE**

### **= MĘSKA WERSJA MNIE**

Kiedy wróciłam do domu, moja czerwona twarz i rana cięta biegnąca w poprzek czoła zaalarmowały portiera, ale spokojnie zapewniłam go, że nic mi nie jest. Wysiadłam na swoim piętrze i otworzyłam drzwi. Miałam tylko nadzieję, modliłam się, żeby Kiki, jedyna osoba, do której mogłam się zwrócić, nie uczestniczyła w spisku.

– Nie miałam o tym pojęcia. Żadnego – zarzekała się.

Kręciła głową, zaszokowana.

– Jezu, nic ci nie jest?

– To makijaż z planu – wyjaśniłam, ocierając łzę, i usiadłam.

– Lyle dzwonił niedawno. Powiedział, że Elliot jest przybity i że nigdy mi o tym wszystkim nie mówił, bo Elliot prosił, żeby go kryć, a potem tak się przeciągnęło. Jestem wściekła. Opierdoliłam go, jeśli chcesz znać prawdę. Jestem poważnie wkurwiona.

– Już sama nie wiem, co jest prawdą – wybełkotałam w smutnym oszołomieniu.

– Posłuchaj, Holly – powiedziała Kiki, klękając obok mnie. – To było paskudne zachowanie. Elliot skłamał, obaj kłamali... Ale uczucia są prawdziwe.

– Muszę się położyć. To jest... było... między mną a Elliotem, więc nie chcę, żebyście ty i Lyle byli w to zamieszani...

– Hej, mam dla ciebie nowinę: ja już zostałam wmieszana. Jesteś dla mnie jak siostra i jeśli nie chcesz, żebym się spotykała z Lyle'em...

– Przestań, to śmieszne. Jesteśmy dorośli. Nie potrzebuję solidarności w licealnym stylu.

Kiki poszła za mną do sypialni. Włożyłam piżamę i położyłam się do łóżka. Usiadła obok mnie na kołdrze.

– Holly... On zachował się jak dupek. Kłamstwo zawsze jest złe. Ale na jego obronę: nie dałabyś mu szansy, gdyby powiedział prawdę, tak?

– Nie wiem. Nie wiem... Jestem zmęczona. Randkami. Mężczyznami. Wszystkim. Muszę się przespać.

Kiki pochyliła się i uściskała mnie.

– Zadzwoń do mnie rano.

Odwiozłam Milesa do szkoły i jak automat pojechałam metrem do pracy. Bawiło mnie, jak szaleństwo minionego okropnego wieczoru współgrało z ranami na całej mojej twarzy. Doskonale: zewnętrzna manifestacja wewnętrznego krwawienia.

W pracy Randy i Tristin od razu zapytały, czy nic mi nie jest, widząc moją ponurą minę, ale tylko wzruszyłam ramionami i rzuciłam, że jestem zmęczona, po czym usiadłam przy biurku i zaległam tam w transie na wiele godzin bez przerwy. Jedyna radość to, że świetnie mi szło pisanie, a każdy e-mail zwrotny od Noaha i Randy był pochwałą.

Czułam dystans nie tylko do świata, w którym żyłam jako żona Tima, ale także wobec nowej siebie, którą wykułam w samotności. Mogłam jedynie poświęcać czas Milesowi, ostro pracować (ze świetnym skutkiem),

przychodzić wcześniej do biura tuż po odprowadzeniu Milesa na lekcje i zostawać do późna, kiedy miał trening piłki nożnej po szkole. Widząc numer Elliota na wyświetlaczu, nie podnosiłam słuchawki. Gdy zostawiał nagranie na poczcie głosowej, kasowałam wiadomość bez wysłuchania, co miał mi do powiedzenia. Nie mogłam sobie pozwolić, by ktoś znów złamał mi serce. Stałam się właściwie robotem. Nie mogłam pojąć, że ktoś, z kim tak mocno się związałam, mógł wieść całkiem inne życie niż to, które mi pokazywał.

Wieczorami zostawałam w domu i przygotowywałam kolację dla Milesa albo zabierałam go na łyżwy lub do muzeum. Robiłam wszystko, co chciałam robić, i wypracowałam niezawodny schemat: dziecko – praca – dom. Któregoś wieczoru znalazłam na progu przesyłkę. To była filcowa maskotka Kermita z małym napisem: „Tęsknię za tobą”. Zdjęłam napis, wyrzuciłam do śmieci, a zabawkę dałam Milesowi. Wypłukiwałam myśli o Elliotcie najstaranniej, jak potrafiłam.

Próbowałam skupić się na sobie. Robiłam to, co lubię. W końcu naruszyłam stos książek, przypominający krzywą wieżę w Pizie, na szafce nocnej. Im bardziej zagłębiałam się w historiach innych ludzi, tym bardziej zatapiałam się w marzeniach o jakichś odległych życiach, ale nie o moim własnym. Oglądałam niezliczoną ilość filmów, chodziłam na długie spacery do szkoły Milesa i z powrotem, pracowałam jak szalona. Całkiem zanurzyłam się w pisaniu i muzyce. Czasem wspaniała piosenka wywoływała myśli o Elliotcie. Ale choć mijały tygodnie, byłam ciągle przygaszona. Wiedziałam, że w końcu wszystko się ułoży. Po prostu nie byłam jeszcze gotowa wyjść do świata, ale wiedziałam, że gdy nadejdzie pora, będzie dobrze. Tym razem utrzymam gardę.

Mniej więcej dwa miesiące po pamiętnym wieczorze w dzielnicy finansowej przyszła Kiki, żeby zjeść ze mną i Milesem domową kolację. Spotkałam się z nią na lunchu dwa tygodnie wcześniej i próbowała zaapelować do mnie w imieniu Elliota, ale uciszyłam ją tak szybko, że teraz nie wymieniała przy mnie nawet jego imienia. Kiedy więc weszła i powiedziała, że musi mi o czymś powiedzieć, natychmiast odparłam: – Lepiej, żeby to nie miało związku z Elliotem. – Nie ma. Ale ma związek z jego bratem. – Uśmiechnęła się, biorąc mnie za rękę. – Lyle oświadczył mi się wczoraj wieczorem – dodała, wyraźnie starając się okiełznać podekscytowanie. – Bierzemy ślub.

– O Boże! – krzyknęłam i wstałam, żeby ją uściskać. – Jesteś pewna, że dobrze robisz!? Znacie się dopiero od pięciu miesięcy...

–Wiem. Na twoim miejscu powiedziałabym dokładnie to samo. To szaleństwo, ale wiesz, Holly, nigdy nie byłam niczego tak pewna. Ten facet... jest dla mnie wszystkim. Oczywiście poza tobą, Milesem i moją rodziną. Tak bardzo go kocham.

– Fakt. Nigdy nie widziałam cię tak szczęśliwej. Uściskałyśmy się znów i rozplakałyśmy.

– Możesz uwierzyć? – zapytała, ocierając łzę. – Ja? Ta, która już nigdy nie zamierzała wychodzić za mąż. Teraz nie mogę sobie wyobrazić życia bez Lyle'a. To takie dziwne.

–Jestem przeszczęśliwa.

– Będiesz moją pierwszą druhną?

– To dla mnie zaszczyt.

## *Rozdział 45*

*Właśnie wróciłam z najwspanialszej wycieczki. Odwiozłam męża na lotnisko*

Cichy ślub zaplanowano za dwa miesiące. Między całkowitym poświęceniem pracy a czasem spędzanym z Milesem pomagałam Kiki w przygotowaniach do zaślubin. Choć zarabiała na życie, regularnie planując takie imprezy, jej własne wesele było o wiele większym wyzwaniem, jeśli miało być oryginalne. W dodatku była tak zajęta swoimi klientami, że postanowiłam przejąć część organizacji wesela, całą papierkową robotę: zaproszenia, karty na stoliki, karteczki z nazwiskami i menu. Znalazłam stuletnią maszynę do druku wypukłego w South Street Seaport, a gdy pokazałam Kiki próbki, przesunęła palcem po delikatnych brzdach wytłoczonych liter i oczy zaszyły jej łzami.

– Holly, to przekracza wszystkie najśmielsze marzenia. Pamiętam, jak Sherry Von uparła się przy wytłoczeniu w Dempsey & Carroll i zaproszenia wyglądały jak u wszystkich innych, a to jest takie... moje.

Następnie zatrudniła mnie jako jedyną jurorkę i ławę przysięgłych zarazem do podjęcia decyzji w sprawie sukni ślubnej.

– Vera jest chyba przereklamowana – mówiła, gdy wchodziłyśmy do salonu przy Siedemdziesiątej Ósmej po odwiedzeniu wszystkich salonów sukien ślubnych w mieście. Niemal w tym samym momencie stanęła jak wryta z błyskiem w oku, a już wiedziałam: Kiki zobaczyła tę suknię, i ona wiedziała, że musi ją mieć. Zniknęła w przymierzalni, a ja o mało się nie popłakałam, gdy wyłoniła się jako panna młoda. Była tak niewyobrażalnie



piękna w zwiewnej koronkowej sukni, że Lyle na jej widok musiał roztopić się w kałużę na podłodze, niczym Zła Czarownica z Zachodu.

Teraz martwiłam się już tylko, czy nie stracę panowania nad sobą na widok Elliota. Kiedy o nim myślałam, czułam smutek, ale z całej siły wyrzucałam go z pamięci. Jedynie, gdy sprzątałam pokój Milesa i widziałam uśmiechniętą zieloną żabkę, zastanawiałam się, czy nie oceniałam go zbyt surowo pomimo tamtego kłamstwa.

– Dobrze się czujesz, Holl? – spytała Kiki z zatroskaną miną. Skinęłam głową. Nie chciałam psuć radosnej chwili samolubnymi ponurymi myślami na temat jej wielkiego wieczoru, mieszając swój szary nastrój z jej lśniąca bielą.

– Denerwujesz się z powodu Elliota, prawda?

Jak zwykle trafiła bezbłędnie, ale byliśmy dorośli, musiałam zacisnąć zęby i być silna. Przeżyłam małżeństwo, przeżyję i to. A przynajmniej tak mi się wydawało... Dlaczego tak trudno pozbyć się wspomnień o czasie, który spędziliśmy razem, skoro było to tylko przelotnym zawirowaniem? No cóż, prawdziwe tornado też trwa jedynie kilka sekund, a pochłania domy i mijają wieki, zanim się wszystko odbuduje.

– Dobra, ustaliłyśmy, że nie będziemy o tym rozmawiać – powiedziała Kiki i wzięła mnie za rękę. – Ale to wspaniały facet, ma serce z pieprzonego złota, czuje się okropnie w związku z tym, że cię okłamał, ale wiedział, że nie dasz mu żadnej szansy po twoich monologach przeciwko Wall Street Boys Club.

Spuściłam wzrok pocieszona przynajmniej tym, że czuł się winny... Timowi tego zabrakło, gdy nasz związek się kończył.

– Holly, posłuchaj... Elliot jest fantastyczny. Coś was łączyło. Pamiętasz, kiedy mi powiedziałaś, że wydał ci się taki znajomy? To był tylko czubek góry lodowej... On jest tobą.

– Skąd to wiesz?

– Od czego mam zacząć? – roześmiała się Kiki. – Używa czerwonych cienkopisów, tak jak ty. Cytuje Woody'ego Allena. Wbiega po schodach po dwa stopnie. W kinie podnosi torebkę z żelkami na wysokość ekranu, żeby zobaczyć kolor, po czym wyjmuje czarne.

– O mój Boże, ja robię dokładnie to samo! – zachwyciłam się. – Nigdy nie ufałam nikomu, kto lubi lukrecję.

– Daj mu jeszcze jedną szansę – błagała Kiki, ściskając moją dłoń.

– I ja też tak wchodzę po schodach? – myślałam na głos.

– Holl: on jest twoją drugą połówką jabłka.

Bardzo się bałam, tak dużo pracowałam nad sobą i teraz nie byłam pewna, kiedy znów poczuję się bezbronna.

Kilka tygodni później skontaktowałam się z najbliższą przyjaciółką Kiki, jeszcze z college'u, Elizą, żeby zorganizować szalony wieczór paniński. Miał być kameralny. ja, Eliza, fantastyczne kuzynki – Marina i Lauren z LA, oraz dwóch przyjaciół gejów, Stan i Andy, których Kiki nazywała „Standy”. Eliza i ja poświęciłyśmy sporo pracy, aby wszystko wyszło jak trzeba, i w wieczór przed uroczystym obiadem zebrałyśmy się w mieszkaniu Kiki (które, odkąd poznała Lyle'a, służyło właściwie jako zamykana na klucz garderoba), aby uczcić ostatnią dobę, jaką nasza przyjaciółka spędzi w roli wolnej dziewczyny. Nie mogłam uwierzyć, że znów wychodzi za męża. Minęły dwa lata od rozstania z Halem, a mimo to wydawało się tak niedawno. Ale jej małżeństwo z moim byłym szwagrem

od wielu lat było trudne i od dawna martwe, więc wiedziałam, że jest gotowa na prawdziwą miłość mimo hardych zapewnień, że pragnie tylko igraszek z młodymi ogierami.

W tej chwili wpadła cała banda gości, a Stan pisnął:

– Dziewczyno, czy ty chcesz, żeby ktoś cię puknął dziś wieczorem? Bo zlecą się do ciebie jak muchy do miodu.

– Hej, wychodzę za mąż, nie umieram! Nie jest chyba przestępstwem, żeby się za mną oglądali, póki jeszcze się nie związałam, co? – zażartowała Kiki, podekscytowana planowaną balangą na mieście. – Jakie niegrzeczne plany macie? – zapytała, a w jej oczach pojawiły się łobuzerskie iskierki.

– No cóż – powiedziała Eliza, spoglądając na mnie – zaczniemy od kuszących koktajli...

Poszliśmy do kuchni i o mało nie upuściłam tacy ze śmiechu. Andy postarał się odtworzyć przepyszną mrożoną margaritę z sokiem z owoców granatu, sztandarowy drink w Rosa Mexicano. Tyle że w każdym kieliszku tkwiła słomka zakończona główką penisa z dziurką, przez którą się piło.

– Aaaa! – krzyknęła Kiki, gdy przynieśliśmy trunek. – Chyba żartujecie!

Zwijaliśmy się ze śmiechu. Stan puścił głośniejsze jakieś stare hity Madonny, a Andy wyjął torbę z zakupami z Ricky's pełną ozdób tylko dla dorosłych.

– Dobra, dziewczyny – powiedział. – Jak wszyscy wiemy, każda porządna dziewicza panna młoda powinna mieć welon...

Wyjął długi biały tiul ozdobiony kwiatkami. Wyglądał normalnie, tyle że zdobiło go z pięćdziesiąt małych plastikowych penisów przyszytych na całej długości.

–Zaraz padnę! – parsknęła Kiki między łykami nieprzyzwoitego drinka.

Wkrótce ekipa ogłosiła gotowość do następnej rundy, więc zeszliśmy na dół, gdzie czekał nasz pojazd,– zarezerwowałyśmy Party Hen (Imprezową Kwokę) – przyczepę pokrytą w całości piórami, z gigantyczną głową kury z przodu. Imprezownia na kółkach. Weszliśmy do środka, pod sufitem dyndała dyskotekowa kula, miękkie kanapy zachęcały do relaksu, a w barku błyszcząły trunki z całego świata.

– Możemy ruszyć w miasto i zbierać po drodze jakieś ciacha! –wołał Andy euforycznie.

– Świetna bryka – powiedział Stan. – Czuję się jak raper. Ruszyliśmy. Najpierw skierowaliśmy się do centrum, do

Tortilla Flats, restauracji, gdzie wszyscy się urznęli, i objedliśmy się quesadillas, po czym ruszyliśmy na karaoke do Winnie's w Chinatown. Gdziekolwiek się pojawialiśmy, ludzie wyli ze śmiechu na widok Kiki w jej upstrzonym fiutkami welonie. Między zalanymi Koreańczykami wyśpiewującymi niezrozumiałe piosenki na zmianę darliśmy się przy starych kawałkach Bon Jovi i Springsteena, a Stan zmusił nas do picia shotów, czego nigdy nie potrafiłam robić. Około jedenastej pojechaliśmy do Culture Club, świątyni tandety lat osiemdziesiątych. Wśród tłumu gości wyróżniały się dwie inne grupki świętujące wieczór paniński. Tańczyliśmy do upadłego. W trakcie Safety Dance zauważyłam, że zalana w trupa Kiki rzewnie płacze.

– Co jest, Keeks?! – wrzasnęłam, przekrzykując muzykę.

– Ja po prostu...

Wszyscy zauważyli jej bezdenną rozpacz.

–Ja po prostu was kocham! – zaszlochała. Otoczyliśmy ją i przytuliliśmy, po czym tańczyliśmy jak rugbyści w zbiorowym uścisku, twarzami do parkietu, ciesząc się naszą panną młodą i tym wieczorem.

Przed pierwszą Kura rozwiozła nas do domów, podrzucając niczym jajka po całym mieście. Położyłam się do łóżka i gapiłam na sufit. Mimo świetnego wieczoru nad dyskoteką, kurzym pojazdem, nad całą imprezą wciąż wisiał cień. Rozrósł się teraz, wprowadzając lekki niepokój. Bałam się, czy starczy mi sił na spotkanie z Elliotem, ale czekało mnie to nieuchronnie następnego dnia i musiałam się uzbroić. Wtuliłam się w poduszkę, wspominając, jak leżał przy mnie jeszcze niedawno w tym samym łóżku, i zasnęłam.

## *Rozdział 46*

*Mąż: Byłem idiotą, kiedy się z tobą żeniłem.*

*Żona: Wiem, kochanie, ale byłam tak zakochana, że nie zauważyłam.*

Następnego ranka ubrałam się w szalonym pośpiechu, włożyłam Milesowi nowy garniturek i popędziłam do centrum na uroczystość, do restauracji Chanterelle, gdzie Lyle zabrał Kiki na ich pierwszą oficjalną randkę. Byłam szczęśliwa, mając przy sobie synka jako swoją małą zbroję, ale byłam tak zdenerwowana, że z trudem się poruszałam. Gdy weszliśmy do lokalu, rozejrzałam się, szukając znajomych twarzy. Zobaczyłam piękną starszą kobietę o niewiarygodnie zielonych oczach, przytulającą Lyle'a – z pewnością jego mama. Korzyścią wieczoru panieńskiego – poza widokiem

Kiki uradowanej, że ma przy sobie całą swoją bandę – było nawiązanie znajomości z jej przyjaciółmi. Czułam, że mam towarzyszy broni w okopach podczas bitwy, jaką będzie dla mnie ponowne spotkanie z Elliotem.

Kiki weszła do sali i podeszła do miejsca, gdzie Stan, fantastyczny florysta, z którym Kiki współpracowała podczas organizowanych przez nią niezliczonych imprez, stworzył chupę z kwiatów wiśni, z małymi migoczącymi świecami wotywnymi umieszczonymi między gałązkami. Gdy patrzyłam na piękny łuk symbolizujący nowy dom, który Kiki i Lyle mieli razem stworzyć, kątem oka zauważyłam Elliota, który przytulił mamę i zerkał na mnie. Wzięłam głęboki oddech i podeszłam, by stanąć obok Kiki, podczas gdy Elliot zajął miejsce u boku swojego brata.

Wszystko odbywało się w bardzo swobodnej atmosferze, goście zajęli miejsca w trzech niewielkich rzędach tworzących podkowę wokół państwa młodych, którzy trzymali się za ręce, stojąc twarzami do siebie, a rabin stał pośrodku.

Po uroczej tradycyjnej przysiędze (nic z tych bzdur w stylu Brada i Jennifer „Przysięgam, że będę masować ci plecy i robić bananowe koktajle z mleka sojowego”) nowożeńcy pocałowali się, a rabin pouczył ich:

– Zawsze podążajcie za miłością...

Elliot patrzył na mnie. Nie odrywałam wzroku od duchownego.

– Kochajcie się i sprawiajcie, aby każdy dzień był magiczny, i rozpakowujcie go niczym dar, którym jest...

Starłam się patrzeć gdziekolwiek, byle nie tam, ale oczy mnie podstępnie zdradziły i powędrowały w stronę twarzy Elliota. Patrzył tym samym spojrzeniem, którym tak bardzo mnie ujął podczas naszego krótkiego, choć intensywnego romansu. W ciągu sekundy wróciłam do

naszych zimowych wieczorów. Z bólem przełknęłam ślinę i spuściłam wzrok, z całych sił starając się nie płakać. Spojrzałam znów na rabina, mrugnęłam powiekami, a ciepła łza spłynęła po moim policzku.

– A teraz ogłaszam was mężem i żoną!

Lyle zdeptał kieliszek i pocałował Kiki, a goście odpowiedzieli głośnym aplauzem. Po swoim pierwszym pocałunku jako pani Spence Kiki odwróciła się do mnie.

– Dziękuję ci za wszystko, Holly. Kocham cię!

Przytuliłam ją i zobaczyłam, jak jej mąż przytula swojego brata i drużbę w jednej osobie. Gdy się rozdzieliliśmy, a mama Kiki i Miles podeszli, żeby ją uściskać, zobaczyłam, że obok mnie stoi Elliot.

– Cześć... – powiedział cicho.

– Cześć.

– Pozwolisz na chwilkę? – zapytał.

Myślałam, że serce wyskoczy mi z piersi.

– Hm... – Zobaczyłam, że Miles robi sobie zdjęcia z panną młodą. – Dobrze.

Elliot ruszył przez restaurację. Poszłam za nim zdenerwowana, sądząc, że wychodzimy na dwór. On jednak zaprowadził mnie na tyły, do niewielkich drewnianych drzwi. Inne wyjście na ulicę?

Ale to nie było wyjście.

To była toaleta.

– Wejdz, proszę – powiedział, zupełnie poważnie. – Elliot, o co chodzi? Chcesz, żebym weszła do toalety?

– Tak. Proszę.

Nieco zdziwiona weszłam za nim do toalety, a on zamknął drzwi. Byliśmy tylko ja, on i sedes.

– Możesz mi wyjaśnić, dlaczego podczas wesela mojej najlepszej przyjaciółki zaprosiłeś mnie do kibla? – spytałam z założonymi rękami.

– Tak – odpowiedział i ujął moją dłoń. – Mogę. Właściwie sporo mam do wyjaśnienia. – Podszedł bliżej i spojrzał na mnie tymi zwariowanymi oczami. Modliłam się, żeby zachować nerwy ze stali.

– Holly, nie chciałem tego mówić na łące pełnej kwiatów ani w łóżku, jak wszyscy. Chciałem cię zabrać do najmniej romantycznego miejsca, żeby ci to powiedzieć: Kocham cię. Bardziej niż Kocham. Każdy może poczuć miłość po niesamowitym seksie w łóżku podczas burzy śnieżnej. Ale ja czuję to teraz, mimo że nie rozmawiałaś ze mną od miesięcy. Mimo tej paskudnej waniliowej świeczki tutaj. Mogę cię kochać w tym kiblu. Mogę cię kochać wszędzie. Tylko mi na to pozwól.

Oczy mi zasły łzami, niewiele widziałam. Stałam się ślepa niemową.

– Kocham cię, Holly – powtórzył.

– Tak? – Zaczęłam się trząść, gdy zrobił krok w moją stronę. – Mimo wszystko?

– Mimo wszystko – odparł. – Bardziej niż kiedykolwiek.

Mrugnęłam i kolejne łzy spływały po moich policzkach.

– Ale nie powiedziałaś tego wtedy, kiedy ja...

– Nie powiedziałem tego w teatrze, ponieważ zaskoczyłaś mnie. Nie wyznałem ci jeszcze prawdy o mojej pracy i czułem się źle z tym, że kłamałem. I... – Odchrząknął i spojrzał na mnie. – Nigdy w życiu nie powiedziałem tego nikomu, poza moją byłą żoną.

Oniemiałam. Ja mówiłam to wiele razy.



–Nie?

– Nie. A kiedy ty to wyznałaś, pomyślałem, że ja też, ale...

– Nie mogłam się powstrzymać, to było pod wpływem chwili... – tłumaczyłam się, wciąż zażenowana.

– Wiem. Ale to nie była odpowiednia chwila dla mnie. Już wtedy, gdy zobaczyłem cię z Milesem w parku pierwszy raz, wiedziałem, że jesteś inna niż wszystkie kobiety, które poznałem. Naprawdę żałuję tego, co się stało, i od tamtego dnia byłem taki nieszczęśliwy... Dasz mi jeszcze jedną szansę?

Moja wspaniała emocjonalna tarcza rozsypała się w proch. Położyłam jego ręce na swojej talii. Przytulił mnie, położył dłonie na moich policzkach, pochylił się do mnie i pocałował najwspanialej w całym moim życiu: tam, przy kapiącym kranie w restauracyjnej łazience, poczułam się znów w domu. Żadna słodka, pełna płatków kwiatów i dźwięków Mozarta oaza nie mogła się równać z naszą dziwną i prowizoryczną kryjówką.

Kiedy w końcu wróciliśmy do gości, zarumienieni i promienni, Kiki i Lyle oderwali się od zdjęć i podbiegli, żeby nas uściskać. Elliot zobaczył Milesa z kuzynkami Kiki i poszedł do niego, a mój syn przytulił go mocno i pokazał swoją nową kieszonkową figurkę Power Ranger. Jedzenie było przepyszne, szampan lał się strumieniami, ale najważniejsze, że tę pachnącą kwiatami wiśni salę wypełniały radość i ciepło. Gdy spojrzałam przez stół na roześmianą Kiki szepczącą coś do Lyle'a, ogarnęła mnie fala emocji. Elliot uścisnął moją dłoń, gdy zdenerwowana wstałam, żeby wygłosić toast.

– Chciałabym powiedzieć coś o mojej przyjaciółce i siostrze, pani Kiki Spence – zaczęłam. Goście przy trzech stolikach wiwatowali i klaskali. – Od czego mogę zacząć? Po pierwsze, zawdzięczam ci życie. Słyszałam opowieści mężczyzn o ich towarzyszach broni i jak to okopy wiążą ich na

zawsze. Nie porównuję rozwodu w Nowym Jorku do wojny, ale... nie, właściwie porównuję. Kiki, byłaś przy mnie przez cały czas i jesteś najbardziej lojalną, hojną, dostępną – łącznie z telefonami o trzeciej nad ranem – i troskliwą osobą, jaką znam. Byłaś więcej niż wspaniałą przyjaciółką... Byłaś dla mnie matką. – Zamrugałam, powstrzymując łzy, tęskniąc za mamą, i zobaczyłam, że Kiki też płacze. – Lyle, jeśli ona będzie choćby w połowie tak dbać o ciebie, jak dbała o mnie, czeka cię życie pełne śmiechu, szczęścia i spokoju. Kiki, jesteś jak wielki ciepły koc.

– Z kaszmiru! – krzyknęła.

– Z kaszmiru. Jesteś spokojna, łagodna i ciepła. Wszyscy słyszeliśmy żarty na temat małżeństwa – sceptyczne powiedzonka i odniesienia do kuli u nogi oraz łańcuchów – ale uważam, że jeśli jest dobre, to najwspanialsza rzecz na świecie. Kiki, nie wiem, czy pamiętasz, ale po moim rozwodzie przysłałaś mi książeczkę z zabawnymi powiedzeniami Robina Williamsa, Woody'ego Allena i innych prześmiewców wykiwających małżeństwo.

Była przezabawna i powodowała, że uśmiechałam się w trudnych chwilach, ale chyba obie wiemy – podobnie jak ci komicy, skoro obaj ponownie się ożenili – że jeśli związek dwojga ludzi jest wspaniały, nie jest „instytucją”, lecz luksusowym kurortem. Nie bierzesz ślubu z kimś, z kim możesz żyć, poślubiasz osobę, bez której żyć nie możesz. I istnieje powód, dla którego jesteście nierozłączni. Zamiast kuli i łańcucha jesteście skrzydłami tej drugiej osoby. Bądźcie drużyną przeciwko światu, zbroją w okopach i poza namiętnością, która, jak wiemy, was łączy, zawsze bądźcie swoimi najlepszymi przyjaciółmi. Lyle, wiem też, jak to jest być najlepszą przyjaciółką Kiki. I jest to dar, który jest dla mnie skarbem. – Głos mi się załamał, gdy pomyślałam o tym, co razem przeszłyśmy i jak dziwne jest

życie: oto siedziałyśmy tu z dwoma mężczyznami obok nas, braćmi, którzy nie byli Talbottami. – Bardzo cię kocham, Keeks. – Uniosłam kieliszek i wszyscy bili brawo, ocierając łzy. Spojrzałam na Elliota, który ucałował moją dłoń. Kiki otarła oczy chusteczką i wstała, żeby mnie uściskać, po czym uciszyła gości.

– Przykro mi, że muszę wam to powiedzieć – oznajmiła zebranym – ale nie rzucę dziś bukietu. – Jej oświadczenie wywołało jęk rozczarowania, zwłaszcza Elizy. Kiki dotknęła płatków blad różowych peonii. – Zamiast tego wręczone go mojej najlepszej przyjaciółce.

Dygnęła lekko i podała mi bukiet, który przyjąłam. Przytuliłam ją mocno.

– Założę się, że w przyszłym roku o tej porze – szepnęła mi do ucha – znowu będziemy szwagierkami.

## *Ciąg dalszy*

CASEY SINCLAIR: Wielka gwiazda. Przebiła Alanis Morissette w liczbie sprzedanych płyt jako debiutantka, znalazła się na szczycie list przebojów. Wszyscy dziennikarze gratulowali mi wylewnie przewidywania jej sławy i płaszczyli się przede mną, abym podrzuciła im cenne wskazówki, kto zostanie kolejnym objawieniem.

CELESTIAL RECORDS: Wytwórnia została wykupiona w całości za rekordową sumę i włączona do większej grupy firm. Bracia Green odrzucili kilka propozycji od wydawców, aż w końcu zatrudnili mnie, abym napisała ich biografię.

BRACIA TALBOTT: Znacznie ucierpieli w związku z załamaniem rynku kredytów hipotecznych. Ich inwestycja w Ocean Floor Research

Institute okazała się niewypałem. Odnaleziona karawela okazała się wypełniona nie sztabkami złota ze średniowiecznej Hiszpanii, lecz wodorostami. A jeden z klientów Black Falcon został stratowany przez dzikie antylopy i mimo faktu, że ofiara przed wycieczką podpisała rezygnację z wszelkich roszczeń w związku z podjętym ryzykiem, jego rodzina wytoczyła proces o spowodowanie śmierci i wygrała sprawę. Krótco po tych problemach finansowych Avery wyruszyła na poszukiwanie żyźniejszego pastwiska. Tim mieszka obecnie w Aspen i spotyka się z instruktorką jazdy na nartach. Hal zamieszkał sam w Londynie.

**HEDGINGOWE ŻONY:** Niektóre pary zostały razem, niektóre się rozwiódły. Finanse Mary, pomimo kiepskiej sytuacji na rynku, były kulo odporne, więc wszystko było pięknie. Posey pozostała lojalną żoną, nawet gdy musieli pożegnać się z prywatnym samolotem, lecz Emilia, niestety, nie potrafiła żyć bez słodkiej muzyki pobrzękujących monet. Rozwiodła się, po czym poślubiła miliardera ze świata mediów i utrzymała styl życia, do którego przywykła. Ale musi teraz bzykać swojego osiemdziesięciodwuletniego małżonka, żeby na to zarobić.

**SHERRY VON:** Cisnęła kryształowym pucharem od Williama Yeowarda w głowę Huberta, co zaowocowało raną wymagającą trzydziestu szwów i zakończeniem jej jedynej prawdziwej przyjaźni. Hubert pozwał ją do sądu i oświadczył, że Sherry Von jest szefową, przy której „Naomi Campbell wydaje się Matką Teresą”. Wygrał sprawę i dostał dziesięć milionów od tej starej zołzy.

**MARK WEBB:** Webb złapał paskudne wszy łonowe od pewnej luksusowej prostytutki, a później został zamieszany w skandal dotyczący *insider trading*. Dzięki bardzo drogiemu prawnikowi uniknął więzienia, ale

stracił uprawnienia zawodowe. Otworzył w centrum restaurację i zorganizował casting na kelnerki, które miały być powalająco atrakcyjne. Ożenił się z jedną z nich. Dwudziestodwulatką. Jakie są szanse, że to małżeństwo przetrwa? Takie same jak to, że eunuch zostanie gwiazdą porno.

LYLE SPENCE: Sześć miesięcy później dostał na urodziny pudełeczko, w którym znalazł mały niebieski plus na teście ciążowym. „Wiem, że to dziwne dawać w prezencie coś, na co nasikałam – komentowała Kiki – ale jestem w ciąży”. Przeszczęśliwa para spodziewa się córeczki.

HOLLAND TALBOTT SMITH (PRAWIE!): W Święto Dziękczynienia przy oknach z widokiem na paradę i przed całą rodziną Elliot mi się oświadczył Odpowiedź brzmiała. „*Tak*”, a przepowiednia wyroczni delfickiej, inaczej zwanej Kiki, spełniła się co do joty: rok później, w kwietniu, kilka dni po tym, jak Kiki i Lyle świętowali rocznicę ślubu, Miles trzymał obrączki, gdy jego mamusia wychodziła za mąż za jego ojczyma. I mimo że byliśmy z Kiki prawdziwymi siostrami w sensie duchowym, po tym, gdy Elliot i ja wymieniliśmy obrączki, znów oficjalnie stałyśmy się rodziną, tym razem – na zawsze.